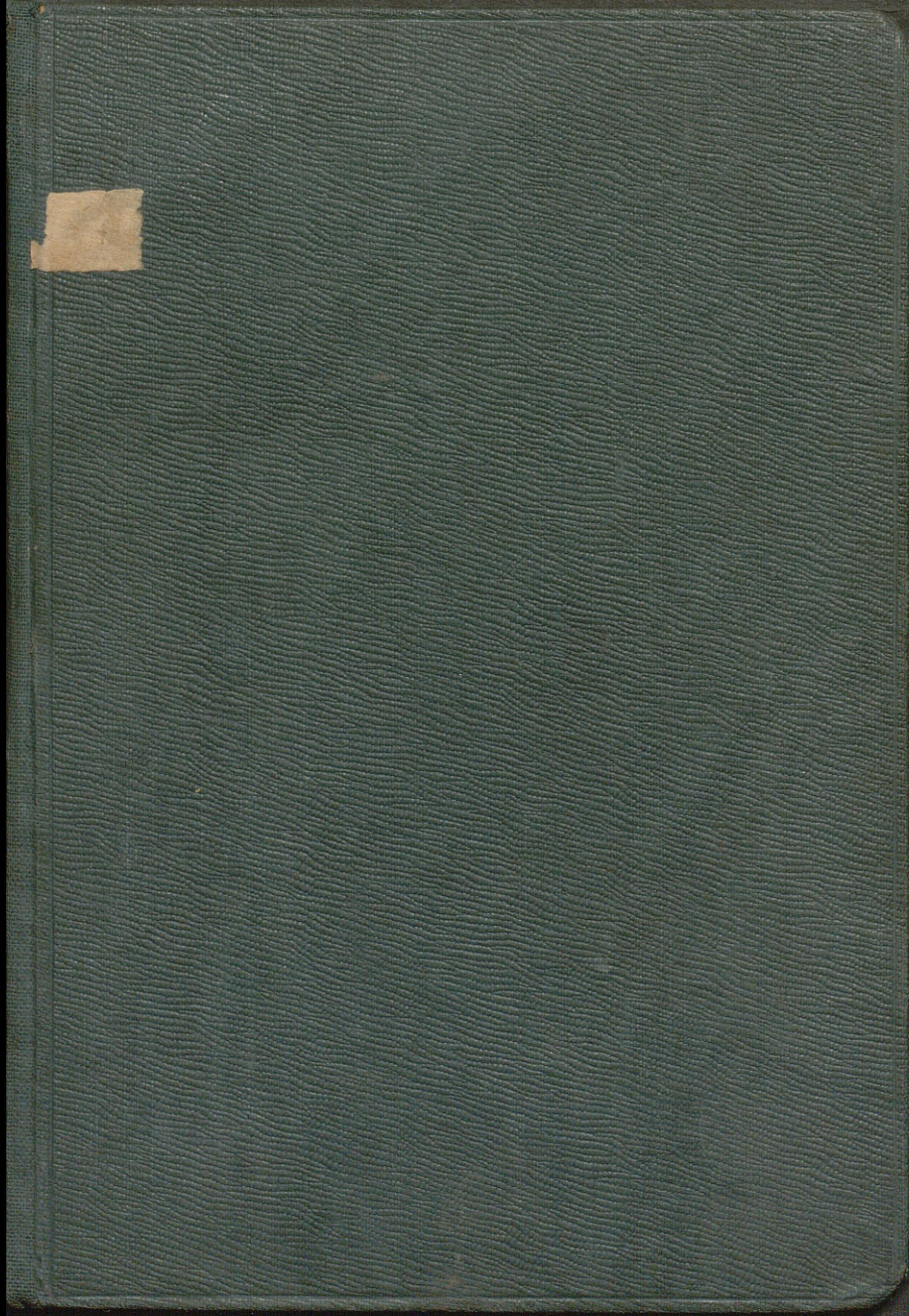


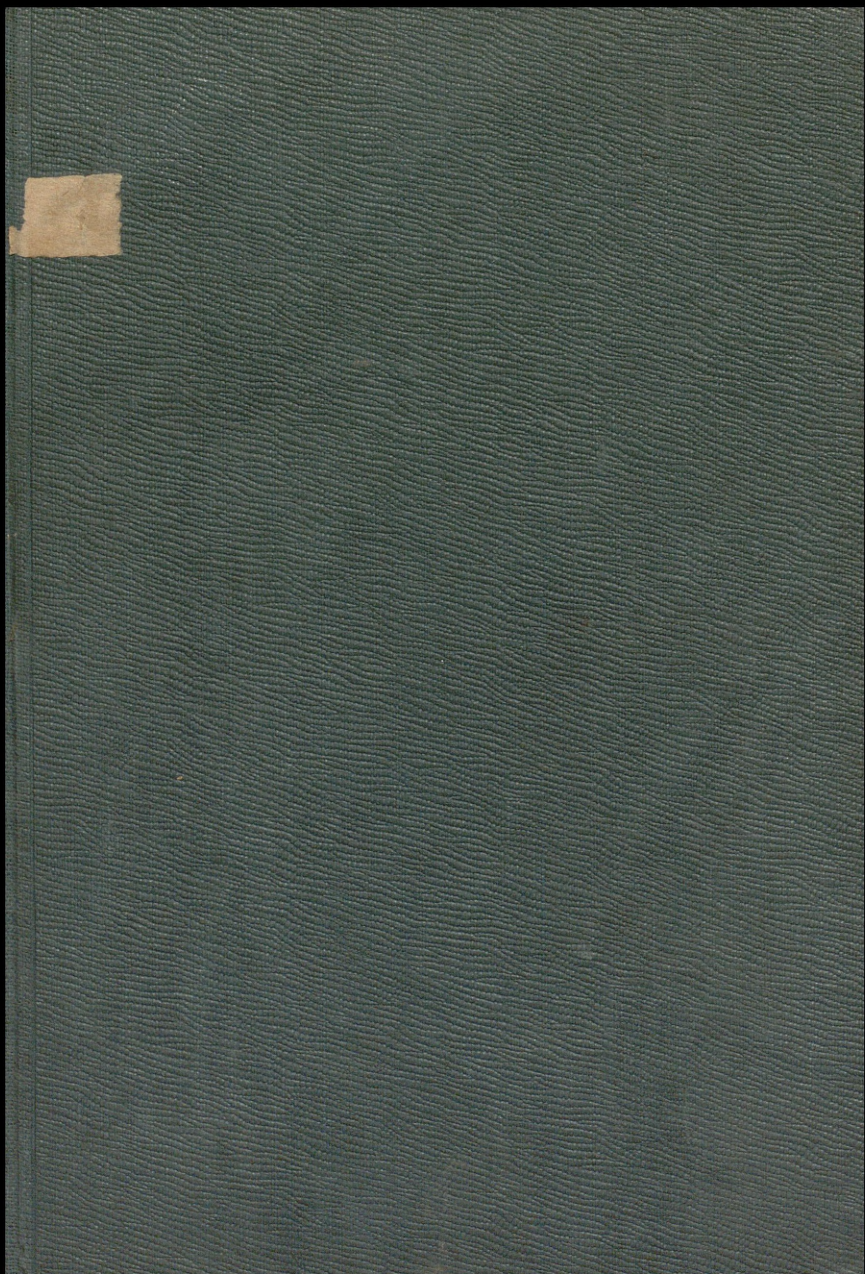


Grey Scale #13



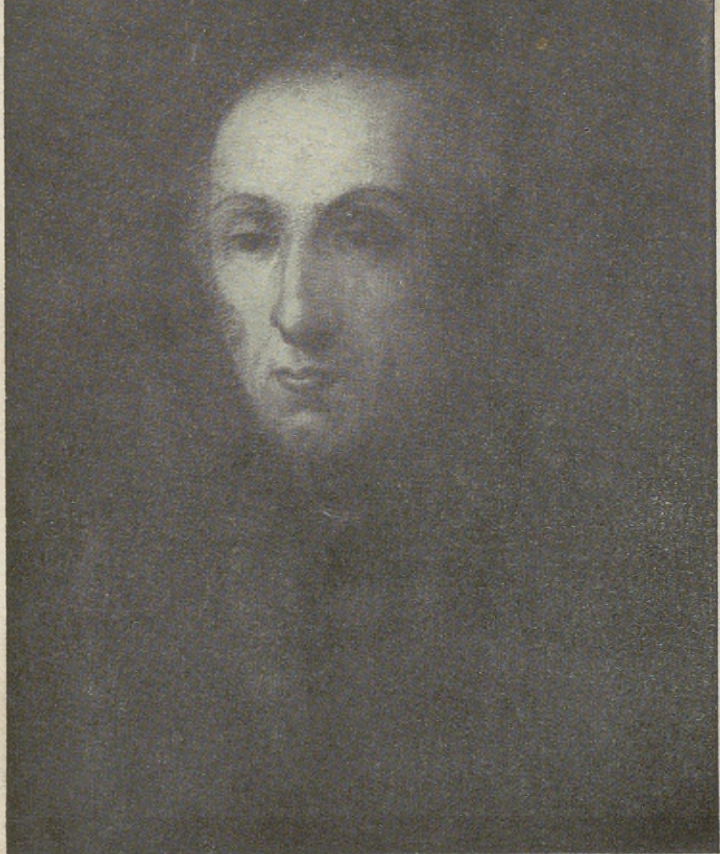
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





CRISTO^{VS} COLOMBO

8-4



K R Z Y S Z T O F
K O L U M B

DON KICHOT OCEANU

JAKÓB WASSERMANN

KRZYSZTOF KOLUMB

DON KRISTO OCEANO

KRZYSZTOF KOLUMB

BIBLIOTEKA

WID. DZIENNIK. 1911

JAKÓB

WARSZAWA MCMXXII KRAKÓW
WIDAWNICTWO J. MORTKOŃCZAKA

TO WIDAWNICTWO W WARSZAWIE

JAKÓB WASSERMANN

KRZYSZTOF KOLUMB

DON KICHOT OCEANU

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.



WARSZAWA MCMXXXI KRAKÓW
WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA
T-WO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

Ja-160

JAKOB WASSERMANN

ERZYSTOŁ KOLUMB

PRZEKŁAD ALEKSANDRA WATA

2593/1

BIBLIOTEKA

Wydawnictwo

WARSAWA MCMXXI KRAKÓW

Drukarnia Naukowa T-va Wydawniczego w Warszawie. Rynek Starego Miasta 11

TWO WYDAWNICZE W WARSZAWIE

KRZYSZTOF KOLUMB

DON-KICHOT OCEANU

BIBLIOTEKA

Wyższe! Szkoły Polit. - Wych.

UNUS ERAT MUNDUS, DUO SINT, AIT ISTE, FUERE.

PAMIĘCI HOFMANNSTHALA

WIDZIAŁY TO JESZCZE TWOJE OCZY, —
I ZDAWAŁO MI SIĘ, ŻE POCHWALASZ.

BIBLIOTEKA

Wydawnictwo Literackie - Warszawa

BIBLIOTEKA

WYŻSZEJ SZKOŁY POLIT.-WYCH.

WARSZAWY

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Polit.-Wych.

l. inv. 2624 1863

PRZEWIDYWANIE RZECZY NIEZNANYCH

Żywot i losy Krzysztofa Kolumba wykazują z oczywistą wyrazistością, że i tego do wielkich osiągnięć powołanego człowieka, poznać można jedynie w jego czasowym uwarunkowaniu. Wyobraźnia nasza jest aż nadto skłonna do wyposażania każdej nieśmiertelnej postaci we właściwości, które wynikają z jej czynów, ale które niczem nie cechowały jej ziemskiego istnienia i osobowości. Sława jest wielce tajemniczym procesem krystalizacyjnym, przy którym w wielkich ilościach powstają żuźle. Dlatego współcześni albo zgola fałszywie widzą wybitne zjawisko, albo je całkiem przeocząją, natomiast potomność stale antycypuje ostateczne wyniki, to znaczy, ponieważ zna już ona w całości przebyty proces (w istocie swej już zakrzepły), więc wyobrażenia jej o stawaniu się i istnieniu są zupełnie wyjałowione. Przeto właśnie wszystkie nasze sądy o okresach dziejowych, jak również o postaciach historycznych podobne są do zużytych monet, których wartość jedynie w bardzo rzadkich wypadkach poddaje się badaniu. Wszelkie zaś podanie historyczne utrzymuje się dzięki sumie

splecionych z niem błędów, inaczej zresztą być nie może i nie powinno, albowiem błąd jest czynnikiem twórczym, z niego wywodzi się obraz, myt i wciąż odnowione życie. Kto potrafiłby znieść prawdę, założywszy z góry, że ona istnieje? Rozbilby się o nią wszelki wzlot, wszelkie złudzenie, wszelki nad rzeczywistością triumfujący idealizm. Niewiele ma ona do czynienia z dokumentarycznością, z przyjętym dziś w historii pragmatyzmem, ta prawda, niby złote ziarna w rudzie, skryta jest w surowym i niełatwo poddającym się obróbce materiale, by ją z niego wydobyć i wypławić, trzeba wielkiego wysiłku, wielkiej miłości i znacznej odwagi, albowiem dusza ludzka, w której jedynie znaleźć ją można, jest mrocznym, przez straszliwe upiory zaludnionym labiryntem.

Postać Kolumba z dawien dawna mieni się osobliwą zagadkowością, rzecz można dwuznacznością. Wszystko jest sporne — charakter, czyn, rozwój, wypadki życia i nawet narodziny. Siedem miast w okręgu genueńskim walczy o zaszczyt piastowania jego kołyski, a przyłączyła się do nich Korsyka i Francja. Prawie z pewnością można ustalić, że ojciec jego był ubogim tkaczem, chociaż on sam starał się zatrzeć ten fakt. Skromne pochodzenie wydawało mu się zapewne ujmą — w każdym razie w dniach chwały prawil często gęsto o swoich szlacheckich przodkach; — nie jestem w rodzie swym pierwszy, który jako admi-

rał żeglował po morzach — to są jego własne słowa. Winien nam to udowodnić. Biorąc z tego asumpt, niektórzy przeciwnicy przezywają go łgarzem. Obok słabej fantazji zdradzają oni słabe zrozumienie tej głębokiej, prawie niezgłębionej natury.

Przebieg życia Kolumba pod wielu względami przypomina legendę średniowieczną. W przeciągu dwudziestu lat wciąż wracałem doń myślą i studjami; wciąż odnowa musiałem sobie zadawać pytanie: czy za to gotów jesteś ręczyć, a tamto — czyż nie jest legendą, czy te lub owe wypadki nie są apokryficzne, a te czy tamte ledwo prawdopodobne? Z nicości wyniesiony przybłęda, awanturnik włoski — i nagle Wielki Admirał Hiszpanji, wice-król ogromnych państw — a potem znowu siedem lat splendoru i potęgi przypłaca raptownym upadkiem i bezprzykładnem poniżeniem i wreszcie po słabej rehabilitacji umiera niemal w zapomnieniu śmiercią samotną.

Niezwykły los. Aby go zrozumieć, trzeba uprzytomnić sobie niezwykłość ogólnej sytuacji, a w tym celu oczyścić spojrzenie wewnętrzne z wszelkiej nabytej wiedzy, ze wszystkich szematycznych szablonów, ze sfalszowanych idei i związków. Aby się nie pomylić, trzeba okiem jakgdyby zmartwychwstałem spoglądać ze stanowiska pojęć i nastawienia duchowego epoki, a jednocześnie ponad oddaleniem czasowem zestawić w jedno rzeczy skłócone. Ponieważ ambicja ludzka nie powinna się piąć tak wysoko,

wypadnie nam zadowolić się skromniejszym zadaniem: prawdą przybliżoną.

Gdyby dziś desperacki lotnik zdecydował się odbyć lot na Marsa, gdyby, rozpoczynawszy podróż, po drodze odkrył nieznaną dotychczas planetę i wrócił na ziemię z wieścią o nowej gwieździe, o cudacznych istotach ludzkich, o nigdy dotąd nie widzianych zwierzętach i roślinach, krzewiących się w dziwnej atmosferze, o wymiarach i wielkościach, wobec których maleje wszystko, do czego oko ziemskie jest przyzwyczajone—rewolucja w wyobraźni ludzkiej równałaby się w przybliżeniu tej, którą ongi wywołało odkrycie Kolumba. Albowiem na początku miało ono ten właśnie i tylko ten wynik: rewolucję w wyobraźni.

Nowy Świat — dziś pojęcie geograficzne; dla człowieka u schyłku piętnastego wieku — zabobonnie religijne. Za sprawą jakichś czarów, o których nie wiedział jeszcze, czy dobre są czy złe, zapadły się mury jego domu, starej obwarowanej Europy, którą po tysiącletnich plagach uczynił jako tako mieszkalną. Niesamowitą w dostatecznej mierze wydawała mu się Azja, przylegająca do zbadanej wreszcie posiadłości, jak do ogrodu przylega straszna pustynia z bardzo dalekimi ponętami; i Afryka—tylko jej północne pobrzeża znał od prawieków, dalej były obszary nazwane śmiertelną pustynią i groźną pomroką. Wieści z Nowego Świata wstrząsnęły rusztowaniem Starego. Były straszne: oto morze bezgra-

niczne, o którym nic się nie wie, po którym można żeglować bez końca, nie natrafiając na brzeg; oto ludy, bezimienne, nagie, czczące bezimiennych bogów; oto wyspy niezliczone, niezmierzone kraje z barbarzyńskimi królami, dziwne obyczaje: jeśli to nie był poprostu omam zmysłów, to w każdym razie znak oddawna zapowiedzianego końca świata. Panika, która ogarnęła europejską ludzkość, mogła być strawiona tylko przez równie natężoną żądzę. Słowem, które tę żądzę rozpętało i doprowadziło do stanu wrzenia, było — złoto.

Prawda, że wiara w ustalony stan świata była już wcześniej podważona. Przeczucia i legendy odpowiednio przygotowały świadomość starego ładu do tego rodzaju odkrycia. Podróże śmiałych misjonarzy i ryzykownych kupców, przedsięwzięcia włoskich i portugalskich żeglarzy przybliżyły ją na odległość marzeń sennych. W dodatku dalekowiedzący umysł poszczególnych badaczy torował drogę śmiałkom, którym pilno było domniemanie i przeczucie wcielić w czyn.

Coraz bardziej utwierdza się przekonanie, że egipska legenda o Atlantydzie, o której donosi Platon, nie była czczym wymysłem, że opierała się na niejasnej pamięci bardzo dawnych, gwałtownych katastrof. Bezwątpienia istnieje coś, co nazwać się godzi pamięcią pokoleń — przechowuje ona przez tysiąclecia wrażenia z wielkich wydarzeń, w niej tkwią korzenie

owej siły, dającej możność poszczególnym jednostkom jeśli nie otwierać, to przynajmniej krok za krokiem rozszerzać więzienie, w którym żyje ród ludzki. Tak oto żeglarze feniccy szykowali się w podróż ku owemu Ultima Thule, które koniec końców było tylko symbolem lotnej tęsknoty; tak, w zaraniu czasów historycznych, gnań prainstynktem włóczęg, żeglowali skandynawscy Normanowie ku wybrzeżom Neufundlandu; i tak w poszukiwaniu nowych krajów przetrząsali ocean aż po Azory i wyspy Kanaryjskie Arabowie—najodważniejsi żeglarze średniowiecza. Ale chaos zamykał granice rozległych wód, żadne domniemanie nie mogło się przezeń przedrzeć, i strach przed duchami obezwładniał zgóry wszelki zamysł. Xerif al Edrizi, pisarz maurytański, opisuje bardzo wymownie: «Morze to otacza ostatnie krańce zamieszkałej ziemi, a wszystko poza niem jest nieznane. Nikt jeszcze nie miał możliwości zbadać tych wód ze względu na trudną i niebezpieczną nawigację, straszliwe ciemności, częste burze i groźne ryby drapieżne. Jakkolwiek wysoko niby góry piętrzą się fale, toczą się, nie opadając wcale, bo gdyby opadały, żegluga byłaby zupełnie niemożliwa».

Ale nieznane nie przestawało nęcić i pochłaniać znęconych ludzi, tysiące znęconych w ciągu jednego stulecia. Zachowały się nazwiska nielicznych. Koło roku 1290 bracia Vivaldi na dwóch galerach wypłynęli z przystani genuen-

skiej, aby okrążyć niezbadaną Afrykę. Nie wrócili. Wszystkie narody romańskie uznawały Włochów za swoich mistrzów w żegludze. Genueńczyk Porsagno był admirałem portugalskim, Wenecjanin Cadomosto zbadał Senegambję. W zapomnianych kronikach znajduje się czasem wzmiankę o tego rodzaju niezwyklej podróży, budzącej podziw i przerażenie współczesnych; pośrednio, jak w czasach wypraw krzyżowych, oddziaływały one na poezję i baśnie, których tematyka obracała się wielokrotnie dokoła podróży awanturniczych.

Gorliwość religijna była jednym z popędów, przedsiębiorczy duch kupiecki był drugim. Ponieważ ocean był wciąż niemożliwy do przebycia, a nawigacji nie wspierała jeszcze nauka,— przed rokiem 1200 nie znano nawet kompasu— więc nieustraszeni pionierzy torowali sobie drogę przez Syryję i Indje ku wschodnim krańcom Azji. Koło roku 1250 dominikanin Aszelin i franciszkanin Piano Carpini udali się jako zwiastuni wiary na Wschód. Aż do samego upadku mongolskiej dynastji w piętnastym wieku firmy genueńskie i weneckie utrzymywały regularne stosunki z Chinami. Niektóre nawet miały interesy na Molukkach. Szło oczywiście o rzeczy praktyczniejsze od krzewienia nauki chrześcijańskiej: o pieprz, imbir, cynamon, kardamon i indygo—rzeczy pożądane, wysoko cenione i drogie z tej bodaj racji, że z takim ryzykiem zdobywane.

Tak, chodziło o zyski, ale nietylko o to. Działal tu pozatem romantyzm. Czas ów zrodził typ romantycznego kupca, którego charakterystycznym uosobieniem jest Marco Polo. Pomyślowa, pełna fantazji relacja jego z podróży i wieloletniego pobytu w państwie Wielkiego Chana zalicza się do trwałego dorobku literatury europejskiej. Książka jego wywarła równie głęboki w swoim rodzaju wpływ, co pisma Arystotelesa, albo Orlando Oszalały Arjosta,—dotarła do najniższych warstw ludności, wędrowni rybaltowie rozpowszechniali jej treść w głąb lądu, aż do mórz północnych,—w ciągu stuleci ludziom, przykutym do ziemi, dawała fikcję uszczęśliwiającą—wizję nieznanых krajów i ludzi, nierealne i wyzwolone od realności. Historia nie zna wielu wydarzeń duchowych tego rodzaju. Jednym z nich był Robinson Crusoe Defoeego.

Po powrocie wyprawy Marka Polo z drugiej podróży, w Wenecji długo wzbraniano się uznać jej uczestników. Przybyli bardzo jakoś odmienieni, brudni i obszarpani, nawet krewni nie decydowali się wpuścić ich do własnych domostw. Dopiero po tygodniach zdołali przekonać przyjaciół, że są istotnie tymi, za których się podają. Aby rozproszyć ostatnie podejrzenia a zarazem wziąć na niedowiarkach subtelny odwet, sprawili ucztę, na którą sprosili co najprzedniejsze rody miasta. Dom był wspaniale udekorowany, stół uginał się pod srebrną i złotą

zastawą, służba w kosztownych ubiorach podawała najdroższe potrawy i najszlachetniejsze wina. Gospodarze ukazali się w powłóczystrych szatach z karmazynowego atlasu, poczem znikli i ku zdumieniu gości wrócili w piękniejszych jeszcze strojach z karmazynowego adamaszku; powtórzyli to raz jeszcze, tym razem w karmazynowych aksamitach. Za każdym razem zdjęte szaty krajano w pasy i rozdawano pomiędzy służbę. Pod koniec wieczoru odprawiono wszystkich służących, i sam Marco Polo wyniósł z bocznego pokoju obmierzły strój podróżny z grubej wełny. Damy poczęły się krzywić, lecz Marco podał jednej najodważniejszej nożyce, namawiając ją, by rozcięła szerokie rękawy, zatłuszczony kołnierz i latany pas. Gdy z rozciętych szwów sypać się poczęły perły i drogocenne kamienie, przestały się i tamte białogłowy drożyć; powyprowały każdy szew, bo co która zdobyła, to już stawało się jej własnością. Od tego czasu Polo i jego towarzysze zażywali wielkiego szacunku, zaś sam Marco, który z niezrównaną elokwencją umiał opowiadać o pałacach i skarbach Wielkiego Chana, sypiąc jak z rękawa liczbą «miljon», zyskał przydomek messer Milioni, a dom jego przy ulicy San Chrysosdomo słynął pod nazwą Casa Milioni.

«Zipangu» donosi Polo «jest wielką wyspą wschodnią na pełnem morzu, odległą o tysiąc pięćset mil od wybrzeża Mangi. Mieszkańcy są

biali, bardzo urodziwi, o przyjemnem usposobie-
niu. Czczą własne bóstwa i są rządzeni przez
króla. Złota mają wbród, znajdują je wszędzie.
Pałac władcy jest kryty złotemi blachami, po-
dobnie jak nasze domy i kościoły ołowiem. Kom-
naty i pokoje są wykładane, a okna zdobione
złotem. Perł mają bez liku, zaś kamieni drogo-
cennych tyle, że tylko ręką sięgnąć. Żadne miasto
na świecie nie może się równać z ich «Miastem
Niebios» — Quinsay, którą to nazwę zawdzięcza
swej wspaniałości. Rozkosze, jakich się tam za-
znaje, dają złudzenie pobytu w raju. Kobiety na
ulicach są tak powabne, że wolę o tem nie mó-
wić, i tak doświadczone w pieszczotach, że kto
ich zaznał, do końca życia nie zapomni».

Największe jednak wrażenie wywarło na
nim miasto Cambalu (przypuszczalnie dzisiejszy
Pekin), rezydencja Wielkiego Chana w prowincji
Cathajo. Cuda ogrodów i tysiąca dwustu
mostów marmurowych, wspaniałość dworu, nie-
zmierzone bogactwo książąt, uroczystości, pom-
pa, uroki krajobrazu wprawiały go w nieprzy-
tomne uniesienie. Była to oczywiście najzwyczaj-
sza blaga. Ale należy przypuścić, że sam wie-
rzył we wszystko, co opowiadał, bodaj z tego
jednego względu, że mógł się nie obawiać kon-
frontacji z faktami i rzeczywistością. A że
zjednał sobie zaufanie słuchaczy i czytelników,
więc, przedstawiając rzeczy niewidziane, bynaj-
mniej nie kłamał, — tyle tylko, że w pogodnem
samoupojeniu trzymał się mocno raz wysnutego

wymysłu. I słuchacze ani trochę nie wątpili w prawdę tych opowieści. Opis jego podróży jako dzieło geograficzne i etnograficzne uchodził za bezsporny, nazwy państw i miast, które zwiedził, o których słyszał, wnoszono wedle jego wskazówek na mapy, i dopiero z jego relacji zdobywały one prawo istnienia w świadomości Europy. W 200 lat później powoływał się na te relacje Kolumb, z nich brała początek szczególnie donkichotowska pomyłka jego życia, one były dlań objawioną demonstracją, a zarazem i źródłem naukowem, na którym się opierał.

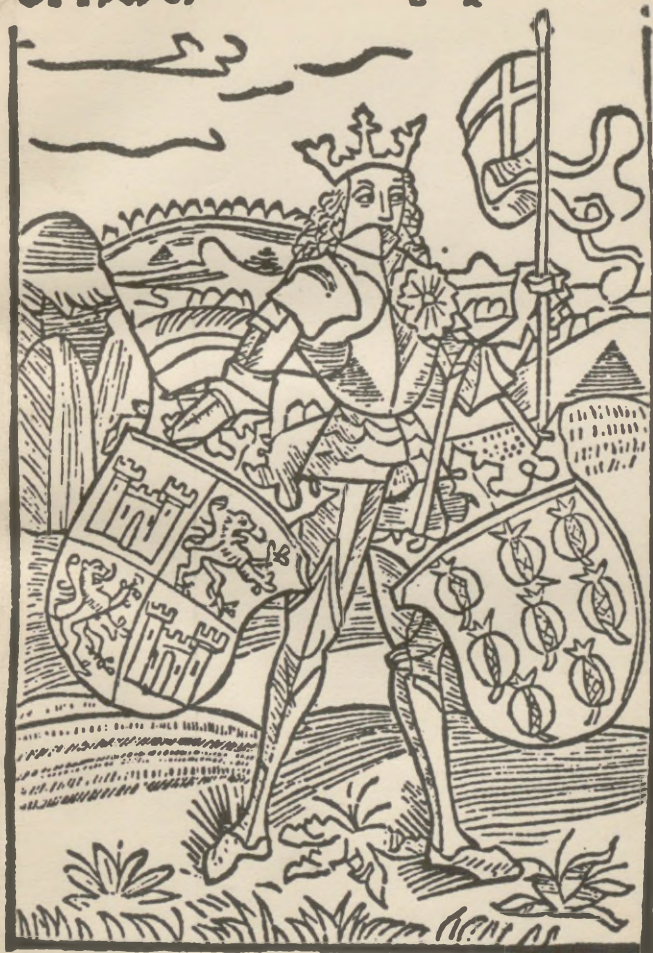
Zresztą nietylko one. Jednym ze świadków koronnych Kolumba był tak zwany sir John Mandeville, tajemnicza osobistość, o której nie było wiadomo, czy kryje w sobie fantastę, szarlatana czy uczzonego. Jednakże brano go niemniej poważnie jak Marca Polo, nawet gdy bąał o królestwie Abthas i prowincji Buonavison, — nikt nie śmie jej przestąpić, ponieważ cała otoczona jest mgłami, z poza których tylko od czasu do czasu rozlega się rżenie koni i pianie kogutów; o niezwykłym morzu piaskowem, w którym żyją ryby; o dolinie niebezpieczeństw nad potokiem Frisonu, zaludnionej przez demonów i złe duchy; o wyspie Fracanie, której mieszkańcy żywią się zapachem dzikich jabłek. Relacje Polo wydają się ubogie wobec tych, nawet Wielki Chan staje się postacią z bajek wschodnich; trzysta tysięcy niewolników jest na usługach

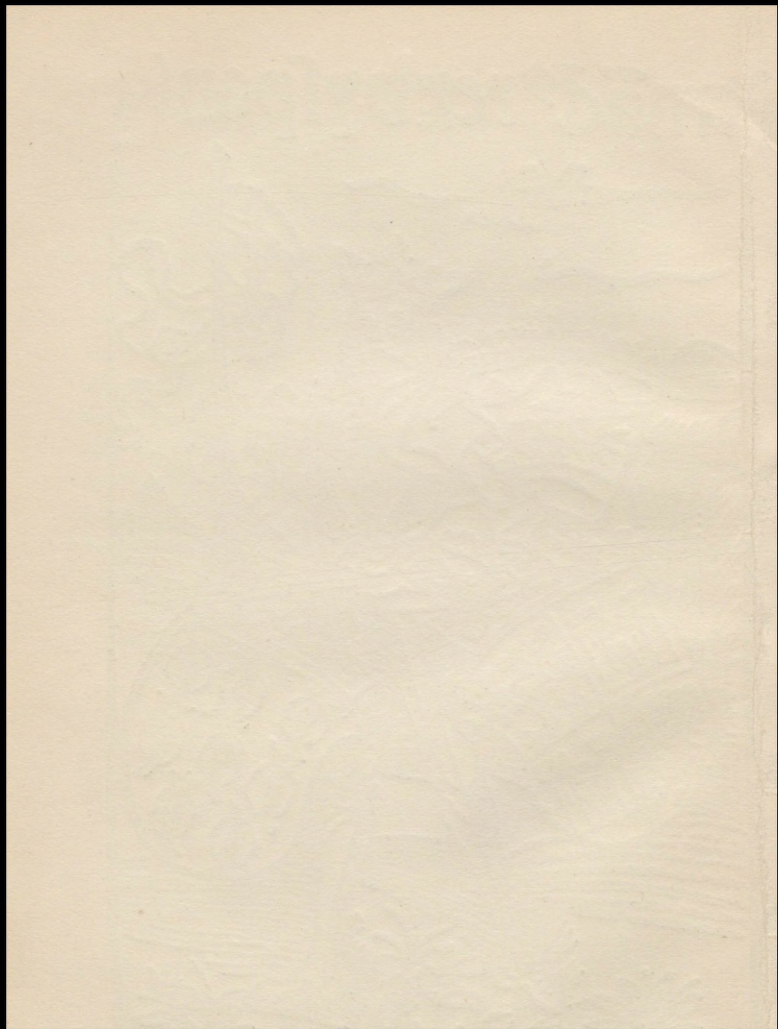


dworu, dziesięć tysięcy słoni i dziesięć tysięcy orłów w pomieszczeniach ze złota. Złotem i kamieniami drogocennymi szafuje tak rozrzutnie, tak hojnie, że trzeba autorowi poczytać za zaślugę, gdy raczy jeszcze gdzie niegdzie mówić o rzeczach zwykłych.

W tem miejscu narzuca się pytanie: w jakim stopniu ludzie różnych epok zdolni są ujmować rzeczywistość? Zdolność, o której mowa, w stuleciu piętnastem przedstawia się zupełnie inaczej niż w dwudziestem. Istnieje pewna wierność względem faktów, której nie dostaje czasom wcześniejszym, bardziej młodym—pojęcie prawdy było wówczas tak niewyraźne, jak nieobowiązującą była sama prawda. Między przedmiotem a jego obrazem za wiele było pustej przestrzeni, którą fantazja wypełniała przeżytemi oglądami, wyobrażeniami lękowemi, życzeniowemi i przymusowemi — i która w związku z rozwojem wiedzy i uporządkowaniem doświadczeń stale się zwęża. Oko Keplera nie jest już okiem Ptolomeusza, organ wzroku dzisiejszego bakterjologa jest zupełnie odmiennym narządem od oka średniowiecznego alchemika. Póki ludzkość wymaga od przyrody i życia cudów — albowiem tylko w cudzie dopatruje się Boga — póty jednostki, głębiej przenikające w niezbadaną egzystencję, są prawie że zmuszone — aby się uwierzytelnić — bając o cudach. Zaledwo zaczynają, już fama ogłasza ich za sprawców opowiadanych cudów. Szarlatan sam nawet nie dostrzeżga, kiedy zostaje przedzierżgnięty w cudotwórcę.

Fernād^o rex byspania.





Rozdział drugi

W C Z E S N E D R O G I

Niektórzy wielbiciele Kolumba zapewniają, że odbył on studia na uniwersytecie padewskim, ba, z drobiazgową pilnością wygrzebali nawet nazwiska profesorów, których jakoby słuchał. Dowodu na to niema żadnego. Raczej można przypuścić, że odebrał zaledwie najelementarniejsze wykształcenie i jakkolwiek powoływał się często—w rozmowach i na piśmie—na autorów klasycznych, jednak należy sądzić, że nie czytał ich w oryginale, a może nawet nie czytał wcale, tylko słyszał o nich i zapamiętał sobie cytaty, które mu się wydawały istotne. Z pewnością umysł jego od początku zmierzał ku jednemu celowi i z manjacką chciwością wysysał wszystko, co było mu przydatne.

Rok urodzenia jest nieustalony. On sam nie mówi o tem wcale, wskazania obcych wahają się między rokiem 1436 a 1446. Już w czternastym roku życia miał być obznajmiony z morzem. Naogół jednak przeżycia jego młodości otacza nierozjaśniony mrok. Kolumb milczy o nich tak upórczywie, że aż nasuwa się przypuszczenie, czy aby nie miał słusznych ku temu powodów.

Pewnie wałęsał się długo, doznawał licznych niepowodzeń, staczał twarde walki o chleb — w każdym razie, jak stwierdzają liczni świadkowie, w stosunkowo młodym wieku był już siwy. Ktoregoś razu opowiedział, niepotwierdzoną zresztą, historję z mroków swej kariery, jak to z królem neapolitańskim René wyprawił się do Tunisu w pościgu za nieprzyjacielską galera. W drodze załoga stchórzyła i domagała się powrotu. Podając się napozór temu żądaniu, zmienił jednak pokryjому kierunek kompasu i zażył z mańki tchórzliwych marynarzy. O wschodzie słońca okręt stał koło przylądku Kartaginy, chociaż wszyscy mniemali, że zbliża się do Marsylii.

Pomijam fakt, że nie mamy historycznego potwierdzenia tego opowiadania, analogia jej z podobnym manewrem z czasu pierwszej podróży do Indyj Wschodnich dowodziłaby, że dopiero późniejszym doświadczeniom zawdzięcza ona charakterystyczne swe rysy. Ilekroć Kolumb wypowiada się na temat własnej przeszłości, przyświeca mu jeden cel: tworzenie mytu bohaterskiego. Nie wiedział zresztą nigdy, kim jest, wiedział tylko, kim chce być.

Podobnie nieudowodniona jest podróż morską do Islandji i obszarów podbiegunowych, którą miał jakoby odbyć w miesiącu lutym wspomnianego roku. Sprawozdania jego z tej podróży są bardzo mało wiarygodne, geograficzne i klimatyczne doniesienia fałszywe, o ile nie absurdalne, jak na przykład, że w tamtych szerokościach

przyływ wznosi się dziennie na dwadzieścia sześć sążni. Nie można powiedzieć, że kłamie—Kolumb nie kłamie, poprostu tak widzi albo chce tak widzieć, wszystko, co się działo, i co się jemu przytrafiło, staje się dlań powieścią, żadne wydarzenie nie utrzymuje się w swych naturalnych wymiarach i granicach, wszystko przetwarza się w rzecz niebywałą, wszystko tu jest katastrofą i krańcowością. Wyczuwa się, że ten człowiek wprost spala się w poczuciu swego posłannictwa, ale nie zna jeszcze kierunku i nie widzi drogi.

Dlatego też nie ma jeszcze określonego planu, jeszcze stara się, albo jeszcze stać go na zbieranie materiału naukowego. Jak wynika z ówczesnych świadectw, jest on dyletantem w żeglarstwie, jego ignorancja w kwestjach geografji wywołuje szyderstwa zawodowców. Wdzięczna to praca: zbadać kiedy i jakie pobudki naprowadziły go po raz pierwszy na myśl dotarcia do wschodnich wybrzeży Azji prostą drogą na Zachód (bo tylko tego pragnął i nic ponadto)—ale o tem on sam nigdzie nie wspomina, a zresztą, w zgodzie z jego mistycznymi popędami, zależało mu pewnie na tem, aby tego rodzaju ślady zacierać. Niedługo przed śmiercią pisze do hiszpańskiej pary królewskiej: «W podjęciu podróży do Indyj nie był mi pomocny ani rozum, ani matematyka, ani żadne mapy, poprostu spełniło się, co prorok Izajasz był przepowiedział. Przed końcem

świata urzeczywistnić się muszą wszystkie pro-roctwa, Ewangelje wyznawane będą na całym świecie, i święty gród zwrócony kościołowi Chrystusa. Bóg przez odkrycie moje pragnął dokazać wielkiego cudu».

Skąd znany nam jest ten ton? Czy nie podobnie Don Kichot wyraża się o swoim powołaniu: wzorem ma być rycerstwa i zbawcą ludzkości. Jest to tylko gest wspaniałomyślny, że wyszczególnia przygotowania, które, chociaż jest wybrańcem, musiał zarządzić, i wylicza przeszkody, jakie wypadło mu przezwyciężyć: «Od najwcześniejszej młodości byłem żeglarzem i wytrwałem w tym zawodzie aż do dnia dzisiejszego. Żeglarz dąży do zgłębiania tajemnic świata. Byłem wszędzie na ziemi, gdzie tylko można dotrzeć okrętem. Wdawałem się w układy i rozmowy z ludźmi uczonymi, z duchownymi i laikami, z łacinnikami i Grekami, Żydami i Maurami i z wielu przedstawicielami różnych religij. Pan Nasz skłaniał się ku moim pragnieniom, ducha mi użyczył i światła wyrozumiałości. Wiedzy żeglarskiej dał mi ponad miarę, znajomości astrologji ile trzeba, a i niemniej geometrii i astronomji. Nadto obdarzył mnie chęcią do nauki, zręcznością w kreśleniu map i rysowaniu na nich miast, wszelakich gór, rzek, wysp, przystani — wszystkiego na właściwem miejscu. Widziałem i zaprawdę też studjowałem wszelkie księgi, opisy świata, historję, kroniki, filozofję, a nadomiar jeszcze inne sztuki,

do których Pan nasz uczynił mnie pojętnym, i posłał mnie na morze i zagrzeł mnie do czynu. Którzy słyszeli o mojem przedsięwzięciu, mówili, że jest niedorzeczne, i wyszydza mi i drwili ze mnie. Któż jednak dzisiaj przeczyć będzie objawieniu Ducha świętego». (Co ma oznaczać, że ponieważ powiodło mu się wkońcu, więc nie można podawać tego w wątpliwość—bo przedtem uchodził za warjata).

Mamy przed sobą godny szczególnej uwagi urywek autobiografji. Jakież to głos, i co za uporczywość ducha, ile goryczy w tem spojrzeniu wstecz, i wreszcie to odetchnięcie w zwycięstwie, to płomienne poczucie własnego czynu. Rzekłbyś, że cały jest przepojony świadomością nadczłowieczeństwa. Pomniejsza siebie, ponieważ wydaje się sobie tak ogromnie wielkim. Skoro wolno mu uważać się za narzędzie boskości, to przecież bliżej stoi Boga niż wszelkie inne stworzenie. Jest w nim owa pokora o twardych pięściach, która na drodze do samozaparcia łamie wszystko, co jej przeszkadza przemienić się w wyższą istotę.

Znana mu jest kosmogratja papieża Piusa; astronomiczne efemerydy Regiomontana; imago mundi kardynała D'Ailly; poznał je nie dopiero dzięki obcowaniu z przeorem z La Robida i nie wówczas, gdy miał stanąć przed hiszpańską juntą, lecz napewno o wiele wcześniej, w dalekich podróżach, po wszystkich portach morza

Śródziemnego, z rozmów z kartografami, z uczonymi mnichami, z kapitanami okrętów, z kupcami, astrologami i sprzedawcami rękopisów. Z przypisywanego Arystotelesowi ale w istocie przez Posidoniosa napisanego traktatu dowiedział się, że już w starożytności przypuszczano, iż można z zachodniego brzegu Afryki dotrzeć w kilka dni do Indyj; w mistycznej książce, którą pod koniec życia napisał, cytuje z namaszczeniem ustęp z Medei Seneki, w tym sensie: w latach późniejszych nadejdzie czas, kiedy Ocean rozerwie ogniwa rzeczy, okrąg ziemski będzie otwarty, a bogini morza odsłoni nowe światy.— To nietylko wizja poetycka — to dla Kolumba głos proroczy, który przypuszczenie przemienia w pewnik. Ale nie waży on żadnego głosu, nie bada żadnego świadectwa—bez wyboru podejmuje wszystko, co zdaje się służyć jego potrzebom, potwierdzać jego dążenia—i podaje to od siebie, jakgdyby sam był zbadał i orzekł. W jego oczach wszyscy rościć sobie mogą jednakowe prawo do autorytetu, zarówno otumaniony własnymi urojeniami marzyciel jak i szarlatan, spekulujący na łatwowierności ciemnych słuchaczy. Lada fantasta bez skrupułów i blagier, o ile tylko umie podsycić płomieniste fantazje Kolumba, jest pokazywany z takim samym ufny gestem, co, powiedzmy, Marcin Behaim albo Pablo Toscanelli.

Gdyby w takiej głowie nie panował chaos, posępnie rozwichrzony zamęt, który uniemożliwia

wszelką hierarchję myśli i wartości — to strach przed czynem byłby zbyt wielki, aby się na czyn ów można było ważyć. Poznanie czyni człowieka tchórzliwym, a wola tylko w zamroczeniu potrafi gnać przed siebie niepowstrzymanie.

Zainteresowania żeglarskich narodów w polowie piętnastego stulecia dotyczyły wyłącznie sprawy okrażenia Afryki. Łąd ten był potężnym wałem, wstrzymującym pęd odkrywcy. Żaden statek nie ośmielał się wypłynąć zbyt daleko na pełny ocean. Od 1431 do 1453 roku Portugalczycy pod wodzą zdumiewającego infanta Don Enrica usadowili się mocno na wybrzeżu Złotem i Pieprznem i obrócili w kolonje wyspy Santa Maria, San Miquel, Terceira, San Jorge, Fayal i Graciosa. Hipoteza Ptolomeusza uchodziła jeszcze za bezsporny pewnik: łąd afrykański rozciągał się jakoby aż do samego bieguna południowego, nie pozostawiając żadnego przesmyku. Wszakże istniały podania, wedle których Endexus z Cyzicus w dawnych czasach miał się drogą wodną przeprawić z Czerwonego Morza do Gibraltaru, zaś kartagińczyk Hanno wraz z flotą, składającą się z sześćdziesięciu okrętów — z Gibraltaru do Arabji. Don Enrico postanowił położyć kres niepewności. Założył w Sagres kolegium nawigacyjne i obserwatorium, kazał zrewidować mapy i wprowadził na wszystkich okrętach udoskonalony kompas, który pozwalał się orjentować

w najciemniejszą i burzliwą noc, podczas nawałnicy i mgły. Wówczas kapitanowie odważyli się wypłynąć w strefę gorącą, która długo uchodziła za niedostępną, bo morze miało tam kipieć — i jako żywo — wrócili zdrowi, nie usmażeni z regionów równika.

Wieść o tych rozjazdach obiegała pobrzeża śródziemnomorskie, przeczuwająca zmianę ludzkość nasłuchiwała i czekała. Gorliwie rozpowszechniano wszelkie pogłoski, stare baśnie spletały się z nowemi, i Krzysztof Kolumb, który z poczuciem swej misji w piersi, pożerany przez ambicję, wegetował zapoznany w jakimś mieście portowem jako kreślarz map, albo jako sternik na galerze, chłonał chciwie idące z różnych stron słuchy.

Więc opowiadał pewien żeglarz, że na pełnem morzu wyłowił był kawał drewna, rzeźbiony tak kunsztownie, że nic podobnego jeszcze świat nie widział. Inny znalazł na morzu trzcinę bambusową, która od szyły do szyły zmieści w sobie chyba z osiem karafek wina. To znów mieszkańcy Azorów donoszą, że burza wyrzuciła na wyspę Foyal ogromne świerki nieznanego rodzaju, a któregoś znów razu wyłowiono na wyspie Graciosa dwóch topielców, którzy ani na twarzy ani w budowie ciała w niczem nie przypominali chrześcijan (to znaczy europejczyków). Żeglarz z Madeiry widział kiedyś, na pełnem będąc morzu, górzysty ląd het na za-

chodzie, zaś mieszkańcy wyspy Gomary stwierdzili to samo pod przysięgą.

Kolumb, będąc kartografem, znał nazwy owych wysp legendarnych, które w tym czasie znały się na wszystkich mapach, nawet na «jabłku ziemskim» Marcina Behaima, aczkolwiek istnienie ich nie było naukowo stwierdzone. Więc wyspy Błogosławionych, wyspa Brandan, Antilia, Brazil, wyspa Djabelskiej Ręki, wyspa Siedmiu Miast. Niczyja noga nie powstała na żadnej z nich, zawdzięczały swoją treść legendom i opowieściom żeglarskim. Brandan, opat ze Szkocji, z uczniem swoim Sankt Malo wypłynęli na morze w poszukiwaniu wysp Rajskich, aby nawrócić tamtejszych pogan. Po długim błędzeniu ląduje na samotnej wyspie Imię, której mieszkańcy modlą się do tajemniczej mogiły olbrzyma. Sankt Malo budzi olbrzyma ze stuletniego snu, wskrzeszony potwór chce już poznać naukę Chrystusową. Na chrzcie nadano mu imię Mildum. Opowiada o wyspie, której brzegi otoczone są murem ze szczerzego złota. Podjąwszy się zaprowadzić tam pobożnych swych nauczycieli, skacze do morza i na linie pociąga łódź za sobą po burzliwych falach. Wyspa nagle wynurzyła się przed nimi z głębin. Ale ledwo stanęli na wybrzeżu i zmówili modlitwy, gdy ląd zatrzęsł się. Muszą więc uciekać. Z morza widzą, jak wyspa tonie, jakgdyby ściągana w dół przez ogromną rybę. Olbrzym, wróciwszy do siebie, tak jest wyczerpany postem i modłami, że błaga pobożnych misjonarzy,

aby mu pozwolili wrócić do grobu. Ślady praświata i prahistorycznych potworów pokutują tu jeszcze w truchlejącej wyobraźni średniowiecznego człowieka—myśl o samotności nie jest dlań wzniosła, przerażenie budzi grozę i domaga się złagodzenia przez czarodziejską przemianę rzeczywistości w wyolbrzymioną albo komiczną groteskę. Chwilami snują się widoczne nitki od historycznych zdarzeń ku transoceanicznym marzeniom, jak w legendzie o wyspie Siedmiu Miast. Po najeździe Maurów na Hiszpanję, siedmiu biskupów wraz z tłumem wiernych, szukając ucieczki przed mieczami Saracenów, wyruszyło na siedmiu okrętach na Zachód. Po straszliwych burzach zawinęli do jakiejś wyspy i spalili okręty, aby zmusić gminę do wytrwania, zaczęli pośrodku oceanicznej pustyni założyć siedem cudownych miast, których nigdy nie ujrzało żadne oko śmiertelne ze starego lądu. Ale nawet ta okoliczność nie podawała istnienia tych miast w wątpliwość—żaden badacz ówczesny nie ośmieliłby się wątpić o rzeczywistości urojeń baśniowych, które były treścią tęsknoty i przedmiotem zuchwałych planów wszystkich nomadów i conquistadorów morza.

R O Z P A C Z L I W E Z A B I E G I

Dopiero od czasu przybycia Kolumba do Portugalji życie jego zaczyna stopniowo przechodzić z kręgu domysłów i zmyśleń heroicznych w sferę przybliżonej historycznej pewności. Niepodobna dziś ustalić, gdzie przebywał i czem się zajmował poprzednio. Panegirycy znakomitego odkrywcy dokładali ze swej strony wszelkich starań — podobnie jak i wrogowie — aby nie można było odnaleźć śladów. On sam, poczynając od pewnego momentu życia — z woli własnego postanowienia nie miał wcale przeszłości — tak samo jak Don Kichot.

Sposób, wrzekomy, przybycia do Portugalji, ma jeszcze mocne piętno powieściowe. Utarczka z korsarzami, pożar na zaatakowanej galerze, zatonięcie okrętu i przebycie wpław morza aż do najbliższego brzegu, gdzie odnaleźli go chłopci genueńscy — to wszystko, jakkolwiek podane przez jego syna Hernando, potwierdzone i przypieczętowane przez wiernego wielbiciela, biskupa La Casas, jest zwykłą legendą, wymyśloną gwoli bohaterskiemu nimbowi, i w żadnym szczególe nie wytrzymuje krytyki. Odrazu nasuwa się

podejrzenie, że podróż w istocie odbyła się o wiele naturalniej, i o wiele mizerniej.

Niemniej stylizowane i obliczone na efekt poetycki jest wszystko, co wiadomo o jego małżeństwie. Pewien naiwny kompilator niemiecki, który w połowie dziewiętnastego wieku szczegółowo opisał życie Kolumba, w taki sposób dał się zwieść (i to samo zresztą czyta się u Washingtona, Irvinga i innych, którzy go wyprzedzili i którzy przyszli po nim): «Dla człowieka takiego, jak Kolumb, Lizabona była wyższą uczelnią, w której sposobił się do dalszych losów. Nie brakowało tu pola do praktyki dla kapitana okrętu: miał możność prowadzić i holować okręty do Lewantu, do wybrzeży Gwinei, do Azorów i na morze Północne, a zarazem w wolnych chwilach w porcie przechodził najlepszą szkołę, kształcił się mianowicie w swym zawodzie, poznawał najnowsze wynalazki i udoskonalił się w sztuce kreślenia map. Jednak tak niezmordowany miłośnik pełnego morza z ledwością znalazłby czas i cierpliwość do spokojnych zajęć, gdyby nie obrał sobie za holowcę Amora, który go niegdyś — bo i gdzieżby nie wtargnął ten mały, pogański demon — przy burzliwej pogodzie do kaplicy Wszystkich Świętych whołował, gdzie serce mistrza z rozpostartymi żaglami zerwało się z kotwicy. Tu bowiem ujrzał donnę Filipkę Munir di Perestrello, szlachetną Portugalkę, wyjątkowej urody; szukał znajomości, potem starał się o rękę i wreszcie zaślubił ją.

Była córką, wówczas już nie żyjącego, don Pietra di Perestrella, gubernatora wyspy Porto Santo, gdzie też Kolumb z małżonką przez pewien czas mieszkał i studjował literacką spuściznę swego teścia, składającą się z różnorodnych żeglarskich projektów i gdzie ujrzał światło dzienne syn jego Diego...»

Sielanka w Biedermeierowskim stylu. Czyżby Bożek Amor? Nie, to byłoby zbyt czule i zbyt zalotne. Tak być nie mogło, i tak nie było.

Ten człowiek zapewne głębiej tkwił w zamęcie. Wyobrażam sobie, że żył w istnem piekle. Przekroczył już czterdziestkę i cóż na Boga zdziałal? Od dziesiątek lat wypełnia go to jedno pragnienie: wybić się, wydostać z tych nizin, do których go przykuła złośliwa dola, iść za wewnętrznym powołaniem, które zapoznawane przez świat, z biegiem czasu stało się dla Kolumba źródłem nieznośnych katuszy. Bliski jest desperacji. Słyszy o sukcesach o wiele młodszych żeglarzy, okręty wracają z podniecającymi wiadomościami, z miesiąca na miesiąc rozwidnia się coraz bardziej czarny horyzont nad Atlantykiem, a on skazany jest na bezczynność, wegetuje w cieniu, bezsilny i ubogi.

Widzę go, jak po nocach leży nad morzem i płonącymi oczyma obserwuje gwiazdy i maszty. Wiem, że wiecznie trawiony niepokojem, wędrował z miasta do miasta, że potajemnie wytężał słuch w szynkowniach portowych, aby

podслуhać wracających i wyruszającym dawać polecenia. Beznadziejność jego sytuacji pchała go zapewne na krawędzie występku. W latach późniejszych ujawniła się w nim płomienna, prawie że bigoteryjna pobożność—niektórzy sądzą, że robiona napokaz. Nie wierzę, aby to była maska, albo zwykłe przystosowywanie się do hiszpańskich form życia, jestem raczej przekonany, że jest to zupełnie prawidłowe odwrócenie stanu poprzedniego — przeczenia, waśni, wrogości względem Boga—a przeto istotne usposobienie jego duszy.

Owa donna Filippa zaś, tak mi się zdaje, była ubogą szlachcianką na utrzymaniu krewnych. Cóż z taką począć? Rodzina jest szczęśliwą, gdy porządny bądź co bądź człowiek lituje się nad panną, choćby to nawet był obcy przybłąda bez rodziny. Popierają go, szukają dlań klientów, torują drogę, wyjednywują protekcję i poparcie wpływowych osób. I tak powstaje szpara w tej ciemnicy bezimienności i beczynności.

Jeśli się zsumuje doświadczenia życiowe i wedle nich zestawi poszczególne biografje, to okaże się, że powolna, niejako skradająca się stopniowo karjera jest zjawiskiem o wiele częstszem, niż raptowna, nieoczekiwana i dramatyczna. Większość dramatów w dziejach ludzkości jedynie zdaleka wygląda tak zwięzłe, zbliżone bowiem składa się z drobnych i trudnych do odczytania runów.

W chwili najbardziej dokuczliwej los po raz pierwszy okazuje się przychylny: Kolumb nawiązuje stosunki ze słynnym, nadwczas osiemdziesięcioletnim florentyńczykiem Toscanellim.

Chyba przymus jakiś wewnętrzny sprawił, że we wszystkich późniejszych listach i szkicach pomija mileżeniem tego starca. Bo jeśli czuł się narzędziem w ręku najwyższego, to przecie powinien był odsunąć od siebie posądzenie, że korzystał z jakiej ziemskiej pomocy; bo przedewszystkiem podważyłoby to w nim samym mistyczne przeświadczenie o wielkiem powołaniu. Biorąc pod uwagę ukryte skłonności jego natury, należy przypuszczać, że uporeczywie tłumił pamięć o doznanej pomocy ze strony człowieka, który przewyższał go umysłem, a może nawet i o impulsie do czynu, który jemu zawdzięczał. Nie obchodziło go wcale, co świat o tem myśli. Wdzięczność jest sprawą moralności bardzo osobistej; niepoczucie się do wdzięczności niezawsze jest świadectwem braku szlachetności, albo szacunku dla siebie samego. Nieraz działa tu to samo prawo, skutkiem którego wędrowiec nocny nie pamięta drogi, którą kroczył, i miejsca, z którego był wyszedł.

I jeszcze jedno. Kolumb z pewnością nie był zdolny odseparować w umyśle kategorii myślenia i działania, a przeto lękał się, że w czynach nie będzie w pełni uznany, o ile nie usamodzielniał się w dziedzinie myśli.

Toscanelli, astronom i geograf, obserwując położenie słońca zapomocą astrolabji (ówczesnej formy kwadrantu) udoskonalił tablice słoneczne i księżycowe oraz określenie wysokości bieguna dla różnych miejsc. Poza tem we Florencji sporządził tak zwany gnomon. Kiedy koło 1450 r., Nicolo dei Conti wrócił z podróży do Indji i Jawy i prosił Eugenjusza IV, który w tym czasie rezydował we Florencji, o rozgrzeszenie, jako że na Wschodzie będąc, po rozbiciu okrętu musiał pod grozą śmierci przyjąć Islam — sporządził również dla wielkiego uczonego szczegółowe sprawozdanie. Na podstawie tego sprawozdania Toscanelli doszedł do przeświadczenia, że Europa i Azja zajmują dwie trzecie obwodu kuli ziemskiej tak zwane dwieście trzydzieści stopni szerokości, wobec czego droga zachodnia do Indyj przez ocean może wynosić tylko sto trzydzieści stopni. Był to błąd brzemienny w skutki, błąd który wpłynął na całe życie i na strukturę umysłową Kolumba. Bez tego błędu nigdyby nie miał odważyć się zdobyć się na to przedsięwzięcie.

Ale Toscanelli powoływał się na Marinusa z Tyru, poprzednika Ptolomeusza i przejął od niego rzut siatkowy podłużnej mapy płaskiej, do tego czasu nieznaną, później wykorzystaną przez Marcina Behaima, w jego globusie. Mapa, którą narysował, budziła wielki podziw — tego rodzaju nowinki przyjmowano wówczas z takim zainteresowaniem, z jakim dzisiaj przyjmuje się przełomowe odkrycia chemiczne. Nie dziw

więc, że nasz uczony przede wszystkim posłał swoje dzieło owemu księciu, który stał wtedy w ośrodku wszelkich ruchów żeglarskich, którego okręty od dziesiątków lat docierały do nieprzebytych, groźnych krańców mórz — słowem królowi portugalskiemu. Zwracał się, jak to zwyczaj nakazywał, do spowiednika królewskiego, w ciekawym liście jasno wyłożył swoje koncepcje geograficzne i, wyposażywszy je w naglące argumenty, polecał nową drogę morską do Indyj. Pisał dwudziestego czwartego lipca 1474 roku: «Widzicie z tej mojej mapy, że odległość od Lizabony do miasta Quinsay wynosi dwadzieścia sześć espacios t. zn. trzy tysiące dziewięćset trzydzieści mil, odległość od wyspy Antilia do Zipango (t. zn. Japonji) tysiąc pięćset mil. Pragnąłbym, aby ta mapa pozyskała sobie przychylność Jego Wysokości i proszę podać Jej do wiadomości, że zawsze, w każdej sprawie, do której powołać mnie zechce, będę do usług».

Król Alfonso, może dlatego, że nie miał pieniędzy, a może interesy jego szły w innym kierunku, nie okazał przychylności dla projektu, i oto przez długie lata list florentyńczyka leżał zarzucony w archiwach. Kolumb, który przybył do Portugalji chyba nie wcześniej jak przed rokiem 1477, miał możność w jakiś sposób o tym liście się dowiedzieć. Znano jego namiętność — i jakżeby mógł ją utaić przed otoczeniem — wiadano, że jest więźniem zamkniętym wraz

z swym płomiennym snem—niby tygrys w klatce, której pręty w desperacji szarpie.

Z pewnością powiedziano mu: Toscanelli zawierzył królowi ważną tajemnicę, postaraj się wydostać ten dokument. Odtąd stało się to jego myślą natrętną. Prawdopodobnie żona wystarała mu się o kontakt z osobami z kół dworskich, i oto dzięki ich poparciu uzyskał dostęp do monumentalnej epistoły Włocha i przeczytał ją, być może tylko w odpisie. Podziałala nań piorunująco. Nie ulega chyba wątpliwości, że ta właśnie godzina stanowiła o jego losie. Odtąd umiał już formułować swoje pragnienia.

Napisał więc do Toscanelliego. Napisał tak, jakgdyby nic nie wiedział o liście jego do króla, jakgdyby nie znał tej mapy, którą florentyńczyk dostarczył spowiednikowi. Toscanelli odpowiedział z wielką gotowością, przesłał mu nową mapę, podał dokładne wiadomości i zakończył zdaniem: «Bądźcie przekonani, że znajdziecie potężne królestwa i że książęta w nich panujący radzi będą niezmiernie, że otwieracie im drogę do chrześcijaństwa, i umożliwiacie poznanie naszej religji i wszystkich naszych nauk».

Kolumb, bardzo wrażliwy na wszelkiego rodzaju prorocтва, wziął te słowa głęboko do serca, czyniąc z nich swoje wyznanie wiary. Zachęta znakomitego uczonego była dlań jakby aktem pasowania na rycerza, i teraz chodziło tylko o to, aby pozyskać sobie ucho królewskie. Z prośbą swą zwrócił się do króla Joana, bo

Alfonso umarł w 1481 roku. Bardzo zapewne uciążliwa praca Kolumba nad zbieraniem materiałów, dowodów i argumentacji wymyka się naszej wiedzy,—tyle tylko wiadomo, że starannie unikał wzmianki o Toscanellim. Powoływał się na wszelkich poręczycieli—poetów, filozofów, astrologów, biblijnych proroków, ale ani tu ani później w Hiszpanji nie wymienił wcale Toscanelli, jakkolwiek nieraz miał sposobność wyrazić swój hold dla czcigodnego mistrza, a jednocześnie i uwierzytelnić się jego osobą.

Dziwne postępowanie. A przecież wiadomo z pewnością, że gdy dziesięć lat później wyruszył w pierwszą podróż, miał na pokładzie mapę Toscanelli i według niej wyznaczał kierunek. Jeśli to nie była zła wola, to może lęk przed współczesnymi, przepelniający w początkach uzasadnionej nadziei jego ciemną i demonicznie zafrasowaną duszę; bo skoro Toscanelli jego natchnął do czynu, to przecież mógł natchnąć i innych, bardziej odeń szczęśliwych i ruchliwszych. A jeśli nie będzie pierwszym, to już na zawsze jest zgubiony i unicestwiony.

Omówiona wymiana listów zawsze budziła pewnego rodzaju panikę w obozie bezwzględnych wielbicieli Kolumba. Aby oczyścić bohatera z zarzutu nieuczciwości i perfidji, przedstawiano daty, zaciemniano, i z całą świadomością interpretowano fałszywie brzmienie słów, zacierano treść. Chodziło o to, aby udowodnić, że Kolumb z własne-

go popędu zwrócił się do Toscanelliego, a nie że najpierw okólnymi drózkami uzyskał dostęp do jego dawnego listu do króla. Względy mocno uzasadnione przemawiają za tem, że list Kolumba do florentyńczyka nie był pisany przed rokiem 1479. Już i ta data wystawia chlubne świadectwo jego cierpliwości, albowiem—ponieważ król Alfonso odrzucił propozycje Toscanelliego, i wszelka nowa próba byłaby płonna — czekał jeszcze dwa lata, aż się po śmierci Alfonsa widoki jego poprawiły. W międzyczasie przedstawił pono swój projekt rządowi francuskiemu i angielskiemu i radzie genueskiej—aby zewsząd otrzymać rekuzę albo zbywające obietniki.

Ale nie o to chodzi. Nie o ratowanie honoru, nie o posągowość i upiększanie prawdy. Tu niema być sporządzony postument, lecz pokazany człowiek, którego osobliwa, z mrokiem stopiona wielkość może być poznana jedynie poza ramami tradycyjnej historii. Wszystkie moralne słabostki jak i historyczne niejasności należą do rozdziału z książki «Nebulosa do Colón», wyposażonej przez pewnego dzisiejszego pisarza hiszpańskiego w bogaty materiał. Gdyby w najmniejszym bodaj stopniu powiodło się Kościółowi rozproszyć tę mgłę, aby intronizować nowego świętego — postać Kolumba straciłaby swój odblask tragiczny i porywającą problematykę.

W dniu, w którym król Joan udziela mu audjencji, Kolumb wstępuje w światłokrąg historii.

Obiecuje złote góry w dosłownem znaczeniu. Przrzeka raj, niemetaforyczny, bo przecież po to tylko pragnie wyruszyć, aby go znaleźć. Okazuje się człowiekiem zdumiewająco wymownym; wprowadzie dar słowa jest mu przyrodzony, ale można sobie łatwo wyobrazić, do jakiej gorączki, do jakiej porywającej potęguje się mocy, gdy Kolumb po raz pierwszy ma okazję w tak wysokiem miejscu mówić o swojej idei, o swej misji, gdy wszystko zawisło od «nie» albo «tak» jego słuchacza.

Król waha się. Przedstawia projekt swym doradcom. Ci uważają Kolumba za bezmózgiego marzyciela, którego fantazje na temat wyspy Zipangu nie zasługują na zaufanie. A gdyby nawet Joan był mimo to skłonny wdawać się z Kolumbem w układy, niedorzeczne żądania genuenńczyka musiałyby go ostatecznie odstraszyć. (Te same żądania stawia później z równie niezachwianą uporczywością hiszpańskiej parze królewskiej, nie rozumiejąc, że dyskredytują jego poczytalność umysłową w oczach każdej, rozsądnie i wyrozumiale myślącej, istoty).

Niebardzo wiarogodne podanie stwierdza, że król Joan jakoby potajemnie wyekwipował jeden ze swych okrętów, zaopatrzył go w mapy i plany genuenńczyka i wysłał w podróż odkrywczą pod pretekstem dostarczania żywności na wyspy Kapverdyjskie. Kapitan podobno wrócił jednak z niczem, ponieważ orkany i burzliwe morze stawiało mu przeszkody nie do

przezwyłączenia. Podstęp króla był wrzekomo przyczyną, dla której Kolumb porzucił dwór portugalski i uciekł do Hiszpanji.

Ale wistocie sprawa nie przedstawiała się tak prosto. Ucieczka zawiedzionego w nadziejach Kolumba jest faktem ustalonym, ale przyczyny są niejasne. Zdaje się jednak, że wszedł w zatarg z sądami. Niektóre aluzje (w późniejszym liście króla) każą przypuszczać, że groziło mu uwięzienie za długi, jeśli nic gorszego. Nie trzeba zapominać, że był zbiedzonym, drobnym urzędnikiem, a może nawet i to nie — wszędybylskim suplikantem, antyszambrowcem, natrętnym projektomanem. Tego pokroju osobnikom nie ufa się instynktownie, stale grozi im kara zarówno za błahe przewinienia jak i za grubsze występki, a nadomiar są zwykle ośmieszani.

Zabiera ze sobą w podróż syna swego Diega — żonę i młodsze dzieci zostawia w Portugalji, prawdopodobnie w nędzy i opuszczeniu. Aby ta oschłość serca nie rzucała szczególnego światła na bohatera, umoralniający biografowie Kolumba utrzymują, iż donna Filippa poprzednio jeszcze umarła, a mąż jej zamierzał odwieźć najstarsze dziecko do krewnej, do Huelvy — w Hiszpanji. Nie chce mi się jednak wierzyć, aby w tej mrocznej chwili życia, jakieś względy uczuciowe mogły mu stanąć na przeszkodzie do porzucenia kraju, od którego nie spodziewał się już żadnej pomocy. Rdzeniem jego jestestwa jest wieczny niepokój. Stale jest w ucieczce, aż do samej

śmierci, bez wytchnienia tuła się po lądach, wędruje po morzach — ta postać — jedna z najbardziej niespokojnych, jakie zna historia.

Obserwować ze znacznego oddalenia, jakie dzieli nas od każdego historycznie zamkniętego procesu, obserwować jak wielki człowiek jest pociągany ku swemu celowi przez swą gwiazdę, niby przez nieustannie działającą siłę magnetyczną — jest to zajęcie niezmiernie emocjonujące. Cokolwiek czyni, albo nawet czego nie czyni, każdy błąd, każda zwłoka, a nawet to, co się zdaje iść naprzekór jego dążeniom, w rzeczy samej zbliża go do celu o każdorazowo niezbędny krok.

Żebrak, który u furtki klasztoru franciszkańskiego La Rabida błagał wyczerpany o wodę i chleb, widział się u kresu nadziei. Już dawno nie jest młodym człowiekiem. Prawdopodobnie ma się ku pięćdziesiątce, włosy jego są całkiem siwe, rysy pomarszczone, zaznał tyłu poniżeń i goryczy, zadał sobie tyle daremnej pracy, roztrwonil tyle żaru wewnętrznego, spotkał się z takimi szyderstwami i odmowami, że wydało mu się wystarczającą satysfakcją: położyć się i umrzeć.

Najniższy ten punkt jego krzywej życiowej jest zarazem początkiem wzniesienia. W tym to celu Opatrzność osadziła w odległym klasztorze dwóch niezwykłych ludzi: czcigodnego przeora Juana Pereza, który swego czasu służył przy

skarbie, był spowiednikiem króla i w końcu znużony blaskami świeckiego życia zamknął się w celi i oddawał pobożnym ćwiczeniom i naukowym pracom; i drugiego, mnicha Antonia de Marchena, cichego marzyciela, który również zajmował się kosmografią, a jeszcze chętniej — astrologią.

Twarz napiętnowana duchowem cierpieniem, wysoka, szczupła postać, patos tej postaci, obca wymowa żebrzącego przybysza zwracała na siebie uwagę. Zadają mu pytanie, kim jest. Odpowiada: «Nazywam się Christobal Colón, jestem żeglarzem z Genui, zmuszonym prosić o jałmużnę, ponieważ królowie nie chcą przyjąć państw, które im ofiaruję».

Powiedzenie bajecznie don-kichotowskie, nieporównanie wymyślone słowa, o ile istotnie są wymyślone. Potomność zwykła opiewać swoich nieśmiertelnych pod postacią czystej idei, której nie wyrazili w całej pełni podczas swej wędrówki ziemskiej.

Takiego dziwaka należy zatrzymać. Udziela mu się gościny. Budzi podziw swoją wiedzą, głębią myśli, opowiadaniem niezwykłych przeżyć, pańską postawą, niezachwianą wiarą w siebie. Pogawędki noc w noc przeciągają się do świtu. Kolumb na mapach swoich wskazuje drogę, którą chciałby obrać, jego argumentacja jest uderzająca, elokwencja nieodparta. Nie tai się z tem, że najpierw i później — po raz wtóry już po ucieczce z Portugalji, zaproponował swe

usługi Anglii i Francji za pośrednictwem swego brata Bartolomé; przeor rozpromieniony oświadcza, że projekt o takim zasięgu powinien być za wszelką cenę przedłożony rządowi hiszpańskiemu. Z sąsiedniego miasta portowego Palos sprowadza rzeczoznawców, między nimi Alonsa Pinzona, który później w pierwszej wyprawie Kolumba dowodzi jedną z trzech karawel i z pomiędzy wszystkich współczesnych żeglarzy wyróżnia się najgenialniejszą formą męstwa. Plan zyskuje aprobatę doświadczonych mężów, uznali, że jest wykonalny, przeor namawia Kolumba, aby pojechał do Kordowy, gdzie przebywa dwór, i daje mu list polecający do wszechmocnego Hernanda de Talavery, spowiednika królowej Izabelli.

Kolumb, niezmordowanie sangwiniczny, jak wszyscy błędni rycerze, widzi już owoc tam, gdzie roślina ledwo kielkuje, i w różowym usposobieniu udaje się do Kordowy.

Tu znowu okazuje się, że wybrał się nie w porę. Ferdynand i Izabella wojują z Maurami. Skarbce państwowe wypróżnione, para królewska jest w tarapatkach i okazuje słabe zaciekawienie dla fantastycznych propozycji obcego przybysza, Talavera nie ukrywa swego sceptycyzmu, arcybiskup Toleda, u którego Kolumb wyjednał sobie posłuchanie nie chce się wiązać odpowiedzialnością, bogaty książę Medina-Coeli, znany z zamięłowania do przygód morskich, jest znowu skąpy,

ostrożny i kapryśny. Nędzny strój, w jakim Kolumb pojawił się na dworze, nie przysparza mu szacunku. Odsyłają go od jednego granda do drugiego, z przedpokoju do przedpokoju, jedzie za dworem do Salamanki, stara się wszystkich pozyskać dla swoich pomysłów, każdy zbywa go byle czem, uśmiechają się, drwią z niego — i wreszcie po długich zabiegach udaje mu się stanąć w obliczu królowej. A stało się to dzięki wysoce pobożnemu arcybiskupowi Toleda, (który był zarazem wielkim kardynałem Hiszpanji), który po długich badaniach doszedł do przekonania, że genueńczyk nie ma zamiarów sprzecznych z Pismem Świętem, że wręcz przeciwnie dobitnie powołuje się na słowa proroka, że «końce ziemi będą złączone i wszystkie narody i języki pojednane pod znakiem Zbawiciela».

Królowa zależna w swych przekonaniach od dostojników kościoła, wysłuchuje petenta, wątpi, niezupełnie rozumie, nie umie się jednak obronić przed dziwnem wrażeniem, jakie wywiera na niej ten niepokojąco wymowny, wewnętrznie rozplomieniony mężczyzna. Prawdopodobnie budził zarazem jej litość kobiecą: bądź co bądź jest zącną niewiastą pomimo całej obłąkanej dewocji. Stosunek między władczynią a najwierniejszym ze sług w dalszym rozwoju zabarwia się tajemniczą czułością. Prawie w każdym z ópźniejszych listów Kolumba drga potajemnie ton, bardziej odnoszący się do kobiety niż do królowej, ton, który ją chyba musiałw zruszać,

skoro brała go w obronę przed zapobiegliwymi wrogami i traktowała jego głupstwa z wyrozumiałością. Ale na początku zjednał sobie jej zaufanie swoją ekspresyjną, bardzo hiszpańską pobożnością. Jako władczyni z powołania, wyczuwa ona w tym człowieku instynktownie potęgę woli, rokującą wielką przyszłość; zdaje sobie sprawę, że przyrzeczenia jego nie są na wodzie pisane. Postanawia, że Junta ma zbadać tezy i twierdzenia przybysza i wydać o nich opinię, a tymczasem, aby zaopatrzyć jego widoczne ubóstwo, udziela mu niewielkiej zaliczki. Dzięki temu, Kolumb może się przynajmniej uważać za urzędnika królewskiego i zajmować się swoją sprawą z legalnym autorytetem.

Wszakże oczekiwały go jeszcze lata męczącego oczekiwania, walki z dworskimi intrygami i kościelnymi przesadami. Pewne aluzje w jego listach, jak i zresztą skłonności jego charakteru nasuwają przypuszczenie, że w tym czasie desperacja w sposób najdotkliwszy zakłócała jego równowagę psychiczną.

Rozdział czwarty

BADANIE, SUPLIKI, WŁÓCZĘGI I SZALONE WYMAGANIA

Według rozkazu zebrała się Junta w Salamance, w klasztorze dominikanów San Esteban, w którym Kolumbowi wyznaczono pomieszczenie. Było to na przełomie 1486 i 87 r. Colón został wezwany do złożenia i wyjaśnienia swoich projektów. Co się tyczy wyniku, to wiadomości z owego czasu wypowiadają się niedwuznacznie: wyjąwszy Fray Diega de Deza, profesora teologii, wszyscy uczeni dostojnicy zachowywali się zdecydowanie nieufnie i odmownie.

Religia i nauka były w owym czasie w Hiszpanji identycznymi dyscyplinami. Inkwizycja przeżywała okres najwyższej potęgi, wszelka opinja, posądzona o kacerstwo, narażała swoich wyznawców na krwawe prześladowania. Pobożny trybunał był i w tym wypadku wyraźnie uprzedzony, co wynika z jego ducha i ustawy: Kolumb stanął przed nim nie tyle jako pełnomocnik w sprawie królewskiej, ile jako winowajca, którego błędy i odstępstwa mają być sądzone. W każdym razie uchodził za awanturnika, a już

żeby traktować go najłagodniej, za szarlatana, i napewno od samego początku okopał się w nieprzyjacielskiej pozycji.

Najistotniejszy był ten argument: zważywszy, że wielcy filozofowie poświęcali się badaniu kształtu ziemi, a dzielni żeglarze od tysięcy lat dawali wiarogodne relacje, — czyż nie należy uznać za czelne uroszczenia pospolitego człowieka, który twierdzi, że on właśnie jest powołany do dokonania tak wielkiego odkrycia. Przeczą temu psalmy Dawidowe, wypowiedzi świętego Chrysostoma, świętego Hieronima, świętego Grzegorza, świętego Bazylego i świętego Ambrożego. A przede wszystkim jedno miejsce u świętego Lactancjusza, które brzmi: «Czy człowiek może być aż tak obłąkany, żeby wierzyć w istnienie antypodów, którzy mają nogi zwrócone w odwrotnym kierunku, chodząc nogami do góry a głową w dół? Jako też w istnienie na świecie miejscowości, gdzie rzeczy są odwrócone, drzewa rosną wspak, a deszcz, grad lub śnieg pada w górę? Oblędny pomysł, że ziemia jest kulistą, jest źródłem tej głupiej bajki o antypodach, zaś osoby, plotące te brednie, brną coraz głębiej w błędach, wywodząc z pierwotnego coraz to inne».

Tak samo święty Augustyn uznał teorię antypodów za sprzeczną z podstawami wiary chrześcijańskiej; kto głosi istnienie krajów zamieszkałych po drugiej stronie kuli ziemskiej, ten przeczy tem samem pochodzeniu tych ludów od Adama, albowiem prarodzice nasi nie mogli przecie

przeprowadzić się przez ocean; przeczy więc podstawowej prawdzie Biblii, że wszyscy ludzie wywodzą się z jedynej pary rodzicielskiej. Dalej: czy nie mówi się w psalmach, że niebiosa są naciągnięte na podobieństwo skóry, co ma znaczyć, że są nakryciem namiotu, jakie dawne plemiona pasterskie sporządziły ze skór zwierzęcych; przeto właśnie święty Paweł w liście do Hebrajczyków nazwał niebiosa tabernakulum, rozpostartem nad ziemią, przez co chciał powiedzieć, że jest ona płaska w całej swej rozciągłości.

Kilku liberalniejszych członków rady nie przeczyło kulistemu kształtowi ziemi, uznawało nawet istnienie antypodów, ale twierdziło, że dostęp do nich jest niemożliwy, albowiem pod zwrotnikami morze kipi i fale się gotują. Zresztą według Epikura ziemia, chociaż kulista, jest otoczona niebem tylko w północnej połowie, nad drugą zaś rozciąga się chaos, otchłań, nieskończona pustynia wodna. Ale nawet jeśli założymy, że można do Indyj dotrzeć drogą morską, — jakże możliwy będzie powrót, skoro na powierzchni kuli można tylko wdół zjeżdżać ale nigdy się w górę piąć. I czy nie wysunął już tego pytania Seneca w swoim *Suasoriae*: zaliż Aleksander wypłynie na ocean, mniemając, że Indje są ostatnią krainą świata, a dalej już tylko noc wieczna się ciągnie? Nie — odpowiada on sam — Aleksander nie wypłynie, aby szukać nowego świata. Jakże więc może człowiek dzisiejszy

pokusić się o taki czyn niesłychany, skoro nie posiada ani boskiej potęgi Aleksandra ani jego królewskich zasobów?

Szczególny konflikt: jakże mógł Kolumb przeciwstawić się atakowi scholastycznej dyskusji i wyjść zwycięsko z przesłuchania, on, który we wszystkich swoich zapatrywaniach i pojęciach stał na tym samym gruncie, co jego inkwizytorzy, i nie miał żadnej przeciwwagi prócz bezpośrednio danej wewnętrznej wizji i niezłomnego przeświadczenia? Chyba próbował, co ze względu na jego talent krasomówczy przyszło mu łatwo, zwalczać tych mędrców własnym ich orężem; bo wszelkie naukowe argumenty, gdyby nawet umiał się nimi skutecznie posługiwać, pociągnęłyby za sobą fatalne konsekwencje.

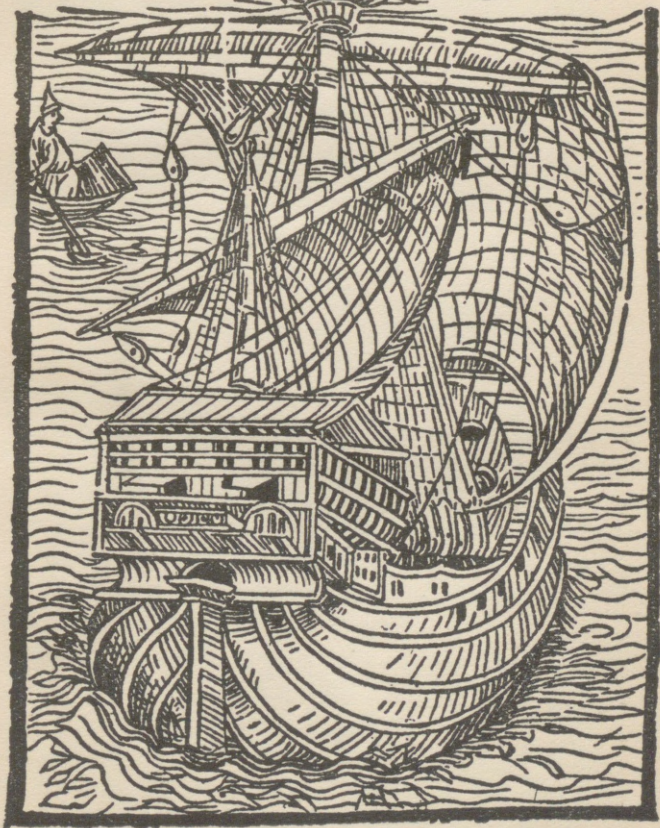
Kiedys, w latach chwały, pisał do króla Ferdynanda: «Przybyłem jako wysłaniec Ducha Świętego do Waszej Królewskiej Mości, aby rozpow szechnić świętą wiarę, albowiem Pan Nasz mówił wyraźnie o tych krainach przez usta proroka Izajasza: z Hiszpanji będzie imię jego zwiastowane». Ale już wówczas, wobec pobożnej korporacji w san Esteban wydawał się za iluminata. Gwałtownie naciągane wersety z Izajasza znajdują się w dwudziestym czwartym i sześćdziesiątym piątym rozdziale: «Z kraju ziemi słyszeliśmy chwałę, sławę sprawiedliwego». I dalej: «Bo oto jak tworzę niebiosa nowe i ziemię nową». Że do misji tej jest powołany właśnie król hiszpański, to już trzeba kłaść na karb wspa-

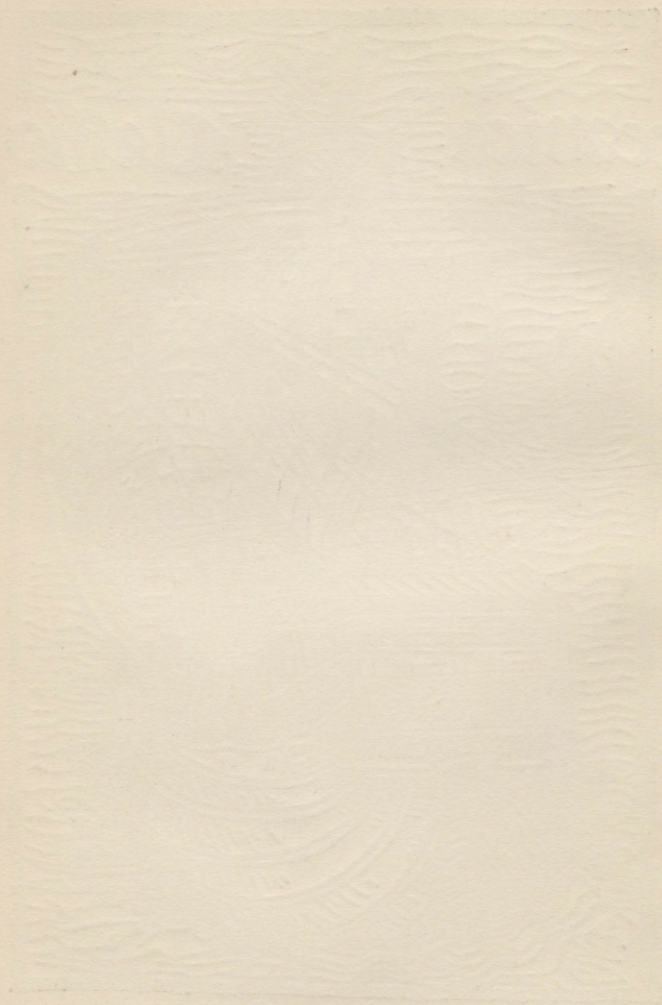
nialej dowolności tego monomana i niewolnika słów. Niemniej dowolnie, sławiąc cud swego wybrania, interpretuje tajemnicze słowa z księgi Hioba: «Skądże tedy mądrość pochodzi i które jest miejsce rozumu. Skryta jest od oczu wszystkich żywiących: ptacy też niebiescy nie wiedzą o niej. Zatrącenie i śmierć rzekły: uszyma naszem słyszeliśmy sławę jej. Bóg rozumie drogę jej i on wie miejsce jej. On bowiem widzi kraje świata i na wszystko, co jest pod niebem, patrzy. Który uczynił wiatrom wagę i wody zawiesił pod miarą».

Takiemi to słowami, z pietyzmem czerpaniem z praźródeł ludzkości, uspakaja wrogię mu zgromadzenie. Niech widzą, że i on ma autorytety po swojej stronie, rozwija swoje pergaminy, odczytuje majestatycznym głosem. To o nim myśląc, wypowiadali się praojcowie ludzkości, o nim myśleli patriarchowie. Tu są jego mapy — już jest wytknięta marszruta; wszakże, by nie odkryć zawczasu swoich dróg i nie postradać owoców swojej pracy życiowej (zmądrzał widać po podstępnej próbie króla Joana), ogranicza się do nieokreślonych aluzji, które zresztą o wiele bardziej zastanawiają obecnych mnichów, prałatów, biskupów i arcybiskupów, niżby to mógł uczynić jasny wykład, albo powołanie się na takiego badacza jak Toscanelli. Jak już gdzieś indziej wspominałem, nie uczynił tego i tym razem. Nie można było nie słuchać go, nie dyskutować, ale najmocniej działał jego zapal, ta

Oceanica

Classis





postawa niezachwianego fanatyka, to oko wizjonerskie, już widzące lądy i królestwa, których istnienie było jeszcze przedmiotem sporów.

Jednak wyrok Junty był odmowny. Colón udał się do królowej i rzekł: «Trybunał pozbawia Waszą Królewską Mość sławy, honorów i bogactw». Królowa chciała się upewnić i zleciła projekt radzie państwowej do ponownego zbadania. Rada państwowa orzekła, że pomysły genuieńczyka żadną miarą nie mogą być słuszne, że jest on ofiarą zagmatwanych urojeń. Komplikacje wojenne nie pozwoliły królowej, przynajmniej w najbliższych miesiącach, zająć się protegowanym, kazała od czasu do czasu doręczać mu drobne kwoty, i poleciła mu jechać za dworem do Malagi. Miasto to zostało zdobyte, wielki meczet był wyświęcony na katedrę. Wskutek zbytniego skupienia ludzi, albo też lekkomyślnego grzebania trupów w sierpniu 1487 wybuchła zaraza, i dwór czem prędzej przeniósł się do Cordowy, potem na zimę do Saragossy, na wiosnę do Murcji i wreszcie na jesień do Valladolidu. W ostatecznem naprężeniu, w bezradności tęskliwej wędrował Kolumb za królową z miasta do miasta, z obozu do obozu, z Valladolidu do Mediny del Campo, stąd znowu do Cordowy, składał suplikę za supliką, zabiegał o posłuchanie u książąt, biskupów, kawalerów orderów, u książąt krwi i księżniczek, pozyskiwał sobie czasami łaskę i poparcie, naprzykład księcia Medina Sidonja, ale przeważnie zwodzono go, a i nieraz

odprawiano pogardliwie z kwitkiem, traktując go jako pociesznego błazna, to jako natrętnego suplikanta, to znów jako wędrownego astrologa, a czasem i jako zagranicznego szpiega.

W maju 1487 r. otrzymał trzy tysiące marawedów (w przybliżeniu czterysta siedemdziesiąt złotych dzisiejszych), w lipcu znowu trzy tysiące, w sierpniu cztery tysiące i w październiku również cztery. Starczyło tego akurat na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb. Jakkolwiek były to kwoty skromne, jednak dowodzą, że królowa, pomimo dwukrotnego odrzucenia projektu, raz przez Juntę, a drugi raz przez radę państwową, nie chciała dopuścić do upadku Kolumba.

Istnieje poza tem rozkaz królewski, pismo sporządzone w formie paszportu do rad miejskich, sędziów, regidorów, rycerzy, suzerenów, urzędników państwowych. Zalecało ono udzielić bezpłatnie kwatery Christobalowi Colónowi, gdziekolwiek się zjawi, i policzyć mu kosztą wiktury wedle cen przyjętych. Albowiem ważne sprawy w służbie królewskiej zmuszają go do pobytu przy dworze i ciągłych podróży po kraju.

Podobno nietylko dzielił z królową niebezpieczeństwa i przywacie wyprawy wojennej, ale też nieraz składał dowody wielkiego męstwa, więc jak wiadomo przy oblężeniu Bazy, gdzie obecność królowej zagrzała odwagę jej rycerzy do ostateczności, aż Muley Boabdil, król Grenady, zmuszony był wkońcu prosić o pokój. Władca maury-

tański w chytrem wyrachowaniu namówił sultana egipskiego, aby wysłał delegację zakonników jerozolimskich do królowej: mieli oni zapowiedzieć, że Święty Grobowiec będzie zburzony i nastąpi rzeź wszystkich chrześcijan w Syrii i Palestynie, jeżeli królowa nie cofnie swej ręki od Grenady. Izabella po ciężkiej walce wewnętrznej nie ustąpiła przed groźbą, odprawiła zakonników, przyrzekłszy im posyłać na utrzymanie Grobu Pańskiego tysiąc dukatów rocznie i ofiarowawszy jako votum dla miejsc świętych kwef własnoręcznie utkany.

Podobno Kolumb był obecny przy tej scenie, a sprawiła na nim tak głębokie wrażenie, że ślubował wszystkie skarby, które niechybnie przywiezie z Indyj, oddać na wyprawę krzyżową do Syrii w celu uwolnienia Grobu Świętego. Tak już rozporządzał się wielkodusznie—istny prototyp Don Kichota—bogactwem, do którego nie było jeszcze drogi, na które nie mógł zupełnie liczyć.

Z królewskim paszportem w kieszeni, błąka się po Hiszpanji, prawdopodobnie od karczmy do karczmy, od zamku do zamku, szuka zwolenników, pragnie znaleźć pomoc, urobić nastroje, zebrać kapitał do wyekwipowania floty, pisze listy, kreśli wciąż mapy, z trwogą interesuje się wiadomościami z teatru wojny, jako że zwycięstwo albo porażka, jak mu często mówiono, będzie zarazem zwycięstwem albo porażką jego sprawy.

Podczas chaotycznych i niezmordowanych wędrówek Ignie do Kolumba wszelaki podejrzany i występny ludek—awanturnicy, dezterterzy, bankruci, malkontenci wszystkich stanów, zrujnowani hidalgowie, zbiegli zakonnicy, zawodowi pieczeniarze—ludzie, którzy mu się przypochlebiali, basują, którzy podsycają w nim i potęgują poczucie upośledzenia i zarazem powołania, jednocześnie za plecami strojąc z niego kpiny. Zbiorowo składali się na to, co w dwieście lat potem znalazło wspólną, typowy i indywidualny wyraz w postaci Sancho-Pansa. Określony ruch życiowy powoduje we wszelkich warunkach jednakowe ugrupowanie charakterów, te same ciężenia i uwarstwienia ducha, a czasami spaja je w jedną postać. A że historia tak niewiele może o tem powiedzieć, to tylko dowód, do jakiego stopnia jest niemądra i nieoryginalna, jakim dziurawym przetakiem sili się czerpać materję tak subtelną.

Na te lata przypada stosunek miłosny z ubogą szlachcianką z Cordowy, Beatriz Henriquez, siostrą Pedra de Arane, którego później mianował komendantem załogi w Espanoli. Podobno była piękna i okazała marzycielskie zainteresowanie dla tego conajmniej o lat trzydzieści starszego mężczyzny. Należy sądzić, że zawdzięczał jej wiele, że opiekowała się nim i dodawała mu otuchy, że w okresie ciężkich strapień była może jedynem sercem, naprawdę mu oddanem. W każ-

dym razie w testamencie zaleca stanowczo swym spadkobiercom, aby się nią zajęli, bo poczuwa się względem niej do głębokich obowiązków. «Czynię to, aby ulżyć sumieniu, albowiem obciąża to moją duszę. Nie jest tu miejsce stosowne, aby się wdawać w przyczyny».

Dlaczego? Czy dlatego, że związek ów nie był uświęcony przez kościół? Zdawałoby się, że tak. Poglądy jego na te sprawy z roku na rok stawały się coraz bardziej surowe, wywalczona dostojność opanowała go całkowicie i, aczkolwiek słowa te mogły ukrywać inną jeszcze tajemnicę, już sam fakt nielegalności tego stosunku był dostateczny, aby sumienie jego czuło się obciążone. A był to człowiek, dla którego każdy ciężar stawał się udręką. Pisarze katoliccy starali się kryć milczeniem to uchybienie przeciwko moralności, albo też kłamliwie podawali ów związek za legalny.

Owocem jego był syn, Hernando, ten sam, który spisał żywot swego ojca w wielokrotnie kwestjonowanej książce, pełnej fałszywych danych i malowniczych wypaczeń. Książka ta jest jakgdyby partacką restauracją, pod którą prawdziwy obraz na zawsze marnieje. Prawdopodobnie pod wpływem trudności, związanych z urodzeniem się nieślubnego dziecka, Kolumb zamierza wrócić do Portugalji. Zostawił tam może niezalatwione interesy, które trzeba było uporządkować, czy też ważne papiery, a może już naprawdę miał dość tej podstępnej gry na zwłokę

i głęboko strapiony, albo chciał istotnie porzucić Hiszpanję, albo zamierzał wyrzucić tylko presję. Wystosował podanie do króla Joana, aby mu zagwarantował na jakiś czas bezpieczeństwo w swoim kraju. Widzimy więc znowu w sposób oczywisty, że poprzednia jego ucieczka nie była dobrowolna. Król Joan, który oczywiście wiedział, że suplikant jest obecnie na służbie hiszpańskiej, i chyba żałował, że sam z proponowanych usług nie skorzystał, odpowiedział skwapliwie, że Kolumb może spokojnie przyjechać. Pismo kończyło się zdaniem: «a że przypadkiem poszukiwany jesteś waszmość przez władze nasze w związku z pewnymi wypadkami, w których brałeś udział, przeto niniejszem pismem postanawiamy, że waszmość nie może być zatrzymany, oskarżony, zapozwany ani przesłuchiwany w żadnej sprawie, cywilnej czy kryminalnej czy jakiegobądź innej».

Niewiadomo, czy odbył tę podróż. Zdaje się, że przygotowywał się tylko do niej i wkońcu pojechał do swoich przyjaciół z La Rabida. Przybył tam w takim samym stanie przygnębienia i beznadziei, co i za pierwszym razem przed pięciu czy sześciu laty. On sam, a może przyjaciele jego puścili pogłoskę, że zamierza w każdym razie wyjechać z Hiszpanji i szukać szczęścia we Francji i Anglii. Dowiedziawszy się o tem, królowa wysłała pełnomocników, aby znowu nawiązali z nim pertraktacje. Pokładała w nim jakąś dziwnie przewidującą ufność, odkąd zaś

wiedziała, że ślubował całe złoto Indyj przeznaczyć na zdobycie Grobu Świętego, przyłączyła się do ufności pobożna wdzięczność. Pod wpływem wymownego listu Fraya Juana Pereza, którego darzyła bezwzględnym zaufaniem, to co było dotychczas grą myśli, stało się dla niej obowiązkiem.

Wzywa więc Kolumba do siebie. Przesyła mu dwadzieścia tysięcy marawedów w złocie na kosztą podróży i uzupełnienie garderoby. Kolumb przebywa w Palos, mieszka u lekarza Garcia Hernandeza, gnało go coś do miasta portowego, pragnie widzieć morze, ma dziwne poczucie, że ocean zniknął. Doręczają mu list i pieniądze. Starczy tego na konia z rzędem, służących i jedwabne szaty. Jedzie do Santa Fe, niedaleko Grenady, gdzie obozuje dwór królewski.

Ale czy królowa ma mu coś do powiedzenia? Nic. Prawie nic. Niech się jeszcze uzbroi w cierpliwość. Grenada niedługo już będzie zdobyta, niewierni zamknęli się w Alhambrze, każdej chwili może nastąpić rozstrzygnięcie. Data: grudzień 1491. Cierpliwość? Wyczerpał ostatnie jej resztki.

Głód zmusił maurytańskiego króla Mohameda Boabdilla do zdanienia miasta i fortecy. Teraz już cała Hiszpanja jest wolna od Saracenów, osiemset lat po najeździe. Wielki triumf w obozie hiszpańskim, uczty, nabożeństwa dziękczynne. Czy już nareszcie wolno nieszczęsnemu petentowi żywić nadzieję? Czy znajdzie posłuch? Czy zechcą mu uwierzyć? Posępnie i nieledwie z nienawiścią przygląda się powszechnej wesołości, zawiele sił

żywotnych strawił, ciało jest spróchniałe, duch zatracił elastyczność, dusza złodowaciała. Staje przed parą królewską, aby złożyć powinszowania, królowa wyróżnia go, honoruje łaskawą przemową, przyrzeka, że zamianuje komisję, która rozpocznie z nim układy. Dotrzymuje słowa. Na czele komisji staje Talavera, który właśnie został mianowany arcybiskupem Grenady. Jest zanadto zaprzątnięty swemi sprawami, aby się zająć wybijaniem pomysłów Christobala Colóna, a tem bardziej ich autorem. Wszakże królowa życzy sobie, aby się z nim układał. Arcybiskup wzywa go więc do siebie. Da mu się na odczepne jakąś nieznaczną cząstkę wymaganej i niezbędnej pomocy, to wszystko, i niechże potem stary natręt dowiedzie, że te jego złote góry nie są czczem gadaniem. Zdawałoby się, że wszystko jest w porządku; ale cóż to się dzieje ku najwyższemu zdumieniu księcia kościoła? Ten obcy przybłęda, wydrwigrosz i głodomór, żyjący z jałmużny dworu i kilku grandów, nadużywający przez długie lata pobłażliwości możnych protektorów niedorzecznemi propozycjami,—ten natręt, który chytrącią wyludził przyrzeczenie od królowej, wykorzystując jej nastrój radosny z powodu zwycięstwa nad Maurami, przybiera naraz ton, przechodzący wszelkie granice zuchwalstwa. Przerwać bez słowa rokowania i pokazać durniowi drzwi — to jeszcze zbyt łagodna reakcja. Przyjrzyjmy się temu bliżej. Kolumb zatem postawił wymagania. W żadnym razie nie ma zamiaru

zadowolili się tem, co mu królowa przyjaźnie proponuje, więc paroma okrętami, odpowiedniem wsparciem pieniężnem, łaskawą jej opieką, — gdzie tam, stawia własne warunki, inaczej nie wyruszy, — a warunki te nie są zaiste bagatelne. Wymagania jego wistocie, nietylko w zestawieniu z jego obecną sytuacją ale i same przez się, są tak niepojęte, że trzeźwo myślący ludzie na dworze muszą sobie zadać pytanie, czy aby biedak w rzeczy samej nie postradał rozumu. Więc żąda: godności i urzędu wice-króla i generał-gubernatora wszystkich wysp i lądów, które odkryje i obejmie w posiadanie dla królestwa hiszpańskiego; nominacji na admirała oceanu; dziesięciny ze wszystkich bogactw: pereł, djamentów, złota, srebra, korzeni, owoców i wszelakich produktów, które będą znalezione w podległych jego władzy prowincjach i przeznaczone na wywóz do Hiszpanji; prawa własności do ósmej części wszystkich krajów, które odkryje i zdobędzie, jakoteż ósmej części wszystkich wpływów stąd idących; w zamian za co, on sam obowiązuje się ponieść ósmą część kosztów wyprawy (nawiasem mówiąc: sam nie posiadał złamanego szeląga, lecz, zdaje się, zamożna rodzina Pinzonów przyrzekła wnieść udział w postaci okrętu). Dalej: wszystkie przywileje, tytuły i godności są dziedziczne i przechodzą w każdym pokoleniu na pierworodnego. Zdumiewająca manifestacja. Narzuca się tu pytanie, jaki był wewnętrzny skład tego tajemniczego człowieka.

Rozdział piąty

O S T A T N I E P R Z E S Z K O D Y , I N A R E S Z C I E — W Y J A Z D

Nietylko owa zasadnicza pomyłka Kolumba, która kazała mu do śmierci nie przyznać się do odkrycia nowego kontynentu, wyciska na nim piętno don-kichotowskie, lecz również — i to w najszerszym zakresie — kierunek i skłonności jego ducha, wszystkie jego wymówki, omówienia, zastrzeżenia, sądy, chwytły obronne, klauzule i manifestacje. Piętno to ujawnia się w takim stopniu, iż nie mogę się opędzić wrażeniu, że na koncepcję nieśmiertelnego szlachetki Cervantesa wpłynął ten właśnie realny prototyp. Nie trzeba bowiem sądzić, że genjusz tej miary koncytuje uniwersalnie dziejową postać swego bohatera w przystępie, że tak powiem, prywatnego natchnienia poetyckiego. W powstaniu tak ogromnej wizji udział ludu, całego narodu nie jest bynajmniej mniejszy od udziału bezpośredniego twórcy, który ją uczynił widzialną. Stulecia pracują w milczeniu, i dopiero wybraniec nadaje kształt tej pracy. Kojarzenie Kolumba z Don-Kichotem nie jest bynajmniej wynikiem dowolności czy kaprysu literackiego. Opierałem się temu przez

długi czas. Ale to właśnie ujęcie było pod każdym względem rewelacyjne. Póki go nie miałem, rozpływał mi się obraz tego człowieka. Przy dokładnem badaniu poszczególne rysy charakteru posiadały pewną rozbieżność, często miałem wrażenie, że trzy, cztery osoby złożyły się na tę jedną postać, jakgdyby nigdy nie istniała w rzeczywistości, jakgdyby była tylko nieudolnym wymysłem historjografów, symbolicznym bohaterem odkryć, apologetyczną syntezą rozbieżnych właściwości.

Wydał mi się, niezwykle ograniczony i przeznaczony jednocześnie do tego, aby rozszerzyć w nieprzeczuwany sposób granice pojęciowe swojej epoki i gruntownie odmienić świat jej wyobrażeń. Kolumb jest pobożnym katolikiem i zarazem z pogańską zabobonnością odnosi się do wszelkich praw i procesów natury. Oddany swej idei aż do obłądu, aż do samounicestwienia, ugina się przed każdą siłą zewnętrzną, słucha każdego podszeptu, podlega każdemu złudzeniu. Praktyczny, przebiegły i zręczny w inicjowaniu swych planów, okazuje się krótkowzrocznym i upartym dyletantem w ich realizacji. Ponury jest jak mnich, szczerwany jak chłop, nie znajdziesz w nim krztu humoru, najsłabszy odblask pogody nie opromienia jego charakteru, wszystko w nim jest stękaniami, skargą, przygnębieniem, stęchlizną, lecz pomimo to jego zdolność znoszenia cierpień i wytrwałość jest niezwykła i wzruszająca, jak w żywotach świętych. Zupełnie się prawie nie

uczył, a zna wszystko, co może mu służyć do celu. Mimo że chorowity z żelazną wytrzymałością znosi bezprzykładne trudy. Pochodzi z najniższych warstw ludu, a ma manjery granda, zaś w listach — styl Macchiavella. Nie zna przyjemności życiowych, nie odczuwa potrzeby zadomowienia się, ma potrzeby derwisza, nie umie zarobkować ani utrzymać pieniędzy, a przecież zamartwia się na śmierć, gdy nie może wydostać z urzędu kolonialnego należnych mu czterdziestu tysięcy peso.

Tego rodzaju skomplikowane natury trafiają się rzadko w historii. A kiedy się pojawiają — tradycja późniejsza nie troszczy się o sprzeczności i subtelności, czas upraszcza wszystko, wydobywając na powierzchnię rysy ogólne i dla ogółu zrozumiałe. W następstwie każda wielka postać historyczna po kilkuset latach staje się zwietrzałym torsem, i trzeba ją jakgdyby na nowo wskrzesić, aby odnaleźć wielopłaszczyznowe prawdy życia. Dopatrywać się w Kolumbie prototypu Don-Kichota, to dopiero znaczy: widzieć go. Bez wątpienia Don-Kichot jest typem specyficznie hiszpańskim, zaś Kolumb był Włochem. Odznaczał się zresztą wybitnymi cechami swego narodu: naprzykład nepotyzmem, który szeroko stosował na stanowisku Wielkiego Admirała. Synowie, bracia, szwagrowie stoją zawsze na pierwszym miejscu; stanowiska honorowe i urzędy w nowych prowincjach chciałby obsadzać wyłącznie krewnymi. Uporczywość w dążeniu do celu, skromny tryb

życia, olśniewające krasomówstwo—to wszystko są cechy włoskie. Ale chociaż nie jest Hiszpanem z krwi, jednak staje się nim przez przystosowanie się, pod wpływem języka i pejzażu — również z własnego postanowienia. Ten tułacz bez ojczyzny nigdzie nie umie zagrać miejsca, zajeżdża tylko w gościnę, nigdzie nie zapuszcza korzeni — zatrzymuje się tylko tu i ówdzie.

Ale rysem najbardziej ciekawym i najbliższym Don-Kichotowi jest zarozumiałość i duma na punkcie swojej misji. Jest to bezwątpienia siła; — siła, skazująca na wielkie osamotnienie, na liczne nieporozumienia i, co jest jednym z najfatalniejszych jej skutków — na usunięcie poza krąg ludzkich sympatyj. Któż mógłby kochać Don-Kichota, nawet jako postać powieściową i kto potrafi go zrozumieć choćby i w trzysta lat po jego śmierci? Nie mógłbym z nim przebywać ani dnia, raziłoby mnie każde jego wypowiedzenie się, odpychałby każdy czyn. A jednak cóż to za wieczysty symbol ludzkości, ludzkiej głupoty, zamętu i wielkości. Owa wspomniana zarozumiałość czy duma na punkcie swojej misji, opiera się w tym wypadku na przyswojeniu sobie hiszpańsko-katolickiej sztywności dogmatycznej, przez co charakter Kolumba, jako osad istoty narodowej, przedstawia się w formie bardzo sublimowanej, bardzo zawilej, wielostronnie odzwierciadlającej rzeczywistość i tkwi gdzieś pośrodku, nieledwie posągowo, pomiędzy postacią Cida a ponurym Torquemadą.

Gdy Kolumb podaje się za oświeconego przez ducha świętego, to zaiste sam jest tem poczu-
ciem przejęty do głębi serca. Gdy zapewnia,
że bez dwudziestu czterech ksiąg starego testa-
mentu, czterech Ewangelij i dwudziestu trzech
listów apostołskich niczegoby nie dokonał, —
to nie jest to ani ozdoba retoryczna, ani obłu-
da, ani próba pozyskania sobie dostojników Ko-
ścioła, lecz gorzka, szczerza jego prawda. A gdy
się powołuje na Marco Pola i sir Johna Man-
deville'a, czyni to z takim samym gestem dziek-
czynnym i z tą samą żarliwością, z jaką Don-
Kichot nazywał Dou-Belianisa i Amadisa z Gal-
lienu swoimi mistrzami.

Przeważna ilość anegdot historycznych ma się
tak do osoby, pod którą się podszywa, jak fał-
szywe uzupełnienia restauracyjne do antycznych
rzeźb. Weźmy więc do przesyty znaną opowieść,
jak to Kolumb, chcąc udowodnić sceptykom i nie-
dowiarkom, że bez większego trudu dokonał swe-
go odkrycia, przycisnął jajko ostrym końcem do
stołu, gdy natomiast nikt z obecnych nie wiedział,
co należy robić, aby utrzymać je w postawie
stojącej. (Nawiasem mówiąc, prawdziwym auto-
rem tej sztuczki był Brunelleschi, — chciał udo-
wodnić oponentom, że elipsoidalny kształt kopuły
katedry florenckiej jest najzupełniej wykonalny).
Otóż Kolumb nie byłby do tego zdolny. Prze-
cież samby sobie zadał kłam. Ponieważ obcą mu
była, jako wierzącemu katolikowi, wszelka myśl
o wolności ducha i decyzji, więc oczywiście nie

mógłby się do niej przyznać, i chwalić ją. Własny jego czyn nie wydawał mu się blahym i przypadkowym, wręcz przeciwnie, był w jego oczach tak ogromny, tak niewymownie wielki, że możliwy tylko dzięki bezpośredniej interwencji Boga.

Niebywałe wymagania Kolumba wzbudziły na dworze królewskim taką gniewną niechęć, że narazie nie było mowy o dalszych rokowaniach. Nędzarz, awanturnik, cudzoziemiec bez nazwiska ośmielał się sięgać po najwyższe urzędy, ba, po rangę królewską, — podobnego przykładu, nie znaly dzieje; do zdumienia przyłączyło się szyderstwo; powiadano, że słońce hiszpańskie prawdopodobnie przepaliło Genuńczykowi głowę. Kiedy zamyślony i ponury, ze zwieszoną głową szedł przez ulice, dzieci przedrzeźniały go, a dorośli wskazywali palcem na czoło.

Po pewnym czasie zaczęto szukać porozumienia, lecz Kolumb okazuje nieustępliwość, głuchy jest na obiekcje, zalecenia przyjaciół zbywa oziębłym milczeniem i, aby dowieść, że ani myśli o ustępstwach, czyni ponownie przygotowania do wyjazdu. Królowa nie może się zdecydować. Przypuszczam, że starała się pojednać i uzgodnić ostro kolidujące ze sobą opinie arcybiskupa i podskarbiego Santangela. Ci dwaj wiodą decydującą walkę, — nie można przewidzieć, który zwycięży. Talavera twierdzi z naciskiem, że Kolumb jest bezpłodnym marzycielem, że nawet w razie po-

wodzenia wymagania jego są wygórowane,—po prostu lajdackie, zaś na wypadek porażki wystawią na pośmiewisko lekkomyślność dworu hiszpańskiego. Izabella nie śmie mu się przeciwstawić. Wobec dostojników kościoła jest pokorna, jak kobieta z ludu. Przecież to do niej zawołał generał zakonu Franciszkańskiego, przy omawianiu świeckiej sprawy: «Mam słuszość zawsze, nawet gdy mówię z królową kastylską. Czem jest królowa? Garścią prochu, taką samą, jak ja».

Królowa też była zdania, że cena za ewentualne korzyści jest wygórowana. Zbyt uczciwa w sposobie myślenia, aby rozumieć jezuickie aluzje Santangela, że podpisany układ nie musi być we wszystkich punktach wykonany, osobiście zwróciła się do Kolumba i ze zdziwieniem stwierdziła, że jest on absolutnie nieczuły na wskazania zdrowego rozsądku. Było to naprawdę dziwne: zapominał, że nie ma żadnej pewności, że jest nieznany, ubogi, pogardzany, że jest na łasce u obcych, a przecież widział już jakby naocznie i konkretnie wszystkie kraje, które trzeba było dopiero odkryć, i przy pierwszych wątplych widokach realizacji miał już poczucie dokonanego faktu.

A może to właśnie oddziaływało magicznie na królową—niby zjawisko nadprzyrodzone? Była w prawdziwej rozterce. Obawiała się odpowiedzialności. Mąż jej odnosił się do tej sprawy chłodno, jeśli nie wrogo, a miał za sobą wielu stronników. Rzecznikami Kolumba byli jedynie: Alonzo de

Quintanilla, arcybiskup Toleda, podskarbi Santangel i Markiza de Moya, przyjaciółka królowej, namawiają ją z zapalem, którego pobudki nie są znane. Prawdopodobnie były one najbardziej bezinteresowne, zrodzone z romantycznie niewieściego kultu dla niezwykłości i pięknej przygody.

Santangel i jego partja stopniowo zdobywali przewagę nad królem i Talaverą. Santangel, maran, ostrożny finansista, przebiegły polityk, nie mógł być posądzony o to, że idzie na lep pustych urojeń. Mam wrażenie, że był osobiście zainteresowany w projekcie Kolumba w sposób dziś jeszcze nie zbadany. Przytaczał argumenty, które trafiały królowej do przekonania. Jeżeli — powiadał — w walce z niewiernymi, odważyła się rzucić wszystko na jedną szalę, to czemu ociąga się dzisiaj, wobec sprawy, w której ewentualne straty będą tak nieznaczne, zaś możliwe korzyści tak nieobliczalnie wielkie? Przypominał, ile wygrywali inni panujący na odkryciach swoich poddanych — oto nadarza się sposobność prześcignięcia wszystkich. A ileż na tem zyska chwała Boża i potęga Kościoła! W dodatku nawet niepowodzenie nie rzuci fałszywego światła na królowę, zaś trudy i koszta będą przynajmniej wynagrodzone możliwością zbadania wielu bardzo ważnych zagadnień i odkrycia dotychczas nieznanych cudów świata.

Królowa replikowała, że finanse państwa są skutkiem wojny ostatecznie zachwiane. Nie może

przecie dawać pieniędzy skarbowych na sprawę, której król się przeciwstawia. Lecz po długim namyśle oświadczyła, że decyduje się na własne ryzyko sfinansować wyprawę, z funduszków królestwa kastylskiego. Aby zdobyć niezbędne środki, gotowa jest zastawić swoje klejnoty. Santangel znalazł inne wyjście: mianowicie zaciągnięcie pożyczki w kasie królestwa aragońskiego. Izabella, naraz zniecierpliwiona powolnem załatwianiem sprawy, postanowiła pożyczyć od króla siedemnaście tysięcy guldenów. Uzyskała tę kwotę, niestety na wysoki procent. (Biorąc przeciętną wielu obliczeń, dokonanych przez historyków, można ustalić jej wkład na mniej więcej sześćdziesiąt tysięcy dzisiejszych złotych).

Zawiadomiono więc Colóna, że układ będzie z nim wreszcie zawarty. Akceptowano jego warunki bez dalszych targów. Dokument kończył się słowami: «zawarty i spisany w mieście Santa Fé, Vega Grenady, 17 kwietnia 1492: Ja — król. Ja — królowa». W dwa tygodnie później doręczono mu nominację na admirała, wicekróla i gubernatora krajów, które miały być odkryte, a na znak szczególnej łaski, już zawczasu użyczono mu tytułu dona.

Szczególny interes — o zamki na lodzie, nie mający podobnych w historii — przy którym obie strony z jednakową powagą urzędową wystawiali weksle na przyszłość, bez najmniejszej gwarancji pokrycia. Cóż to był za człowiek, jaką niesamowitą obdarzony siłą oddziaływania,

skoro potrafił wplątać w swoją demoniczną problematykę królową, króla, tak trzeźwego człowieka jak Santangel i wielu innych. Rzecz poprostu niepojęta. Zrazu odpędzają go, oburzeni obłąkanymi wymaganiami, przezywają go łotrem i idjotą, oświadczają kategorycznie, że nie chcą nic wiedzieć ani o nim, ani o jego projektach. Potem — ponieważ jest stanowczy i nieugięty — zaczynają się niepokoić, pomimo pierwotnego oburzenia — ustępują punkt za punktem, i wkońcu godzą się hurtem na wszystko, naślepo, bez zastrzeżeń, jakgdyby chcieli się już raz na zawsze pozbyć całej tej sprawy, jakgdyby nie wierzyli w poważne jej konsekwencje, ale pragnęli na wszelki wypadek uniknąć zarzutu, własnego czy czyjego, że przepuścili taką sposobność. W takim to mniej więcej nastroju uczyniono niepewnego osobnika nieznanego nazwiska i niskiego stanu panem morza i władcą nieodkrytego jeszcze świata.

Colón zdecydował się wyruszyć z portu Pálos de Moguer, prawdopodobnie dlatego, że była to siedziba rodu Pinzonów, którzy przyrzekli mu dać karawellę: miała to właśnie być owa ósma część kosztów, którą zobowiązał się pokryć. Przez długi czas mniemano, że kupił ten okręt za pieniądze, pożyczone od księcia Medina Coeli. Ale gdyby tak było, książę domagałby się, aby wyjazd nastąpił z jego portu Santa Marji.

Później Kolumb, zgodnie ze zwyczajem, złe się odwdzieczył Pinzonom. Alonzo Pinzon był

doświadczonym żeglarzem, gdyby nie jego nieustraszona odwaga i dokładna znajomość morza, niewiedomo nawet, czy Kolumb dotarłby do Zachodnich Indyj. I ta właśnie okoliczność była dla Kolumba dostatecznym powodem, aby takiego człowieka szykanować, aby przemilczać jego niewątpliwe zasługi. Brat Alonza, Marcin utrzymywał w następstwie, że autorem całego projektu wyprawy był w istocie jego ojciec, co oczywiście jest nonsensem i legendą rodzinną, powstałą na tle głębokiej do Kolumba urazy. Nie można jednak zaprzeczyć, że uraza ta była uzasadniona. Kiedy Diego Colón prawował się z koroną — akta tej sprawy stanowią istną kopalnię wielu nieznanych dotąd faktów — Arias Perez Pinzon, syn Marcina, oświadczył, że ojciec jego posiadał pergamin z czasów króla Salomona, w którym m. in. było zdanie: «Gdy pojedziesz morzem Śródziemnem do krańców Hiszpanji a stąd wypłyniesz na zachód między południem a północą na odległość dziewięćdziesięciu stopni, to natrafisz na ląd Zipangu, urodzajny, zasobny we wszystko i równy co do wielkości Afryce i Europie». Rękopis ten nabył jakoby w Rzymie i przywiózł do domu, gdzie go pokazał Kolumbowi. Stąd wysłał się plan wyprawy.

Baśń, którą w rodzie Pinzonów piastunki opowiadały dzieciom z pokolenia na pokolenie.

Może też dlatego obrano Palos za port wyjazdowy, że to miasto miało dostarczyć królowi

na przeciąg dwunastu miesięcy dwóch wyekwipowanych okrętów. Miał to być okup za nieposłuszeństwo, okazane w czasie wojny z Maurami. 30 kwietnia 1492 r. nakazano magistratowi w ciągu dziesięciu dni wyekwipować dwa okręty i oddać je do dyspozycji Cristobala Colóna. Mieszczanstwo tamtejsze ociągalo się, nie chciało przyjąć kary—trzeba więc było ponowić rozkaz i przynaglać z całą surowością. W tym celu wysłano do Palosu urzędnika Juana de Penalosa, który miał pobierać za każdy dzień zwłoki dwieście marawedów, a ponieważ miasto ani nie płaciło tej grzywny, ani w dalszym ciągu nie ekwipowało okrętów, więc rząd zastosował przymusową rekwizycję: karawella «Pinta» została po prostu odebrana właścicielom.

Jedynie Santa Maria była «nao», czyli okrętem stosiedemdziesięcotonowym, krytym na wzór galjonów, całkowitym pokładem, oba pozostałe okręty: szybka Pinta czyli «Pomalowana», i mała Nina, czyli «Dziecię», były lekkimi trójmasztowcami. Były otwarte pośrodku, kryte na końcach i wzniesione na znaczną wysokość, z przednimi i tylnymi wieżyczkami, z kajutami dla załogi. Nina miała łacińskie żagle. Santa Maria była wypożyczona przez królową. Powiewała nad nią flaga admirałska. Dowodził nią sam Colón. Kapitanem Pinty był Marcin Alonso Pinzon, Niny—brat jego, Vincente Yanez. Sancho Raiz, Pedro Alonso Nino i Bartholomeo Roldan, w przyszłości buntownik, byli holowcami. Rodrigo

de Escobar jechał w charakterze notariusza królewskiego; jako nad-alguazil—Diego de Arana z Kordowy, stryj Beatrizy, jako generalny inspektor i przedstawiciel rządu—Rodrigo Sanchez z Segawji. Właściciel Santa Marii, słynny w czasach późniejszych kartograf Juan de la Cosa, jechał na własnym okręcie jako «maestre», natomiast właściciel Pinty, Cristobal Quintero, obywatel z Palosu, brał, zdaje się, udział w wyprawie jako pasażer. Przyłączyło się do nich jeszcze kilka osób w charakterze, rzecz można, prywatnych poszukiwaczy przygód. I tylko jeden lekarz i jeden chirurg odważył się na tak niebezpieczną podróż.

Byli to poczęści ludzie, żądni zysków, marzyli o skarbach i gwoili tych marzeń gotowi byli ponieść pewne ofiary. Byli też dzielni, nieustraszeni żeglarze, których znęciła niezwykłość wyprawy. Jechali poza tem urzędnicy królewscy, posłuszni wykonawcy rozkazów, ale cały ten zespół nie mógł przecie wystarczyć świeżo upieczonemu admirałowi. Nie stanowili jeszcze załogi, nie nadawali się do ciężkich robót okrętowych. Skąd wziąć niezbędne ręce? Była to największa trudność od samego początku, albowiem wiadomość o wyprawie genuenńczyka przyjęto w środowiskach marynarzy i ciurów okrętowych z zabobonnym strachem. Mogło się zdawać, że ma się do czynienia z istnym spiskiem, do takiego stopnia wszyscy wymawiali się od udziału w wyprawie.

Stąd owo wezwanie królewskie, że wszystkim, którzy zaciągną się do służby na okręcie kapitana jenerała Cristobala Colóna, umarza się wszelkie sprawy kryminalne. Był to najbardziej desperacki środek, jaki można było zastosować. Rozkaz, rozesłany do wszystkich sądów państwa, głosił: «Jak wam wiadomo, poleciliśmy Cristobalowi Colónowi wyruszyć w podróż oceaniczną. Otóż twierdzi on, że trzeba zapewnić tym, których zwerbuję, całkowite bezpieczeństwo, bo inaczej nikt nie zechce się zaciągnąć. Uznając jego prośbę za słuszną, przychyliłiśmy się do niej, i niniejszym gwarantujemy bezkarność wszystkim, którzy ze wspomnianym Cristobalem Colónem udadzą się w podróż morską, tak że ani na ciele ani na majątku pod żadnym pozorem nie poniosą uszczerbku z powodu jakiegobądź przestępstwa, dokonanego przed dniem dzisiejszym. Zarządzenie niniejsze ma moc prawną przez czas podróży aż do powrotu i dodatkowo w ciągu dwóch następnych miesięcy».

Rzecz zrozumiała, że odtąd nie brakowało chętnych, zgłaszała się najniegodziwsza hołotka, zbójce uliczni, korsarze, zbiegowie z więzień, uciekinierzy z pod szubienicy, złodzieje, mordercy, fałszerze monet, napiętnowani żelazem, z całego królestwa. Kolumb nie miał wyboru. Przyjął ich. (Któż nie przypomina sobie wspaniałe komicznej sceny, gdy Don-Kichot, zdjawszy więzy z galerników, zwraca się do nich z mową rycerską, która budzi jeno śmiech?) Ale nawet z pośród

tych szumowin, większość zbiegła, mimo żołdu, ustalonego wedle płac na okrętach wojennych, i wypłaconego za cztery miesiące zgóry. Groza była silniejsza od pokusy, miasto i port pełen złowróżnych pogłosek, wszędzie mnożyły się objawy krnąbrności i przekory, nawet robotnicy, zajęci przy naprawie okrętów, pracowali bardzo niechętnie, każdą rzecz trzeba było przeprowadzać, na-przekór ogólnym przesądom, surowemi środkami.

Wreszcie w pierwszych dniach sierpnia wszystkie trudności zostały przezwyciężone, i flota była gotowa do odjazdu. Kolumb pozalałtwiał swoje sprawy, pożegnał się z protektorami i krewnymi, zaś syna swego, Diega, który dotychczas mieszkał w klasztorze w La Rabida, zlecił opiece znajomego duchownego z miasta Moguer. Ów miał go odwiedzić do dworu, bowiem królowa mianowała chłopca paziem księcia don Juana — zaszczyt, którego dostępują wyłącznie osoby bardzo wysokiego pochodzenia. Aby nie udać się w podróż z obciążonem sumieniem, sam admirał wraz z kapitanami, holowcami i załogą pojechał na mszę, spowiedź i wieczerzę do La Rabidy. Ogółem było ich, z trzech okrętów, sto dwadzieścia osób. Kolumb spędził noc na modlitwie i rozmowie z Franciszkanami, zaś rankiem trzeciego sierpnia, odprowadzony przez przeora Juana Pereza, wyjechał z klasztoru do portu. Cała ludność udała się nad brzegi Rio Tinto. O ósmej godzinie admirał w imię Jezusa Chrystusa z pokładu Santa Marii, potężnym głosem wydał komendę: podnieść kotwice, hisować żagle!

Rozdział szósty

W Y P R A W A W N I E Z N A N E

Jeżeli słuszne jest popularne mniemanie historyczne, że Krzysztof Kolumb jest owym człowiekiem, który zatrasnął wrota średniowiecza, aby wyprowadzić nowy świat i nowe czasy, to chwila, kiedy trzy ladajakie statki wypłynęły z portu hiszpańskiego, jest z pewnością jednym z najbardziej przełomowych momentów w dziejach ludzkości.

Trzeba sobie tylko uprzytomnić jej niezwykłość. Ponieważ oswoiliśmy się z nią jak z rachunkiem: «jeden raz jeden — jeden», przeto zatraciliśmy wszelką miarę i właściwy pogląd. Każde, jedyne w swoim rodzaju zjawisko, z natury swej skazane jest na to, że stoi poza wszelkiem porównaniem, a najsilniejszy stan zapalny wyobraźni powoduje czasem ślepotę w stosunku do obrazu, który ten stan wywołał.

Wielkość decyzji Kolumba polega nie na poniekaniu wszystkich wiązań, nie na porzuceniu przyzwyczajzeń, nawyków, wszystkiego, co dogadzało, reguł, środków pomocniczych, dorobku i pewności, społeczeństwa i prawa, wogóle nie na porzuceniu wszystkiego, lecz na wewnętrznym

sformowaniu rzeczy nadchodzących, przyszłościowych, jeszcze nieistniejących. Co właśnie stanowi najgłębszą ideę Don Kichota.

W tem się wyraża ciemna, czci godna moc średniowiecznego człowieka, że daleki jest od rozporządzania się sobą, że zawsze jest — w odczuwaniu i działaniu — tylko stworzeniem, zawsze spoglądającym ku nieznannej istocie, zawsze będącym u niej w niewoli. Religijność Kolumba nie jest zatem ani pozorem, ani maskaradą, nie opiera się ona na dogmatycznej postawie życiowej — religijność jest jego właściwym jestestwem, jako taka obejmuje ona świadomość dopustu i misji i tę wreszcie świadomość, że człowiek powinien się przeciwstawić żywiołowi i przezwyciężać go, jako materję niższą, bezduszną i Bogu wrogą.

Wyjątkowo trudno jest, z najmniejszym bodaj widokiem na prawdopodobieństwo, odtworzyć uczucia tych oto ludzi, co na wątych, kiepsko wyekwipowanych, starych okrętach wypływali na bezmiar pustyni wodnej. Jeżeli nawet nie przesadzimy na ten grunt kompleksów uczuciowych współczesnego człowieka, to w każdym razie nie unikniemy zmyśleń poetyckich. Wszelkie dzisiejsze przedsięwzięcie, które dałoby się z tantem zestawić — przejazd przez Afrykę, eksploracja bieguna południowego, lot do bieguna północnego, przelot nad Atlantykiem, i każdy podobny wyczyn z ubiegłego stulecia, dział się i dzieje w tradycyjalnych granicach wiedzy

i znanych praw natury, i w dodatku z wiarą w stwierdzony porządek wszechświata.

Nic podobnego nie znajdziemy w tym wypadku. Budowa świata, wielkość ziemi, ludzkie możliwości, skuteczność i zdatność pewnych środków pomocniczych—wszystko jeszcze było, rzecz można, przypuszczeniem, domniemaniem, przesądem. Nic nie było dowiedzione, ani sprawdzone doświadczeniem, ani zaręzione wiarogodnym świadectwem; poczynając od któregoś tam stopnia długości będzie się na oceanie pierwszym człowiekiem, i wszystko, co się ujrzy i przeżyje, stoi na straszliwej granicy między życiem a śmiercią. Przebieg dnia jest jednym pasmem grozy, każda przebyta mila potęguje grozę. Właściwie niema żadnego celu, wszystko, co o celu słyszeli, jest urojeniem, w najlepszym razie gołosłownem twierdzeniem; fantazja nie znajduje na tej drodze punktu końcowego, widnokrąg jest okrągły, okrągłość jego doprowadza oko do wściekłości, oko błądzi zdesperowane pomiędzy niebem a wodą, okręty tańczą wokół na przodzie, z tyłu, z lewej i z prawej strony, zmieniają kierunek, jakby na zawrotnie poruszającej się obrotnicy, ludzie czują się niby kule ponad syczącym morzem, ciśnięte w nicość. I to właśnie jest źródłem i przedmiotem grozy — ta nicość, to oczekiwanie nicości. Każdy z nas, dzieckiem będąc, odczuwał to we śnie—sen atawistyczny: puszczasz się w drogę, aby dojść do krańca świata, cała dusza przepełniona jest irracjonalną grozą nicości.

Część listów i sprawozdań Kolumba została dopiero w roku 1791 odnaleziona przez hiszpańskiego oficera marynarki Navarreta w archiwach klasztoru San Esteban i księcia Veragua, potomka admirała. Napisane były własnoręcznie przez Kolumba. Chwilami trudno było, a nawet niemożliwie, odcyfrować przestarzałe pismo, pobladłe litery, oddawna nieużywane terminy żeglarskie, wszędzie rozsiane włoskie i portugalskie wyrażenia, oraz przełożyć rozwlekły styl, pozbawiony wszelkich znaków przestankowania, na mowę dzisiejszą, nie zacierając przytem charakterystycznej manieri autora. Dzienniki okrętowe już w roku 1536 ogłosił Hernando Colón i biskup z Las Casas.

Najbardziej w czasach późniejszych sławiona i nawet przez Aleksandra Humboldta wyróżniona zaleta Kolumba, to—słuszna i ostra obserwacja zjawisk, które w ówczesnym stanie rzeczy mieściły się całkowicie poza obrębem jego doświadczenia. Sporządza wyjątkowo sumienne i dokładne notatki o kierunkach prądów morskich, o podobnych do wysp odsypiskach zielska morskiego na tak zwanem morzu Sargasso, o zmianach temperatury w powietrzu, o przelotach ptaków i — co najważniejsza — o zjawisku, które wszystkich uczestników wyprawy musiało najbardziej niepokoić: o odchyleniach igły magnetycznej i o związanym z tem ruchu gwiazdy polarnej—odkrycie, które bezwątpienia on pierwszy zrobił.

Było to 13 września 1490 roku, noc właśnie zapadła gdy Kolumb zauważył, że igły magnetyczne odchylają się od północnego wschodu ku północnemu zachodowi, co — jak stwierdza — przejęło sterników panicznym strachem. Sprawdził igły według metod, które opisuje równie niejasno, jak je prawdopodobnie stosował. Jakkolwiek z całego wykładu wynika, biorąc rzecz ze stanowiska naukowego, iż nie miał jasnego pojęcia o tem zjawisku; jakkolwiek podzielał obawy pilotów, że wszystkie podstawowe prawa natury naraz się odmieniły; że wkracza w nowy świat z nowymi prawami, to jednak przeczuł odrazu, że odchylenie igły może się stać środkiem orientacji i oznaczania długości geograficznej.

Nigdy nie umiał sam dokonać morskiego rachunku, tak dalece nie sięgała jego wiedza; jeśli próbował, to wynik bywał bardzo mizerny, jak tego dowodzą liczne ekspertyzy. Wszakże nie wdawał się w studia, nie zależało mu na badaniu, umiał ustalać działanie, ale nie umiał zgłębiać przyczyn, umiał oglądać, formułować pytania i przeczuwającym instynktem zajrzeć poza rzecz oglądaną — ale to nie ma nic wspólnego ze ścisłością obserwatora, nic wspólnego z obserwacją, to kategoria sama w sobie i w dodatku wielka. Jego liczne relacje, opisujące czy straszne wybryki kompasu, czy to zmienny obraz morza wodorostów, lot ptaków, czy co innego — zawsze stwierdzają przekonywująco, że nie miał

nić w sobie z obserwatora, że był wizjonerem i zadania swoje czerpał i wysnuwał wyłącznie z wizji. Gdyby tak nie było w stopniu bodaj najmniejszym, wypadłoby go uznać za szarlatana i awanturnika, jak to zresztą nieraz czynili zazdrośni i złośliwi współcześni.

Jestem jednak świadom, że z tem wszystkim bardzo jeszcze nieśmiało nakreśliłem kontury jego jestestwa i charakteru.

Dziennik okrętowy zaczyna się od ceremonialnej i szczegółowej ewokacji do hiszpańskiej pary królewskiej, daje rzut oka na zasługi i trudy autora, poczem ów dziękuje za wszystkie wyświadczone mu dobrodziejstwa, albo przynajmniej wymienia je oschle i przyrzeka, że będzie każdej nocy spisywał wszystkie wydarzenia dnia. «Chodzi tu głównie o jedną rzecz» — kończy w duchu swej nieprzejednanej maniery — «aby czynić zadość wszystkim zobowiązaniom, muszę oduczyć się od spania».

Nie jest to pusta fanfaronada, bo tak było naprawdę. Umiał tygodniami — wiemy o tem z pewnością — rezygnować ze snu. Pod tym względem wydaje mi się wprost niesamowity. Prawda, że w ciągu pierwszych tygodni trudno mu było odpoczywać i spać. Niby ciemny upiór stał od wieczoru do szarej godziny na pokładzie Santa Marii, jasnoszare oczy fanatyka z zamarym ogniem skierowawszy na zachód. Trudno jest przypuszczać, aby go podwładni lubili, takich

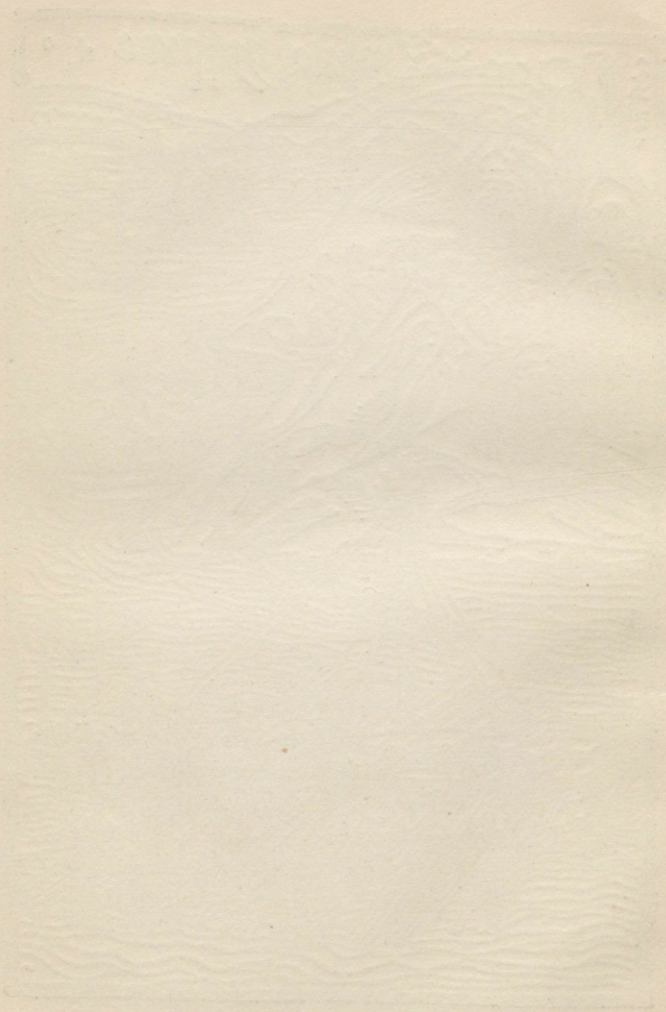
ludzi nie lubi się, przecież pisze sam o sobie: «Nie jestem w słowach pochlebcą, raczej uchodzę za człowieka surowego». Naprężenie, paraliżujące jego świadomość aż do dwunastego października, oddalało go od ludzi, i nawet zuchwalcy, którzy niczego i nikogo się nie lękali, woleli go obchodzić trwożnym łukiem niby osławionego czarownika. A przecież raczej on powinien był się mieć przed nimi na baczności. Aby zniecierpliwienie nie zbuntowało ich przedwcześnie, musiał odrazu chwycić się niezbyt rzetelnego środka: oszukiwał ich w kwestji odległości, i w tym celu prowadził dwie księgi, jedną wymieniającą prawdziwą liczbę przebytych mil morskich — dla siebie, i drugą — skracającą odległość—dla załogi. Prawdopodobnie zastosował to jednocześnie na wszystkich trzech karawelach, albowiem przy spokojnej pogodzie łatwo było porozumiewać się z okrętu na okręt.

Szczególną cechą tego dziennika jest to, że miejscami autor wypowiada się w pierwszej osobie, miejscami zaś, bez żadnego przejścia, przypominając sobie nagle swoją godność admirałską, wyraża się o sobie w trzeciej osobie. Nie sądzę, aby to była tylko stylistyczna pomyłka albo czcza forma. «Ja» i «admirał» byli sobie obcy w tym jednym człowieku. Były to dwie osoby odmiennej rangi, z odmienną odpowiedzialnością, odmiennej wagi — jedna to podejrzliwy, gorączkowy, podniecony, dręczony marzeniami cierpiętnik, znużony, sztywny starzec,

druga—w symbol sublimowane narzędzie boskich mocy, nieomylny duch.

Ponieważ odrazu, na trzeci dzień po wyjeździe, złamał się ster «Pinty» (posądzano jej właściciela Cristobala Quintezo, że to jego sprawka), więc flotyla była zmuszona zatrzymać się koło wyspy Kanaryjskiej Lanzerotu i podjęła dalszą podróż dopiero ósmego września. Siedemnastego admirał zapisuje w dzienniku, że powietrze staje się coraz łagodniejsze i że zauważył białego ptaka, który nigdy nie sypia na morzu. Ocean jest spokojny, jak rzeka pod Sewillą. Dziewiętnastego flotyla była oddalona od wysp Kanaryjskich o czterysta mil. Dwudziestego któryś z marynarzy złapał ręką ptaka, podobnego do jaskółki morskiej, przy bliższem zaś badaniu stwierdzono, że to ptak rzeczny. To wszystko zapewne ma służyć ku podniesieniu ducha. Alcatraz, z rodzi-ny pelikanów, przeleciał z północnego zachodu na południowy wschód — Colón wnosi stąd, że w kierunku północno-zachodnim jest ląd. Dwudziestego pierwszego stwierdza ciszę morską, w nocy morze zaściela się trawą. Dwudziestego drugiego, zrywa się wiatr przeciwny, Kolumb pisze: «Admirał uważa, że wiatr przeciwny zerwał się w porę, albowiem załoga zaczynała się niepokoić, sądząc, że niema tu wcale wiatrów, umożliwiających powrót». Dwudziestego trzeciego załoga zaczyna poważnie szemrać, ponieważ morze jest nadal spokojne i gładkie — ale





niebawem, pomimo ciszy, morze zaczyna się burzyć i staje się tak groźne, że budzi ogólny podziw. Kolumb zaopatruje ten fakt w komentarz: «Nie zdarzyło się to jeszcze nigdy, z wyjątkiem jedyne go wypadku, kiedy Egipcjanie wyruszyli w pościg za Mojżeszem».

Wciąż te same fakty są wypadkami dnia: zmiany wiatrów, zaobserwowane ptaki i ryby, dziwne obszary zielonej trawy na wodzie, słabe ławice mgieł na widnokręgu—zrazu rokujące ląd, a potem sprawiające bolesny zawód, droga gwiazd, pływająca gałąź z dzikimi różami, wyłowiona trzcina. Nie ma się pewności co do kierunku i, z okrętu na okręt trzeba się naradzać z Alonzo Pinzonem, czy aby nie zmienić kursu. Bardziej doświadczony kapitan Pinty ostro przepiera swoje, lepsze zdanie; admirał rezygnuje z prostej drogi na zachód i ustawia ster w kierunku zachodnio-południowego zachodu.

W czasach późniejszych podawano często w wątpliwość charakter Kolumba, jego wytrwałość: twierdzono, że często, pod wpływem nastrojów załogi, wpadał w małoduszność i myślał o powrocie, i tylko Alonzo Pinzon ratował sytuację przez swoją zdecydowaną, wręcz groźną postawę. Aby jednak również zasługę Pinzona obniżyć o parę stopni, mówiono o nim, że jest materialnie zainteresowany w wyprawie i nie mógł z pustymi rękami wrócić z połowy drogi.

Nie wierzę. Choćby przemawiały za tem zewnętrzne okoliczności, wewnętrzne nieprawdopodobieństwo jest aż zbyt oczywiste. Gdyby to nawet było prawdą, t. zn. gdyby miało za sobą zwodne świadectwo wydarzeń, dnia, godziny, — to jednak z ludzkiego i psychologicznego stanowiska byłoby nieprawdą. Istnieją udowodnienia i stwierdzenia *ex post*, natury nawskroś destrukcyjnej, które wprowadzają zamęt wszędzie, gdzie brak jest obrazu i oględu. «Powrót» — ta dwugłoska nie istniała dla admirała «oceanicznego morza». Don-Kichot znosi szyderstwa, pozwala się kamienować, rezygnuje ze snu i jadła, wystawia się na zgubę, na zatracenie, ale nie zawraca.

Hernando Colón opowiada, że buntownicza załoga uknuła spisek: zamierzano strącić admirała do morza o nocnej godzinie, kiedy zwykł stać na pokładzie — zamroczony gwiazdami. (Jakże bezpośrednio i prawdziwie skreślony jest obraz tego człowieka w skąpem zdaniu podrzędnem! Zamroczony gwiazdami! Stoi oto przed nami, jakgdyby go el Greco namalował, i wątpię, czy można to było wypowiedzieć wyraziściej). Ta scena burzliwa, kiedy zbuntowana zgraja daje Kolumbowi trzy dni: przypłaci życiem, jeżeli najdalej za trzy dni nie ujrzą lądu — ten cały jaskrawy efekt dramatyczny zawdzięczamy ówczesnemu dziejopisowi Oviedo, bezkrytycznemu kompilatorowi wątpliwych faktów. Lecz można Kolumbowi wierzyć, gdy lekcewa-

zaco przedstawia ów rokosz, jakkolwiek naogól nieufnie należy traktować jego doniesienia; bo gdyby doszło do opisanych wykroczeń, nie omieszkałby z pewnością rozpisać się o nich szeroko i wspaniale, jak to zwykł był czynić w podobnych wypadkach. Byłby to dla niego miły pretekst, żeby upleść sobie nad głową aureolę i pysznić się przemożną potęgą swego ducha. A przecież nieodmiennie donosi tylko o przemijających wybuchach zniecierpliwienia, o przypływie i odpływie małoduszności, niepokoju, trwogi, nawet nieposłuszeństwa, lecz ani słowem nie wspomina o buntowniczych ekscesach. W dniu zaś, w którym rzekomo wybuchnął otwarty bunt, mianowicie dziesiątego października, notuje tylko: «Ludzie szemrają na przedłużającą się podróż i nie chcą jechać dalej. Admiral zjednywa ich, przedstawiając korzyści, jakie da im ta podróż. Ale stwierdza też, że opór ich na nic się nie zda, — albowiem zdecydowany jest dotrzeć za wszelką cenę do Indyj, i nic nie zachwieje jego niezłomnem postanowieniem».

Nie ukrywał, że sytuacja z dnia na dzień się pogarsza. Zawiodły wszystkie oznaki, że bezbrzeżna pustynia wodna gdzieś się wreszcie rozbija o brzeg. Góry i miasta, zdala widziane, okazały się omamem zmysłów. Okręty były zbyt wątle jak na tak długą podróż, a że odległość, dzieląca od ojczyzny, zwiększała się z każdą chwilą, i wokoło nie było przystani, gdzieby je można było doprowadzić do możliwego stanu

i zaopatrzyć się w świeżą żywność, że w dodatku zapasy topniały w groźny sposób — więc jakże można będzie zrealizować powrót. Naturalnie Kolumb znalazł to niebezpieczeństwo, aczkolwiek gardził nim albo nie dopuszczał do siebie, żyjąc niejako w czasie przyszłym, wierząc w przyszłość, — «zamroczony gwiazdami». Taki człowiek, duchowo izolowany, duchowo nieprzystępny, musiał chyba działać paraliżująco na wolę tych prostych i surowych charakterów. W nim przecież uosobiona była i uwidoczniła cała groza i irracjonalność tej wyprawy; ściśle współżycie na pokładzie nie otwarło im ani jednej szczeliny do jego zagadkowego wnętrza. Wywłókł ich w jakiś nieświat, w bezświaty; desperacja byłaby równie bezskuteczna jak bunt, ostatecznie wszystko zależało od niego, na pewno miał na usługach nieznane moce, władał zaklęciami magicznymi jak żaden śmiertelnik. Zapewne przeświadczenie to decydowało o ich posłuszeństwie: bo jeśli nie struchlałe resztki tego rodzaju zaufania, to czemuż doprawdy odrazu na trzeci dzień nie roztrzaskali mu łba i nie wrzucili do morza, zamiast przez dziesięć tygodni pozwalać się gnać na nieznaną śmierć, — bo tak chyba myśleli o swoim losie.

W toku wspomnianej już sprawy Diega Colóna, niejaki Francisco Garcia Vallejo, który był majtkiem na «Pincie», zeznał w dwadzieścia jeden lat po odkryciu: «W nocy z czwartku na

piątek, z jedenastego na dwunastego października księżyc świecił, i niejakiemu Juanowi Rodriguez Bermejo, mieszkańcowi Molina w prowincji Sewilli przywidział się biały pagórek piaszczysty; szeroko wytrzeszczył oczy i ujrzał ląd. W te pędy podbiegł do armat, wypalił i zawołał: «Łąd! Łąd!» Załoga wybiegła na pokład i nie schodziła już do białego dnia».

W dzienniku okrętowym znajdujemy inną relację: że wciąż wypatrujące lądu oko admirała już koło godziny dziesiątej wieczór dojrzało ruchome światło, które odrazu wydało mu się dziełem ludzkich rąk. Admiral zwołał natychmiast towarzyszków podróży — potwierdzili to spostrzeżenie. Zalecił więc marynarzom, siedzącym w bocianiem gnieździe, wyteńczyć wzrok, przypomniał wreszcie o nagrodzie w kwocie dziesięciu tysięcy marawedów — królowa przyrzekła ją dać temu, kto pierwszy spostrzeże ląd — i nadomiar obiecał dodać ze swej strony strój jedwabny.

Ale nagrody nie otrzymał biedny majtek — sam admirał wymagał jej dla siebie, i to odrazu po Te Deum, które załoga wszystkich trzech okrętów zaintonowała. Niektórzy powiadają: przez chciwość, inni — z pragnienia sławy, a znowu inni, że z jednego i drugiego. Najpilniejsi obrońcy nie śmiały odpierać zarzutu, że był odrażającym skąpcem. Wszakże: sknerstwo, pragnienie sławy, to wszystko nie trafia w sedno rzeczy — to było pod nim, za nim, była to niepo-

wściągliwa żarłoczność człowieka, łaknącego nagrody, jakgdyby obecnie ziemia cała, ludzie i los był mu zobowiązany składać nieograniczone daniny z rzeczy największych i najmniejszych.

Wątpię, czy którykolwiek śmiertelnik przeżywał kiedyś bardziej podniosłą chwilę, niż Kolumb, gdy lądował na Guanahani. Wątpię też, czy kiedykolwiek jakie Te Deum było wstępem do tak krwawych tragedji, do takich orgij prześladowań i rzezi, jak to, które zaintonowała załoga trzech okrętów 12 października 1492 roku.

Rozdział siódmy

I N D J O S I I Z Ł O T O

Wyspa zwała się Guanahani — melodyjne skojarzenie zgłosek dziecinnych, jak pradźwięki przymilne, onomato-poetyczne. Należy ona do grupy wysp Bahama: spór uczonych geografów dosyć późno ustalił tymczasową hipotezę, że była to dzisiejsza wyspa Watling. Badania na miejscu nie wchodziły w rachubę, legend nie było żadnych, ponieważ niedługo po odkryciu wywieziono — niby bydło na rzeź — dobroduszną i ufą ludność całego archipelagu na Kubę, gdzie zmuszona do połowu perel i do straszliwej pracy w kopalniach, wkrótce wyginęła doszczętnie. Już w roku 1520 okręty hiszpańskie zastały te niegdyś kwitnące wyspy — opustoszałe i wymarłe.

Admirał wzywa do siebie obu kapitanów jako też notariusza floty i każe im być świadkami, że o tej godzinie prawnie, w imieniu króla i królowej obejmuje wyspę w posiadanie. Dobywa szabli, rozpościera flagę kastylską i nakazuje całej załodze złożyć mu jako admirałowi i wicekrólowi przysięgę na wierność. Zapewne oddawna już we wszystkich szczegółach obmyślił tę uro-

czystość. Była ona realizacją pierwszego, z długiego szeregu, jego marzeń. Zdarzyło mu się to, co się zdarza jednemu na milion: urzeczywistnienie najtajniejszego, najżarliwszego pragnienia. Kronikarze stwierdzają, że ludzie ci byli nieomal obłąkani z entuzjazmu: otoczyli admirała, ściskali go, całowali po rękach, a wczoraj jeszcze najkrnąbrniejsi okazali się dziś najbardziej pokornymi i wdzięcznymi. Nic dziwnego. Żaden rozum ludzki nie był w stanie sprostać potędze wybuchowej tego momentu. Bywają wstrząśnienia, pod których wpływem ludzie źli przestają być złymi, słabi tracą słabość, smutni — melancholję, wtedy wybucha żywiołowy instynkt, i zalewa i spala wszystko co jest indywidualne i celowe. Te wyrzutki Europy nie zadowolilyby się niewinnymi oznakami radości; w ich szaleńczym, nieprzytomnym oszłomieniu odrazu zapewne skupiły się najdziksze nadzieje, i popęd narazie bezprzedmiotowej żądzy w mgnieniu oka przeistoczył każdego w skrytego i do każdej zbrodni gotowego spiskowca.

Byłem dziesięcioletnim chłopcem, gdy poraz pierwszy przeczytałem, jak Kolumb «prawnie» obejmował w posiadanie wyspę Guanahani. Przypominam sobie, że wyraz «prawnie» wprowził mnie w zdumienie, że zastanawiałem się nad nim całymi dniami. W naiwności swej zadawałem sobie pytanie, jak to było możliwe, skoro wyspę zamieszkiwali obcy ludzie i to zapewne zdawien dawna. Przedewszystkiem dziwiła mnie

sama przez się rozumiała naturalność tego aktu, jak i to, że Hiszpanie nie starali się nawet przedtem dowiedzieć, czy kraj nie jest już czyjąś własnością. Dziwiłem się, że można było w takim wypadku mówić o prawowitości, i stąd powstał we mnie zamęt pojęć. Oczywiście było to dziecinne ujęcie, później sam to rozumiałem, zwłaszcza, że fakt ów był omawiany we wszystkich książkach z tą samą naturalnością, i że nie spotykałem człowieka, któryby dzielił moje zdziwienie.

Admirał kazał zebrać krajowców, i oto są jego słowa o nich, pierwsze słowa, napisane ludzką ręką o delikatnych, jak kwiaty istotach, zamieszkujących tę wyspę: «Przekonałem się, że mam przed sobą ludzi, których raczej łagodnością i namową niżli siłą można będzie nawrócić na naszą świętą wiarę, a przeto podarowałem niektórym szklane paciorki i kolorowe kaptury i wiele innych bezwartościowych przedmiotów, które im sprawiły ogromną uciechę i pozyskały nam ich przyjaźń. Podpłynęli do naszych okrętów, przynieśli papugi, motki przędzy, drewniane oszczepy i wiele innych przedmiotów, za które dawaliśmy im rozmaite drobiazgi, zabawki i dzwoneczki. Mężczyźni i kobiety pokazują się zupełnie nago, są pięknie zbudowani, mają piękne ciała i twarze. Ruchy ich są harmonijne — należy sądzić, że byliby dobrymi sługami, charakter mają zacne, przypuszczam, że bez wielkiego zachodu można będzie zrobić z nich chrześcijan».

W dwa dni później, gdy zdecydował się sterować na południo-zachód, gdzie według wskazań Indjosów (tak ich nazwał, będąc przekonany, że znajduje się w Indjach) miał się znajdować inny ląd, opisuje, jak o szarej godzinie wybrzeże zapełniło się młodzieńcami bardzo wysokiego wzrostu. «To naprawdę piękna rasa ludzka» zapewnia. «Włosy ich nie są kędzierzawe—proste i długie, spadają nisko na czoło i grube są jak włos koński. Oczy ich są piękne i wcale duże. Cera nie jest czarna lecz ma zabarwienie jak u mieszkańców wysp Kanaryjskich, nogi zupełnie proste. Badałem ich bardzo starannie, aby się dowiedzieć, czy posiadają złoto. Zauważyłem, że niektórzy mają specjalne dziurki w nosie, w których przechowują kawałki złota. Porozumiewając się na migi, dowiedziałem się, że jeśli okrążę ich wyspę i zwrócę się na południe, to znajdę kraj, którego król posiada wielkie ilości tego kruszcu. Usiłowałem ich namówić, aby mnie zaprowadzili do tego kraju, ale wkrótce stwierdziłem, że są temu bardzo niechętni, (to znaczy, że przemocą zmusił Indjosów do wskazanych usług). Złoto, które zauważyłem w ich nosach, jest pochodzenia krajowego, ale nie kazałem go szukać, szkoda mi na to czasu, bo myślę tylko o tem, jak dotrzeć do wyspy Zipangu».

Ten sam znamieny proceder powtarza się odtąd stale. Opuszcza Guanahani, której nadaje

nazwę San Salvador, odkrywa drugą wyspę—nazywa ją Santa Maria, de la Concepcion, trzecią—Fernandinę, czwartą, która otrzymuje nazwę Izabelli: z początku więc Zbawiciel i Matka Boska, a następnie ziemski majestat. Wszędzie spotykają go Indjosi z nieśmiałą sympatją, przewyciężywszy głęboki strach przed przybyszami, w których dopatrują się bogów i półbogów. Nigdzie ani śladu wrogości, nigdzie złośliwego czynu, co najwyżej kradną przy okazji jakiś drobiazg z okrętu, jakąś błyskotkę czy rzecz kolorową, która obudziła ich naiwne pożądanie; co uczyniwszy, zmykają czem prędzej, aby ukryć zdobyty skarb. Pochwyceni na gorącym uczynku, gotowi są oddać cały swój majątek za cudowne świecidelko, odłamek lustra, czy strzęp czerwonego sukna. (Jest to, zdaje się, znamienne po wszystkie czasy w postawie t. zw. dzikich wobec białych: byle śmierć europejskiej cywilizacji, błyszczący odłamek czy jaskrawa szmatka wprawia ich w zachwyt i budzi w nich cześć dla ducha, który potrafił coś podobnego wytworzyć. W dwieście osiemdziesiąt lat po Kolumbie kapitan Coqk poczynił podobne obserwacje na Morzu Południowem).

Uczucia ich względem przybyszów—to podziw i cześć. Prastara legenda, będąca żywą tradycją wszystkich szczepów stąd aż po Meksyk, Guatemalę i Peru, zaszczerpiła w nich oczekiwanie boskich istot, synów słońca, którzy mają przybyć od Wschodu i krzewić bezgraniczną radość

i piękno. Był to jeden z tych mitów o wyzwoleniu, które towarzyszą ludzkości, we wszystkich kształtach jej wczesnej świadomości. «Dziękowali Bogu — notuje Kolumb 14 października — padli na ziemię, wzniesli ręce do nieba i prosili, abyśmy się udali w głąb kraju». Ale pierwszym jego czynem nazajutrz — był wybór miejsca pod budowę warowni. Z niejakim zawstydzeniem dodaje w sprawozdaniu, że jest to być może praca zbędna, albowiem ludność tubylcza jest w kwestji wojennej niezmiernie prostoduszna. W tem stwierdzeniu wyraża się niemała pogarda człowieka cywilizowanego dla niecywilizowanego, pogarda wojowniczego, pobożnego katolika dla pokojowo usposobionych pogan. W tem ujęciu tłumaczy się również jego zatroskanie z powodu ich niewiary i chęć nawrócenia ich możliwie najrychlej na wiarę chrześcijańską. Niepokoi go myśl o zbawieniu duszy; sumienie jego dręczy widok marnowania się takiego bezpańskiego dobra Kościoła. Lecz w pierwszych czasach nie umie się odpowiednio postawić, on sam i jego wysłańcy są bardzo niezręczni w badaniu «dziw-
kich», powstają dziwaczne nieporozumienia, i admirał słyszy tylko to, co pragnie słyszeć, to znaczy, że właściwie nic nie słyszy. Zaprzątnięty wyłącznie swoją gotową już wizją, spodziewa się, że lada chwila ukażą się okręty Wielkiego Chana w odkrytych przezeń przystaniach, i że najdalej za dziesięć dni dotrze do stałego lądu azjatyckiego. Ponieważ ani na chwilę nie odstąpił

od tego przekonania, więc wszystkie wskazania Indjosów zostały zozumiane fałszywie, przekręcone i tłumaczone w myśl jego intencji. Czego pod tym względem nie dokaże urzędowy tłumacz, znawca języków, Żyd, Luis de Torres, którego wziął ze sobą w podróż, to już on sam dorobi. Gdy opowiadają o miejscowości zwanej Cami, wydaje się Kolumbowi, że mówią o Grand Chanie; a gdy wymieniają wielką wyspę Kubę, on rozumie przez to Zayton i Quinsay. Przynoszą mu warzywa i owoce, ale on pragnie złota. Widzi i uznaje ich ufność i łagodność, zaciąg gorliwość w wyświadczeniu usług, gotowość czczenia go jako boga, natomiast nie widzi ich skrajnego ubóstwa. Stwierdza tylko ze zdumieniem, że nic sobie nie robią ze złota, co go tem bardziej utwierdza w mniemaniu, że każdy z tych małych ogrodów-rajów obfituje w ukryte złoża szlachetnego metalu. I oto zaczyna go nękać głęboki niepokój: jak wejść w posiadanie tych skarbów? Jak zmusić Indjosów, aby je wydali?

Zapiski jego nie dają żadnego obiektywnego pojęcia o tem, jak naprawdę, we własnem sumieniu odnosił się do Indjosów. O ile wiem, nikt jeszcze nie brał tego zagadnienia za przedmiot badań, aczkolwiek oświeciłoby ono wiele niezgłębionych stron jego charakteru. Nie można go chwycić za słówka, i niema zresztą takiego słowa, za któreby można było go chwycić. Człowiek dzisiejszy nie umiałby nawet uprzytomnić sobie

tej obludy, do jakiej zdolny był człowiek piętnastego stulecia w zakresie konwencji socjalnych i humanitarnych reguł; błędne byłoby mniemanie, że wyspiarze stanowili dla Kolumba jedynie żywy dodatek do szczególnie powabnego krajobrazu, równie błędne jak to, że powiedzmy sentymentalizm osiemnastego stulecia widział w nich jedynie prostoduszne stworzenia naturalne, które chciał wyzwolić z mroków niewiedzy. Trzeba uwzględnić nietylko absolutną nieczułość ówczesną względem inowierców, bezbożnych nagusów, dzikusów, wegetujących w mrokach zabobonu, ale także — i to w stopniu o wiele silniejszym — głuchotę i ślepotę człowieka opętanego przez jedną ideę, na wszelkie zjawiska na ziemi, nawet takie, które są mu potrzebne do zrodzenia i utwierdzenia jego idei. Z tego też względu nie można mówić o chciwości Kolumba — jak to się często czyni; jego nienasycona żądza złota ma inne źródła niż pospolita chciwość. Don Kichot nie jest chciwy, gdy roi sobie o skarbach króla trapezundzkiego; uważa je za daninę, należną mu od losu — nieodzowną dla jego samopoczucia.

Jego postawa względem Indjosów od samego początku była tchórzliwa, zdradziecka i niepewna. Z jednej strony brak mu słów na określenie ich naturalności i niezepsucia, z drugiej zaś wciąż zachodzi w głowę, jakby ich najbardziej wyeksploatować, bo przecież uważa ich w pierw-

szym rzędzie za swoją własność, i dopiero w drugim — za własność korony hiszpańskiej. Najchętniej byłby od nich torturami wydobył wszystko, co pragnie wiedzieć; a raczej chciałby usłyszeć potwierdzenie swoich przypuszczeń, twierdzi więc na przykład, że mogliby mu opowiedzieć o ludziach z pieską głową, o potworach z jednym okiem pośrodku czoła, albo o wyspach, zamieszkałych przez Amazonki; chciałby w ten sposób uzgodnić z rzeczywistością bajeczki starożytnych pisarzy, które mają w jego mniemaniu scholastycznie naukowy charakter. Skądinąd znowu jest w dostatecznym stopniu rozważny, aby ich nie onieśmielać, zanim mu nie pokażą kopalni złota (istniejących jedynie w jego wyobraźni) i drogi do stolicy Wielkiego Chana, (która również jest tylko jego szalonym pomysłem). «Jak się Bogu spodoba zabiorę stąd wyjeżdżając sześciu tuziemców dla Waszych Królewskich Mości, aby się nauczyli mówić» — pisze niby entomolog, obiecujący przesłać zbiór osobliwych chrząszczów.

Wciąż wraca do swojej myśli: «Byłem bardzo uważny i zadawałem sobie wiele trudu, aby się dowiedzieć, czy jest tu gdzie złoto», albo: «Dowiedziałem się, że na południu mieszka król, który posiada wielkie złote naczynia». Na Haiti pewien kacyk przynosi mu duży kawał złota, Kolumb jest głęboko uszczęśliwiony i zwraca się z modlitwą do Boga: «Oby Wszechmocny pomógł mi w swoim miłosierdziu, żebym znalazł kopalnie, z których dobyto ten kawał złota».

Sprzedaje Indjosom miedziane trąby baskijskie: wzamian za złoto; każe im rozdać syrop: za złoto; największą uciechę sprawiają tym rozbawionym dzieciom natury małe, mosiężne dzwonki—przedmiot zamiennego handlu. Admirał zalał pokolei wyspy Bahama, Kubę, Espanolę, a potem i pobraża stałego lądu tysiącami dzwonek: i otrzymywał wzamian złoto. «Ludzie moi—pisze w dzienniku—widzieli Indjosa, który miał kawał złota rozmiarów kastylskiego talara, ofukałem ich, że nie odkupili». Gdzie indziej znów: «To, co ujrzałem, na pewno jest złotem. Spodziewam się, że z pomocą naszego Zbawiciela odkryję miejsce, gdzie ono się rodzi». Albo: «Zobaczę rychło króla tej wyspy, którego szaty, jak się dowiedziałem, są całe wyłożone złotem». Albo: «Po drodze do Bohio zwiedzę wszystkie wyspy, a na miejscu już postanowię co czynić, stosownie do tego, czy znajdę zapasy złota i korzeni». 23 października: «Odstępuję od zamiaru zwiedzenia Kuby, która na pewno jest krajem Zipangu, ponieważ zdaje mi się, że niema tam kopalni złota». (Później znów zmienia to postanowienie). Dwudziestego dziewiątego przybija do okrętu szesnaście łodzi, załadowanych tkaninami bawełnianymi. Admirał kategorycznie zabrania swoim ludziom przyjmować dary i chce w ten sposób pokazać tuziemcom, że szuka wyłącznie złota (dosłownie). 6 listopada: «Indjosi, którzy mi towarzyszą, powiadają, że na wyspie Beneque jest tyle złota, iż widać je z popod cienkiej warstwy

ziemi». 25 listopada: «Admirał udał się nad rzekę i zauważył mnóstwo kamieni, pocentkowanych złotem». Chciwe zmysły zwodzą go — jest to zwykły szpat wapienny albo łyczak, jak się później w Hiszpanji okazało przy badaniu.

Myśli i marzy jedynie o złocie. To jego udręka, kłujące go żądło, jego manja i nadzieja. Mówiłem już o tej potrzebie samoutwierdzenia, którą Don Kichot odczuwa i to boleśnie, co wynika z jego charakteru, obcego wszelkiej rzeczywistości. Złoto jest również środkiem do samoutwierdzenia, ale tu otwiera się otchłań; mężczyzna w tym wieku, który z takim opętaniem mówi o złocie, tak łaknie złota, zdradza tem samem, że całe jego dotychczasowe życie upływało w ubóstwie i prywacjach, i co więcej, że ogólne warunki społeczne — warunki egzystencji dworu, mieszczaństwa, całego narodu, a nawet całej Europy, musiały być szczególnie ściśnione, przytłaczające, kłopotliwe. Potwierdza to zresztą historia kultury. Brak wszelkich powabów, wszelkich wygód, najskromniejszego używania życia; skąpstwo i surowość, trzymające życie prywatne w więzach, wetowano sobie jedynie wspaniałemi, pełnemi przepychu procesjami, ekstazami religijnymi i krwawemi orgjami.

Ale i to nie wyjaśnia wszystkiego. Trzeba sięgnąć głębiej. A na dnie tkwi zawsze strach.

Zapewne, Kolumb musi osiąść namacalny dowód, że nie jest bezpłodnym fantastą, jak to sztydzą przeciwnicy. Za jednym zamachem może zmusić do milczenia sceptyków, którzy mu tyle przysporzyli zmartwień i poniżeń, których głosy, miny, uparte repliki i złośliwa obmowa napęliły sny jego niepokojem. Wystarczy wysypać im pod nogi tuzin worków ze złotem, a będą musieli uwierzyć w niego, będą musieli przyznać, że jest wielkim człowiekiem, że stała mu się z ich strony gorzka krzywda. Już zgóry napawa się ich zdumieniem, ich zawstydzeniem, ich pokornymi usprawiedliwieniami. Albowiem tych chudopachółków — większość jest uboga — tylko widok złota — najbardziej niezbitego ze wszystkich argumentów — może zmusić do uznania jego zasług. — Przeszłość jego, charakter i wszystkie zwierzenia nasuwają mniemanie, że był to człowiek niewykorzenionego, najbardziej frasobliwego resentymentu.

Przedewszystkiem jednak trzeba całkowicie przekonać tych, którzy mu dali pomoc i ponieśli ofiary. Jeżeli wróci z pustymi rękami, to niezawodnie nie zechcą przeczyć jego powodzeniu, na pewno chwalić będą jego czyn i przyznają mu należną cześć — ale czemże ich wynagrodzi? Lecz jeżeli nie narazi ich na straty, zwróci im użyczony kapitał z procentami i procentami od procentów, jeżeli pokaże im taki nadmiar bogactw, że to, co wyłożyli, będzie nic nie znaczącym szelągim wobec dochodów, które zdo-

będą — tylko w tym wypadku będzie mógł sta-
nąć przed nimi jako równy, jako pan wobec
panów, taki sam jak i oni — dworzanin i grand.

Przedewszystkiem staje w jego wyobraźni
para królewska — wyniosła i wymagająca. Rzeczą
największej wagi jest dowieść im, że poparcia
swego i zaufania nie zawierzyli niegodnemu. Nie
przeboleł jeszcze zimnego lekceważenia króla.
Godzinami potrafi widzieć i wyobrażać sobie,
jak to monarcha skinie nań przyjaźnie, jak wsta-
nie z tronu i powie mu: «Miałem błędne o wasz-
mości mniemanie, don Cristobal Colón, jesteście
naprawdę wielkim człowiekiem». A jej, królowej,
wielkodusznej protektorce, wiernej służebnicy Ko-
ściół, niezmordowanej bojownicze wiary, któ-
rej ślubował uwolnić święty grobowiec, jej, sio-
strzanej opiekunce — bo tak się do niej w naj-
tajniejszej głębi odnosi, mimo niewolniczej poko-
ry — jej, której łaska umożliwiła mu ten triumf
życiowy: jej musi odwdzińczyć się skarbami, ja-
kich nie posiada żaden książę chrześcijaństwa —
choćby poto, aby jeszcze bezwzględniej wierzyła
w niego, aby się z nim ściślej sprzymierzyła.

Niezmierzone, kwitnące krainy: to są na-
prawdę dary, godne królowej. Ale jakże dać jej
pojęcie o piękności i naturalnem bogactwie tych
obszarów, które obecnie do niej należą? Słowem,
nędznym opisem? Desperacki wysiłek. Usiłuje to
zrobić, nie skąpi wyrazów, pełnych zachwyty:
Jakież cudowne było to cenne, rozkoszne po-
wietrze, piękno drzew, porastających wybrzeża

rzeki, przezroczysta woda i cały krajobraz ożywiony chmarami ptaków. Wszystko to przedstawiało widok tak uroczy, czyniło miejscowość tak czarowną, że admirał z trudnością odrywał od niej oczy. Wyraził się w gronie najbliższych, że trzeba by tysiąca języków, aby królowi i królowej dać najslabsze wyobrażenie o piękności tej czarodziejskiej krainy. Albo na widok przystani Baracoa: «Admirał nie znajduje słów do wyrażenia zachwyty nad pięknością kraju. Równina rozszerza się w kierunku południowo-wschodnim, i wielkie rzeki, które ją przerzynają, nadają jej szczególny urok». A potem o wyspie Espanoli: «Wszystek grunt jest obsiany, i dolinę przecina rzeka, która nawadnia całą wyspę. Drzewa są zielone i ciężkie od owoców, murawy zasiane kwiatami i bardzo bujne, powietrze balsamiczne jak w kwietniu w Kastylji. Śpiew słowików miły jak klimat, zewsząd słychać owo cykanie świerszczy i rechot żab. Błagam Waszych Królewskich Mości, aby zechciały wierzyć, że wyspa jest tak dobra i urodzajna, iż ten tylko mówić o niej może, kto ją widział». Albo: «Zapewniam Wasze Królewskie Mości, że na całym świecie niema lepszego kraju i lepszych ludzi. Kochają swoich bliźnich, jak siebie samych, mają naprawdę ujmujący sposób wyrażania się i zawsze przyjazny uśmiech».

Nędzny belkot, nędzne oczy, które widzą tylko najsurowszą materję, a niedostrzegają osobliwości nowych form, ani egzotycznego przepychu

barw, przejrzystości światła, srebrzystej płynności atmosfery; biedne pióro, które nie znajduje słowa, by wyrazić szczęście pierwszeństwa, duch żalśnie zależny, uwięziony w sieci niskich względów, który tę nową ludzkość gnuśnie wtłacza w schemat swych najciaśniejszych pojęć, płasko schematyzując jej życie, jej duszę, i to, co czyni i czego nie czyni, który nie dostrzega zupełnie jej tajemniczego skomplikowania, jej pradażnych socjalnych i religijnych reguł i etycznych praw. To kupiec, co słowami zachwala swój towar, lecz nie może pokazać go klientowi, aby i ten przekonał się naocznie, jaki to skarb nabywa. Ale bądź co bądź jest to kupiec o wielkiej wyobraźni, który wyczerpał już kredyt, któremu odbiera sen oczekiwania wielkich zysków. Marzy o chwili, kiedy będzie mógł rozgłosić swoje szczęście, kiedy pozyska sobie wreszcie zaufanie, i jemu bowiem — aczkolwiek sam to przeżywa — wszystko to wydaje się tak dziwnie niewiarygodne. Niecierpliwłość zawsze znajduje ujście w strachu. Kolumb obawia się, że odkrycie jego może pozostać nieznane Europie, trzeba jeszcze przepłynąć z powrotem przez ocean; burze, którym dotąd uszedł cało, może go zniszczą na drodze powrotnej. Ale jeśli go nawet oszczędzą, jeśli nawet dotrze szczęśliwie do domu, wszystko jest niepewne, oparte niestety jedynie na słowach — wszak ta nowa ziemia, którą odkrył dla ludzkości, może się okazać fatamorganą, wszak może się rozwiać w nicość, ledwo się odwróci do niej plecami,

tak jak była nierealną zanim ją odkrył? To jest jego obawa, obawa przed rzeczywistością — najstraszliwszym lękiem ducha; dlatego tak zgarbia złoto wszelkimi środkami, każdą drogą, albowiem złoto jest jedyną dostępną zmysłom rzeczywistością, która może go wylegitymować i budzić zrozumienie, jest ekstraktem sercowym odsłoniętego misterjum i uosobieniem jego czynu.

Rozdział ósmy

P O W R Ó T I T R I U M F

Ludzie wielkich czynów są zawsze głębokimi znawcami duszy ludzkiej; rodzą się odrazu z nieomylnym instynktem, wyczuwającym wewnętrzną użyteczność jak i polityczną wartość wszystkich ludzi, których przykuwają do siebie i podporządkowują swoim celom. Jedną z najbardziej zastanawiających cech Kolumba jest jego słaba znajomość ludzi. Właśnie ci, których największem darzy zaufaniem, sprawiają mu najbardziej gorzki zawód, gdy powierza im kierownicze stanowisko, czy komendę, czy zastępstwo swoich interesów w Hiszpanji. Ma nieszczęśliwą rękę w wyborze służby i pomocników, nie umie zdobyć sobie ani autorytetu ani nawet respektu, do przeprowadzenia swojej woli we wszelkich okolicznościach, brak mu konsekwencji i chłodnej rozważy, a przede wszystkim owej moralnej nieustraszoneści, która budzi w otoczeniu lęk. Wciąż go okłamują i podchodzą, zawsze przyznaje rację temu, kto umie się postawić, a stanowczości i energii w wydawaniu rozkazów ma tyle, ile jej może mieć powiedzmy, jakiś podrzędny urzędnik, który mocą zabawnego przypadku awanso-

wał na ministra. Kiedy ludzie jego, przejąwszy od tuziemców zwyczaj palenia tytoniu, wpadają z nieprzyzwyczajenia w osłabiający stan oszomienia, który ich czyni niezdatnymi do pracy, Kolumb nie ma dostatecznej siły charakteru, aby im zakazać palenia, lecz próbuje ich zniechęcić do tego nałogu, wskazując na jego barbarzyńskość. Gdy odpowiadają, że nie mogą się już odzwyczaić, z rezygnacją stwierdza: «Nie pojmuję, co za korzyść mają z ssania tej żarzącej się rurki».

21 listopada, Marcin Alonzo Pinzon na «Pincie» odłącza się od Kolumba i obu okrętów, aby na własną rękę dokonywać eksploracji. Czyni to nie tylko bez pozwolenia admirała, jak o tem donosi meldunek do królowej, lecz nawet naprzekór jego wyraźnemu zakazowi. Przez sześć tygodni żegluje po sąsiednich morzach — jest to poprostu dezercja, z czego sobie Kolumb doskonale musiał zdawać sprawę. Mimo to nie śmiał go pociągnąć do odpowiedzialności, kiedy któregoś dnia Pinzon wrócił. — «Pinta» pozatem dokonała innych rzeczy — to wszystko, co z tchórzliwym lakonizmem umiał powiedzieć o tem wykroczeniu przeciwko dyscyplinie.

Którejś nocy «Santa Maria» — okręt admirałski — przez nieodpowiedzialne niedbalstwo wjeżdża na brzeg. Kolumb opowiada: «Była jedenasta wieczór, kiedy admirał zdecydował się udać na spoczynek, ponieważ od dwóch dni i jednej nocy nie zmrużył oka. A że morze było

spokojne, więc sternik również się położył i zdał opiekę nad sterem chłopcu okrętowemu, wbrew surowemu zakazowi admirała. Zrządzeniem Bżem dokładnie o północy, kiedy zapanowała cisza, a morze leżało spokojne, jak zupa w misce, prąd zniósł nasz okręt na mieliznę, czyniąc to tak łagodnie, że ledwo kto zauważył. Chłpiec wszczął krzyk, admirał pierwszy wybiegł na pokład, kazał spuścić szalupę i zarzucić kotwicę. Sternik i kilku innych z załogi zeskoczyli do szalupy. Admirał sądził, że zamierzają wykonać jego rozkazy. Ale cż się okazało—poprostu chcieli ratować się ucieczką na «Ninę», która znajdowała się w odległości połowy mili morskiej»...

Znowu kompletna niemoc. Nigdzie też nie ma wzmianki o karze—nie ważyłby się na takie ryzyko. Nie rozporządza wyszkoloną i wychowaną załogą—jego ludzie to banda zbójów i kryminalistów. Strata «Santa Marii» miała bardzo doniosłe skutki. «Nina» była zbyt mała, aby pomieścić i przewieźć wszystkich, musiał więc admirał część załogi zostawić na wyspie i zawierzyć opiece kacyka Guacamarięgo, którego względy pozyskał sobie, i któremu ufał. Byli to zatem pierwsi europejscy osadnicy Nowego Świata i zarazem pierwsi, którzy przyplacili tę próbę życiem. Niesposób było zbadać, czy admirał słusznie czy niesłusznie darzył zaufaniem Guacamarięgo: w każdym razie faktem jest, że absolutnie nie rozumiał żadnego Indjosa, nie siłił się zresztą na głębsze zrozumienie — zamknął się bowiem

w powziętem zgóry domniemaniu jak w pancerzu.

Jego nieustanne zapewnienia o prostodusznym, szlachetnym i szczerym stosunku «dzikich» do niego i do wszystkich uczestników wyprawy przedrodziły się w pustą gadatliwość. Właściwie ilekroć chwali rzeczy i ludzi, zawsze ma na myśli tylko siebie. Z biegiem czasu Indjosom oczywiście nastroczyła się niejedna wątpliwość co do boskości przybyszów. Ta cecha, która Hiszpanom wydawała się ufnością, była przeważnie zaciekawieniem, ową nieprzymuszoną, jaszczurczą ciekawością naturalnych istot, która w pewnych okolicznościach nic sobie nie robi z niebezpieczeństwa. Przecież, jak brzmią relacje, mężczyźni i kobiety jednego ze szczepów zanieśli wysłańca admirała do namiotu i wymacali go od stóp do głów, aby się przekonać, czy jest rzeczywiście człowiekiem z mięsa i kości. Kiedy Kolumb twierdzi, że nie mogli się wprost doczekać chrztu, i że sam widział, jak zegnali się krzyżem i odmawiali *Salve* i *Ave*, to oczywiście zmyśla pobożną bajeczkę, zapewne chcąc się przypodobać swojej pobożnej pani, i dewotom hiszpańskim pokazać smaczną przynętę.

Ale to niezrozumienie przez Kolumba zachodnio-indyjskich szczepów wynika nietylko z braku wykształcenia, nie z entuzjastycznego uprzedzenia, nie ze złej oceny jednostek, ani nawet z owej tyranji obłudy, o której wspominaliśmy, która całe jego istnienie i myślenie tak opanowała, że już od początku wywiązało się wrogo przyczajone

przeciwieństwo do innych ludzi — trzeba ją raczej kłaść na karb epoki. «Rozumieć» — nie wchodziło to w zakres ambicji, ani kierunku owych czasów. Wcale nie o to szło. Nie umiano i nie chciano «rozumieć» poszczególnej jednostki jako bliźniego, ani odmiennej natury, ani odmiennego prawa, czy świata. Nie należy jednak wyciągać z tego zbyt pochopnych wniosków, jakoby celem tu było posiadanie, zabór i grabież. W istocie bowiem szło o rozsądzenie wąskich granic własnej jaźni, a że się przytem rozsądzało czyjąś jaźń, tem się nikt nie przejmował. Żywiołowa ekspansja, która opanowała zarówno królestwa całe jak i jednostki, niewiele sobie robiła z miłości, humanitaryzmu i sprawiedliwości.

Żaden Europejczyk z końca piętnastego stulecia nie byłby się obszedł z Indjosami z większą pobłażliwością niż Kolumb, natomiast wielu innych, nie tak zapatrzonych we własne marzenia i zadurzonych we własnych czynach, byłoby postąpiło o wiele brutalniej. Żaden nie umiałby przeczuć albo wyczuć ukrytego podłoża religijnego i dziejowego, tajemnicy rasy, strachu, oczekiwania, wstrząsu w świecie wyobrażeń, procesów uczuciowych, wytwarzających w łączności ową niemal nieprzenikliwą, nad wyraz subtelną przebiegłość — stosuję to słowo w jego znaczeniu psychologicznem — która ukrywała właściwą istotę Indjosów, niby maska.

Kacyk Guacamari — według powierzchownego opisu Kolumba piękny, mądry i miły młody mężczyzna — okazał przybyszom wiele serdeczności, obsypał ich podarunkami i rychło nawiązał bliższe stosunki z ich wodzem. Dowiedziawszy się o nieszczęściu, które przytrafiło się admirałowi, wysłał przestronne czółna pod rozbity okręt, aby ratować ładunek. «Odbyło się to nad wyraz szybko, a to dzięki gorliwości, okazanej przez samego Guacamariego» — opowiada Kolumb. On sam wraz z braćmi i krewniakami uwijał się na pokładzie okrętu i na łódzie i osobiście doglądał, aby wszystko odbyło się w najwyższym porządku. Nie przestawał płakać i pocieszać admirała, zapewniać, że odda mu wszystko, co posiada, byleby admirał się nie martwił. Podobnie ubolewali nad nieszczęściem wszyscy krewni kacyka i ofiarowali rozbitek swoje domostwa. Admirał zaprosił Guacamariego do stołu; podziwiał dobre jego manjery, kacyk zaś ze swej strony ugościł admirała rybami, dziczyzną i pieczywem z «kassawy», a nadto ofiarował mu pas, suto zdobiony złotem. Zgodził się poza tem, aby Hiszpanie założyli w obrębie jego państwa warowne osiedle. Nie zabrakło amatorów osadnictwa, wszyscy, którzy się zgłosili, spodziewali się do czasu powrotu admirała zebrać i nabyć tyle złota, aby starczyło na całe życie. Sam Kolumb liczył, że zdobędzie czterdzieści ton złota dla Ich Królewskich Mości, dzięki czemu można będzie niezwłocznie przystąpić do wojny o Grób Święty.

Ale czy istotnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jakich to łotrów zostawia na tym łądzie? Czyżby lzy Guacamariego i jego krewnych, przelewane z powodu nieszczęścia rozbitków, zrodziły w nim mylne mniemanie, że ma do czynienia z ludźmi, którzy z anielską cierpliwością znosić będą wszelką brutalność i przemoc? Mylił się głęboko. Wprawdzie kazał wypalić z armat, aby przed tuziemcami zademonstrować potęgę swojej broni. Był to łatwy i później często stosowany chwyt, i tuziemcy istotnie przerażali się na śmierć i z panicznego strachu padali plackiem na ziemię. Ale to była tylko demonstracja — uważał ją za konieczną do podtrzymania swego prestiżu. Zapewnia z triumfem, że pięciu Hiszpanów rozpędzi bez wysiłku dwadzieścia tysięcy tych gębiolagodnych dzikusów. Tak był pełen europejskiej zarozumiałości i poczucia własnej wicekrólewskiej godności, że za rękojmię bezwarunkowego oddania, uważał zewnętrzny ceremoniał gościnności i utrwalone formy kodeksu towarzyskiego, o którego niebezpiecznych głębiach nie miał najmniejszego wyobrażenia.

Czwartego stycznia rozstał się z pozostawionymi na miejscu towarzyszami, zalecił im szczególnie opiekę nad miastem Navidad (wyrażał się: «miasto», aczkolwiek była to jeszcze prymitywna strażnica), i na «Ninie» udał się w podróż powrotną. W dwa dni później przyłączył się doń Alonzo Pinzon z «Pintą», ale burzliwa pogoda, która rozpoczęła się w połowie miesiąca, znowu

rozłączyła oba okręty. Nic niewiadomo o losie i przygodach kapitana «Pinty» podczas jego samowolnej wyprawy. Zdaje się, że admirał nie okazywał w tym kierunku żadnego zainteresowania, poprostu był zagniewany na dezertera, jak mąż na żonę, która jakiś czas zabawiała się na boku. Zemstę zataił w sobie na później.

«Nina» miała za mało balastu, fale miotały nią jak korkiem, w dodatku tram był dziurawy, i załoga musiała dniami i nocami stać przy pompach. Twierdzono, że Kolumb w tej podróży okazał się bardzo małoduszny. Zmęczony tyłu nieprzespanemi nocami i wysiłkiem, stale dręczony przez strach śmiertelny, chwilami wątpił, czy wróci do ojczyzny. «Mucha mogła mnie wówczas wtrącić w drżący niepokój» — skarży się histerycznie. W chwili szczególnego burzenia się żywiołów, zarządził losowanie, które miało ustalić, kto z załogi po szczęśliwem lądowaniu ma odbyć pielgrzymkę do Santa Marii de Guadalupe. W tym celu kazał nasypać tyle groszków, ile było osób na pokładzie, i jeden naznaczył krzyżem. Wsunął pierwszy rękę do worka i wyciągnął znaczony groszek. Wtedy dopiero odetchnął i zaczął wierzyć, że Bóg chce go zachować przy życiu, aby mógł dokonać rozpoczętego dzieła. Na wszelki jednak wypadek spisał na pergaminie sprawozdanie ze swej podróży, powlókł rękopis woskiem, i zamknął rolkę w pustej beczulce, którą następnie rzucono na fale. Poczem zwołał wszystkich, i kazał ślubować, że ledwo tylko staną na

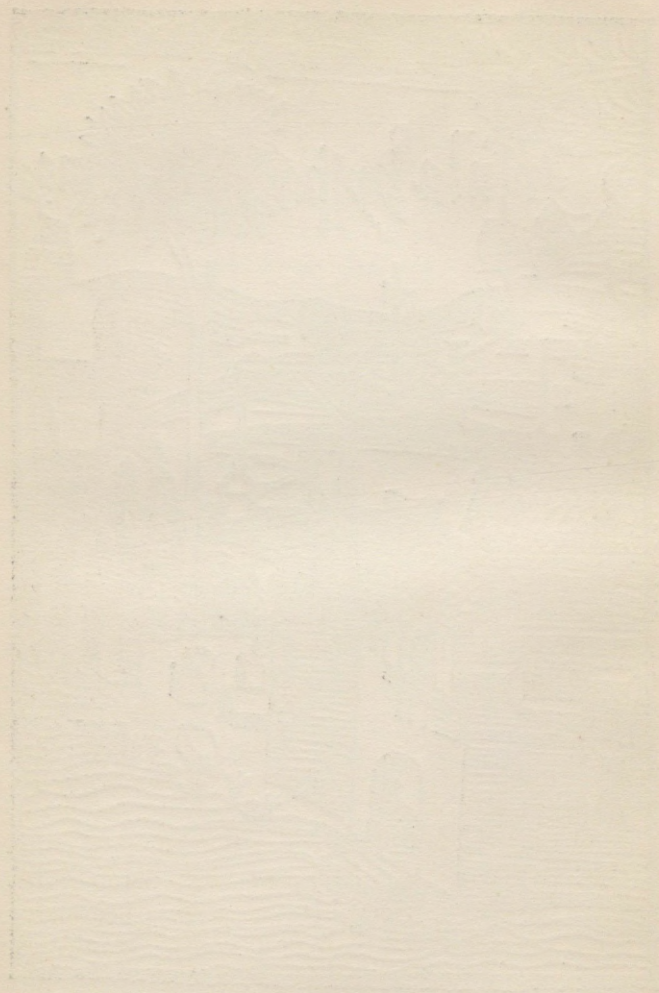
ojczystej ziemi, odbędą pielgrzymkę z miejsca lądowania do najbliższej kaplicy we włosienicach, nieustannie wzywając imienia Świętej Bogarodzicy: masowe nawrócenie pod naciskiem śmiertelnego strachu. «Burza, którą przeżyliśmy, była tak potężna, że przez cały czas uważaliśmy się za zgubionych» — stwierdza admirał i na pewno nie przesadza.

Pod koniec lutego okręt zamiast do wysp Kanaryjskich dobija do Azorów. Władze portugalskie czynią trudności przy lądowaniu, gubernator zatrzymał część załogi. Dopiero po uroczystym proteście admirała i okazaniu dekretu nominacyjnego pozwolono mu odjechać. Powinno to było ostrzec Kolumba — postępowanie gubernatora było wstępem do zazdrosnych intryg korony portugalskiej, zmierzających ku odebraniu Hiszpanii nowych krajów. A jednak pierwszą przystanią, w której Kolumb wylądował, był port portugalski Cascaes u ujścia rzeki Tejo. Zarzucając kotwicę, wysłał list do króla i w odpowiedzi został zaproszony do Valparaíso, gdzie bawił dwór, ponieważ w Lizabonie panowała podówczas zaraza. Monarcha przyjął go z niezwykłą przychylnością i nie omieszkiał się spytać, czy admirał nie woli odbyć podróży do Hiszpanii drogą lądową, wygodniejszą i pewniejszą od morskiej. Wszakże admirał podziękował za okazaną łaskawość, odmówił też przyjęcia innych dowodów przychylności i wrócił na swój nędzny statek.

Zagadkowe są powody, które go skłoniły do wystosowania tego niemądrego listu i do złożenia jeszcze głupszej wizyty. A może konieczność zmuszała go do zatrzymania się w najbliższym porcie, bo przybył do Cascaes z podartymi żaglami i podziurawionymi kadłubami? Ale przecież na pewnej wysokości wystarczyło bardzo nieznacznie zmienić kurs, aby o tym samym czasie przybić do hiszpańskiego portu. Czemuż tego zaniechał? Bo nie biorąc nawet pod uwagę hiszpańskiej dumy narodowej, którą obraził tem uprzywilejowaniem obcego portu, trzeba stwierdzić, że było to niewybaczalne głupstwo. A może się obawiał, że Alonzo Pinzo, zdążył pierwszy dotrzeć do Hiszpanji, więc chciał się nasamprzód upewnić w Portugalji? Może szło mu o triumf nad królem Joanem, który niegdyś wzgardził jego służbą, może chciał wystąpić w ponętnej roli zwycięzcy nasamprzód tam, gdzie doznał niegdyś najgłębszych upokorzeń, był bowiem człowiekiem niewykorzenionego resentymentu? W takich ry-sach trzeba się doszukiwać najbardziej utajonych tajemnic jego skomplikowanej natury,—chwilami przypomina on postać z Dostojewskiego.

W piątek wyruszył był w podróż, w piątek, piętnastego marca «Nina» z przyplływem przebyła tamę pod Saltes, wpłynęła w Aestuarium Rio Tinto i zarzuciła kotwicę nawprost Palos. Obawa przed współzawodnictwem «Pinty» była bezpodstawna. Alonzo Pinzon jeszcze





nie wrócił—dziwnym zbiegiem okoliczności przybił wieczorem tegoż dnia—i nie odebrał Kolumbowi najmniejszej części triumfu ani podziwu świata. Jakgdyby sama Opatrzność dbała o to, aby był pierwszym. Przecież wszystko zawisło od tego pierwszeństwa.

Zaraz po przybyciu, wysłał gońca do skarbnika Santangela ze szczegółową relacją o podróży, przeznaczoną również dla królowej i króla. Dwór przebywał wówczas w Barcelonie, Kolumb oczekiwał w Sewilli rozkazu Ich Królewskich Mości. Gdziekolwiek się zjawiał, wszędzie przyjmowano go z największemi honorami, jego wjazdowi do Sewilli towarzyszył nieopisany entuzjazm, dostojnicy i lud słuchali jego opowiadań z nieprzytomnym podziwem. Król i królowa wysłali do «admirala oceanicznego morza», jednego z najwybitniejszych oficerów dworu, aby pozdrowił go w ich imieniu, upoważnił go na piśmie do przygotowania drugiej wyprawy, i zaprosił czem prędzej do Barcelony.

Po drodze do pary królewskiej roztacza Kolumb zdumiewający przepych. W oczach późniejszego stulecia był to pochód jarmarczny, kawalkada kuglarzy, wędrowne bractwo cyrkowe. Ponieważ w Hiszpanji ówczesnej szczególnie zły stan dróg nie pozwalał korzystać z karoc, więc admirał wystarał się o znaczną ilość koni i mułów. Otwierali pochód uzbrojeni marynarze; zmuszeni byli siłą torować sobie

drogę poprzez gęste tłumy; za nimi szły grupki w uplanowanej inscenizacji: Indjosi z ptasiemi piórami na głowach, w barwnych pasach i fartuchach z jaskrawych materiałów; nosy ich i uszy ozdobione były złotymi kolczykami, a szyje i ramiona obwieszone bransoletami i koljami. Niektórzy trzymali dzidy i wiosła osobliwie rzeźbione, na ich ramionach siedziały żółte, zielone i czerwone papugi, których przeraźliwe wrzaski zagłuszały ryk i wycie tłumu. W olbrzymich koszach niesiono chępliwie przed admirałem, który — jak również synowie jego, Diego i Hernando — siedział na koniu, wszystkie rzadkie rośliny, wypchane zwierzęta, muszle, korzenie i migoczące kamienie, przewiezione przez ocean. Czternaście ciężko obładowanych mułów z zamkniętymi skrzyniami, które zapewne zawierały najcenniejsze kosztowności nowoodkrytych Indyj, zamykały pochód. Gdy wysłani naprzód gońcy zameldowali, że Colón zbliża się do miasta, wyjechali naprzeciw liczni przedstawiciele szlachty oraz najczcigodniejsi członkowie cechów kupieckich z kasztelanem dworu na czele, aby mu towarzyszyć do Ich Królewskich Mości. Ze wszystkich wież brzmiały dzwony, ze wszystkich balkonów zwieszały się kobierce, ze wszystkich okien powiewały chorągwie i chustki; muzyka i radosne okrzyki przepelniały ulice. Marzenie Kolumba było urzeczywistnione. Ale nie był to szczyt urzeczywistnienia.

Albowiem fakt niesłychany nastąpił dopiero później: gdy Colón podszedł do tronu, król i królowa powstali i nie pozwolili, aby, ugiąwszy kolana, ucałował im ręce. Co oznaczało, że witają i uznają w jego osobie nie zwykłego wasala, lecz wicekróla indyjskiej krainy. Wskazali mu fotel z poręczami i prosili, aby zajął miejsce. Było to wyróżnienie i łaska tej miary, że serce zamarło mu ze szczęścia. Usiadł więc w fotelu i olśniony powiódł dalekowidzącymi oczyma wokoło siebie. Widzi książąt, arcybiskupów, rycerzy i baronów, piękne, strojne damy—wszystkie spojrzenia są w nim utkwione z palącą ciekawością, wszyscy przeczuwają, że usłyszą wnet coś, co wstrząśnie ich wewnętrzną istotą; on zaś wyczuwa to oczekiwanie, ten głód nadzwyczajności — czy potrafi go zaspokoić? Czy wystarczy prosta prawda jego przeżyć, czy też musi ją spotęgować, przetopić w swych podnieconych zmysłach na cud? Zaczyna opowiadać. Dźwięczny głos wznosi się z ciszy, jak ciemny śpiew z nocy egzotycznej, głowy nachylają się, dostojne zgromadzenie jest pod czarem tych słów, słyszą wyraz «nowy świat», i w tej chwili pojęcie to utrwala się po raz pierwszy—on sam, ten zdumiewający człowiek odkrywa formułę, i oto w tej godzinie jedynej nabiera ona powagi i blasku niebiańskiego objawienia. Nowy świat; wiedzieć o nim; wiedzieć, że istnieje, że znajduje się w wymiernej odległości, osiągalny i dostępny. Rozumie się, sam opowiadający daje się

porwać upiększonym wspomnieniom i własnym słowom i obrazom, zapędma się w romantycznej przesadzie do zuchwałych nieprawdopodobieństw, ale nie umie inaczej postąpić — któż zresztą potrafiłby w tej chwili oprzeć się teatralnemu przedstawieniu przełomowych chwil; dosyć będzie pomimo to realnej rzeczywistości, nawet takiej, którą można się chlubić. Jedno skinienie, i oto Indjosi pojawiają się jak na scenie, wnoszą kosze, sam Kolumb wyjmuje z nich przeróżne produkty odkrytych wysp (hiszpański dziejopis Munoz nie omieszkiał sporządzić dokładnego spisu); bataty, korzenie yam, pieprz jamajski, korzenie yuka, jęczmień indjański, wilczy bob, banany, pisangi, krzewy bawełniane, tytuń, żywicę mastykową, aloesy, owoce mangrowe, orzechy kokosowe, tykwy, oliwę palmową; następnie zwierzęta: psa amerykańskiego, odmianę królików zwanych utia, odmianę dużych myszy, które u tuziemców uchodzą za smakołyk, jaszczury i wiele rodzajów ptaków i ryb. Wreszcie rzecz najważniejsza: złoto. Przed zachwyconemi oczyma dworu admirał składa złoto w ziarnach, żyły kruszczu, piasek złoty i wyroby ze złota: monety, pierścienie, płyty, maski, wisiory. Król i królowa raczyli własnoręcznie zbadać ciężar metalu i, nie zdradzając żadnego zmęczenia, chłoną słowa admirała.

I oto król zatwierdził Kolumba w zapewnionych mu na mocy układu prawach i nadomiar

wyróżnił go w szczególny sposób: nadał mu, jak również dzieciom jego i braciom, tytuł «don», przysługujący wówczas jedynie szlachcie rodowej. Poza tem wolno mu było asystować królowi konno. Przy stole królewskim bywał obsługiwany i na wszystkich uroczystościach honorowany narówni z grandami. Otrzymał herb, składający się z czterech pól: dwa górne nosiły emblematy Kastylji i Leonu, mianowicie z prawej strony złoty zamek na czerwonym, a z lewej— purpurowego lwa na białym tle; dolne pole z prawej strony miało grupkę połączonych wysp na falach morskich, z lewej zaś było miejsce na herb rodzinny. A że go nie posiadał, więc umieszczono tam nadany mu herb — pięć złotych kotwic na błękitnym tle. I napis:

Por Castillo é por Leon,
Nuevo mundo dió Colón.

Nie istnieje żaden list, żadne doniesienie, żaden odgłos, a nawet najmniejsza wzmianka o tem, jak się Kolumb—wewnętrznie czy zewnętrznie—zachowywał w owych dniach bezgranicznego triumfu. Należy on do tych ludzi, którzy się uzewnętrzniają tylko w nieszczęściu i cierpieniach, natomiast gdy stoją w blasku powodzenia, zalega wokoło nich milczenie. Trudno jednak przypuszczać, aby duch jego nabrał nagle lekkości i pogody; podobne natury w takich razach tem głębiej zapadają w posępność, którą hipochondryczne ich usposobienie rodzi bez konkretnych podstaw.

Ale czyż w każdym człowieku nie tkwi tajemna świadomość własnego losu, albo conajmniej zasadniczej barwy i zasadniczego kierunku własnego życia? Mimo zapamiętałego zapatrzenia się w siebie, musiał przecie Kolumb zauważyć, jakie podstępne moce rozpętał swem zwycięstwem. Narazie splendor tego odkrycia był tak wielki, że zmusił do milczenia nienawiść i zazdrość — całą Europę ogarnął nieopisany zamęt, pewniki były zachwiane, tysiącletnie granice obalone, nędza przestała się wydawać nieuniknionym losem narodów, rozwarła się przestrzeń, otworzyły się nowe drogi, i nowe możliwości. Nazwisko Kolumba było już równie dobrze znane żebrakowi w Danji, jak chłopom pańszczyźnianym w Rosji, i kurtyzanie w Rzymie, a jednak on sam miał poczucie, jakgdyby się rozdrabniał, jakgdyby zatracał w swem dziele własną osobowość. Więc gdy oszczerstwo i zazdrość godziły w Kolumba, nie trafiały go już wcale, albowiem dzieło było tak ogromne, że zostawiło ze swego sprawcy zaledwie cień.

ZABÓJCZA RZECZYWISTOŚĆ

Spór dynastyczny: królestwo portugalskie poczuło się pokrzywdzone i upomniało się o swoje prawa. Trzy bulle papieskie z połowy piętnastego stulecia przyznały mu prawo własności do wszystkich terenów od przylądka Bojado do Indyj. Była to darowizna. Rzym, za uprzedniem wynagrodzeniem, rozdawał biskupstwa, trony, prowincje, części świata i wieczną bezkarność. Władza kościoła w zakresie duchowym była nieograniczona, w zakresie zaś materjalnym pokonywała wszelki opór dzięki swej zwartej dyscyplinie, nieprzebrany bogactwom i osobistym zdolnościom swoich pełnomocników.

Król Jan oświadczył, że odkrycie i zabór, dokonany przez Kolumba, przynosi uszczerbek zagwarantowanym mu prawom, a gdy się dowiedział, że Hiszpanja ekwipuje drugą flotę, nie omieszkiał pójść za jej przykładem, aby w razie potrzeby siłą zapobiec dalszym ekspedycjom. Hiszpanja zaś czem prędzej pozyskała dla swego przedsięwzięcia papieża Aleksandra VI i otrzymała w lenno nowoodkryte kraje. Nie obeszło się bez obfitego świętopietrza; złoto z Indyj,

ofiarowane Watykanowi, było zużyte na pozłocenie gzymsów w Santa Maria Maggiore, jak stwierdza umieszczony na nich napis. Trzeciego maja 1493 r. ukazała się bulla, w której Ojciec święty «ofiarował Hiszpanji na wieczne posiadanie» Nowy Świat pod warunkiem, że natychmiast przystąpi ona do szerzenia tam wiary chrześcijańskiej. Kula ziemską została podzielona na dwie części południkiem, przebiegającym o sto leguas na zachód od wysp Azorskich — od bieguna północnego do południowego. Część wschodnia została przyznana Portugalji, zachodnia Hiszpanji.

Niewymyślny proceder. Ale nie było pewnych środków naukowych do określenia odstępów między długościami: chronometr, który do tego służy, jest wynalazkiem z początków osiemnastego stulecia. Portugalja była niezadowolona. Domagała się, aby Hiszpanji nie wolno było posunąć się na południe od wysp Kanaryjskich. Groziła więc zmonopolizowaniem całego obszaru gorących stref. Ale Hiszpanja, która w tym czasie nie prowadziła wojny, mając rozwiązane ręce dzięki pomyślnym układom z Francją, nie uległa groźbom. Przeciwnik odstępował krok za krokiem i po nieskończonych targach, częściowo odbywających się ustnie, częściowo drogą wielosłownych not dyplomatycznych, w czerwcu 1449 r. stanął układ w Tordesillas, na mocy którego za punkt wyjścia obliczeń uznano najbardziej na zachód wysuniętą wyspę Capverden

i linję demarkacyjną przeprowadzono nie w stu lecz w trzystu siedemdziesięciu leguas (2200 kilometrów). Astronomowie i piloci mieli wspólnie określić granicę, ale nic z tego nie wyszło, zadanie było niewykonalne przy ówczesnym stanie środków naukowych, i tak oto wszystko znowu zawisło w próżni. Mogło się więc w konsekwencji wydarzyć, że ci lub owi eksploratorzy, żeglujący po Wschodzie i Zachodzie, spotkają się na jakichś wodach u antypodów, a że trudno będzie ustalić, do kogo należy sporny obszar, więc wybuchną okrutne walki. Tak się też wistocie zdarzyło, gdy Karol Piąty, nienasycony w potrzebie środków pieniężnych, zmuszony był jeszcze raz się układać z Portugalją i zastawić Molukki za trzysta pięćdziesiąt tysięcy dukatów. Królowie i magnaci uważali ziemię za swoje lenno, mieszkańców za towar, którym można frymarczyć z zyskiem.

Aby umożliwić drugą wyprawę, królestwo kastylskie zaciągnęło u księcia Medina-Sidonji pożyczkę w wysokości pięciu milionów marawedów. Ale i ta kwota była niedostateczna — na resztę złożyło się zagrabione i skonfiskowane mienie przepędzonych Żydów — domy, kapitały, klejnoty i wszystkie ich nieruchomości. Trudno z pewnością orzec, czy gwałt ten, będący zresztą bardzo pospolitem wydarzeniem w dziejach zachodnio-europejskiego żydostwa, łączy się w związku przyczynowym z odkryciem Ameryki. Należy

sądzić, że tak. Gdy władcom potrzeba pieniędzy, obowiązkiem Żydów jest tę potrzebę opatrzyć. Jeśli zaś nie są w stanie wywiązać się z obowiązku w wymaganej mierze, nie robi się wielkich ceregieli: wyzuwa się ich z praw, z takim mozołem, za cenę największych upokorzeń zdobytych, najzwyczajszym edyktem odbiera im się wszystko, co w ciągu dziesiątków lat z bezgraniczną skrzętnością i przy wzorowym trybie życia uciulali — wbrew tysiącom złośliwych a nawet nieludzkich przepisów i ograniczeń. Szczęśliwi byli ci, którym powiodło się unieść głowę, ale to szczęście było udziałem zaledwie nieznacznego odsetka. Traktowano Żydów jako znakomicie funkcjonujący aparat oszczędnościowy — rozbija się aparat, gdy się zebrało w nim dostateczne zasoby. Dzieło Kolumba, podobnie jak tam, w nowoodkrytym świecie, spowodowało szereg krwawych rzezi, tak i tu w kraju ojczystym, bezpośrednio miało ten skutek, że wygnano setki tysięcy spokojnych i niewinnych obywateli, ograbionych jednocześnie z najkońieczniejszych środków istnienia, i okrutnie wymordowano dalsze setki tysięcy (ofiar naliczono ćwierć miliona). Trudno nawet myśleć o tem bez zdumienia, bo przecież, zdawałoby się, cóż może być bardziej pomyślnego i uszlachetniającego obyczaje nad zdobywanie nowych terenów — w fantazji, czy w rzeczywistości — dla narodów, odczuwających ciasnotę we własnym kraju. Wszakże dzieje się to chyba za

sprawą jakiegoś instynktu samozniszczenia, że ludzkość nawet najczystsze swoje dążności i najświeźszej zapowiadające się czyny topi we krwi i łzach. Pod panowaniem Maurów Żydzi byli powszechnie szanowanymi obywatelami, wysokimi dygnitarzami państwowymi, uczonymi i profesorami o światowej sławie, głębokimi poetami, czcigodnymi mecenasami — był to okres blasku i rozkwitu. Hiszpańsko-katolicki duch inkwizycji i pogromów położył temu kres z nagłością i gruntownością, z jaką góry lodowe czynią spustoszenia — przyczem jest rzeczą znamienną i epigramatycznie straszliwą, że najokrutniejsze prześladowania były dziełem żydowskiego mieszańca, który wybił się na stanowisko najwyższego dostojnika państwowego, groźnego tyra-
rana i księcia kościoła.

Flotylla, która się zebrała w porcie Kadyksu, składała się z siedemnastu większych i mniejszych statków. Okręt admirała, «*Marigalante*» wyróżniał się rozmiarami i mocną budową. Tym razem represje i środki nadzwyczajne okazały się zbyt skuteczne. Colón ledwie mógł się opędzić napływowi ochotników. Odpaleni amatorzy wpadali wprost w furję, a niejedni, nie zniosłszy okrutnego zawodu, popełniali samobójstwo — widać szerokim warstwom nieszczęśliwych bankrutów życiowych cudowne Dorado zaświeciło nadzieją. Szczęśliwcy, dopuszczeni do udziału w wyprawie, byli w stanie istnej gorączki, wszyscy, od

kapitana po ostatniego chłopca okrętowego, widzieli się już obladowani złotem — złoto bowiem było tą jedyną myślą, która ich opętała. Tak też admirał pisał do królowej z właściwą sobie, rzekłbym sztywną, rzetelnością: «Złoto jest rzeczą najdoskonalszą, kto posiada złoto, posiada wszystko, czego tylko pragnąć może na tym świecie, a nadto posiada możność dusze grzeszne do raju prowadzić». W tych słowach niema najmniejszego cienia szyderstwa, duch, który je dyktował, aczkolwiek spoufалony z pogardą dla ludzi, obcy jest ironji, doświadczenie jego jest ciasne i prostolinijne, sposób wyrażania się nie zna przenośni; prowadzić dusze do raju — myślał tak, jak pisał, w znaczeniu, jakie tym słowom nadaje kościół — gdyby tego potrafił dokazać, byłby rozgrzeszony od wszelkiego grzechu. Gorączka złota, która opętała wówczas Europę, była morową zarazą ducha, dogorywające stulecie przekazywało ją rodzącemu się, nie było duszy nietkniętej, i gdyby pisarz jaki podjął się przedstawić prawdziwą, z fałszującej mgły awanturniczości uwolnioną, historję następców Kolumba — ludzkość wzдрыgnęłaby się ze zgrozy.

W celu uregulowania spraw indyjskich powołano do życia specjalny urząd, na którego czele stanął Colón w randze admirała, wicekróla i gubernatora. Tak było nominalnie; w rzeczy samej rządził w nim archidjakon Sewilli, Juan de Fonseca, radca tajny króla, wyjątkowo kuty

dworak, który się lepiej znał na okrętach, armatach i prochu, niż na ewangelji i brewiarzu. Stanowczy ten i czynny dostojnik nadał roz-wlekłej hiszpańskiej pracy państwowej niezna-ne dotychczas tempo. Nie sprzyjał Kolumbowi; owszem, zazdrościł mu, żywił doń nienawiść, starał się jak mógł paraliżować, pokrzyżować jego działalność, obniżyć zasługi. Z początku robił to cichaczem i pokryjому. Wszak zdrowy rozsądek zaleca okazywać życzliwość i torować drogę człowiekowi, który stanął w tak oślepiającym blasku chwały. Więc z początku wydaje surowe rozporządzenia w sprawie dostawy, kupna i dzierżawienia okrętów, broni i żywności. Do tych czynności powołano specjalnych urzędników, którzy mieli je uskuteczniać po zwykłych, t. zn. dowolnie określanych, cenach. Mieli oni również prawo zakładać, aresztować, licytować majątki i towary wraz z wszelkimi «incydencjami, dependen-cjami, annexidatami i connexidatami». Handla-rzom zboża w Sewilli i Kadyksie nakazano dostar-czyć czterysta korców zboża, zaś alkad Malagi miał dać do użytku armady pięćdziesiąt pancerzy, pięćdziesiąt strzelb i takąż ilość kusz. Zabawnie głupi był zakaz, wedle którego żaden okręt i żadna osoba, bez różnicy stanu, nie miała prawa bez pozwolenia króla, admirała czy archidjakona, udać się w podróż do nowoodkrytych krajów, przyczem inowiercom w żadnym razie nie wolno było udzielić tego pozwolenia. Nad wszystkim górowały interesy ducha. To też prośba admirała,

aby mu udzielono czynnej pomocy w nawracaniu i pouczeniu Indjosów, miłościwie została wysłuchana przez parę królewską. Wybrano dwunastu mnichów, którzy mieli wielkie zasługi w dziele wygnania Żydów i Muzułmanów i niejednego heretyka na stos zawiedli; uznano, że są godni przywieść niewiernych na łono kościoła. Na czele ich stał Bernardo Buyl, zakonnik z klasztoru bernardyńskiego Monserratu, mianowany przez papieża apostolskim wikarym Nowych Indyj.

Towarzyszili mu: górnicy, cieśle, rolnicy, murarze, ślusarze, krawcy, szewcy, tkacze, ogółem ponad tysiąc zaciężnych rzemieślników. Do ochrony spokojnych osadników potrzebne było wyszkolone wojsko; włócznicy z Grenady, w liczbie dwudziestu zasłużyli sobie na długą pamięć, jako że w ciągu krótkiego czasu stali się krwawym postrachem Indjosów. Sporo szlachty garnęło się do tak piękne rokującej zyski wyprawy, a w liczbie ich był wielkoduszny Alonso Ojeda, rycerz bez skazy, młody, bogato wyposażony w zdolności, bardzo możny, którego głośne czyny uczyniły bożyszczem, marzącej o wielkości młodzieży. Z rodu Pinzonów w tej wyprawie już nikt nie brał udziału. Marcin Alonso umarł w kilka dni po powrocie; bardzo wrażliwi historycy twierdzą, że zgryzoty skróciły mu życie: Kolumb oskarżył go przed królową o nieposłuszeństwo, Pinzon poprosił, aby pozwolono mu zdać sprawę ze swego postępowania i usprawiedliwić się

osobiście, na co odpowiedziano mu ze dworu, że wolno mu stanąć przed obliczem królewskim jedynie w świetle admirała, jako że jest jego podwładnym i nikim więcej. Rekuza tak mocno dotknęła Pinzona, że niedługo potem zmarł. Trzeba przyznać, że wersja ta jest prawdopodobna, i tego rodzaju manewr — odłożenie odwetu na chwilę bardziej stosowną i pewniejszą — odpowiada w zupełności ponuremu i mściwemu usposobieniu Kolumba.

23 września flota Kolumba, w najwyższym stopniu źle wyćwiczone zbiorowisko okrętów i ludzi, opuściło port Kadyksu. 3 października, po czterodniowej podróży wyminęła wyspy Dominica i Guadelupe, ale dopiero w dwa tygodnie później dotarła do Espanoli i zawinęła do przystani w La Navidad, gdzie przed wyjazdem Kolumb założył osadę dla Hiszpanów pozostawionych na nowoodkrytym lądzie.

Admirał dał na powitanie salwę armatnią. Nic, żadnej odpowiedzi z wybrzeża. Powitanie pozostało nieodwzajemnione, głucha cisza, nie widać sygnałów świetlnych. Złowrogie przeczucie tknęło Kolumba. Nazajutrz pojawili się wysłańcy kacyka, przynieśli dar powitalny — dwie złote maski, złożyli u stóp admirała, poczem oddalili się. Wieczorem znowu przyszli posłowie Guacamarięgo, pozostali wszakże na wybrzeżu i z przygnębionymi minami oświadczyli, że nim wejdą na pokład, chcieliby pomówić z admirałem. — Słu-

sznie — odpowiedziano — admirał jest tam, stoi na mostku kapitańskim. — Wierzymy — rzekli Indjosi naiwnie — bardzo być może, ale musicie go oświecić, abyśmy go poznali. Co gdy uskutecznilo, poznali Kolumba. Ociągając się, weszli na pokład i stanęli nieśmiało i milcząco w półmroku. — Gdzie jest wasz wódz? — pytają ich. — Czemu nie przyszedł, przecie jest naszym przyjacielem? — Chory — brzmi odpowiedź. — Jakto chory? — Tak, niezupełnie chory, ale przyjść nie może, ma zranioną nogę. — Powiedzieli to jednak w taki sposób, takim tonem, jakgdyby się czegoś lękali i mieli nieczyste sumienia — spoglądali tylko po sobie i żaden nie chciał zacząć. — Ale gdzie są nasi rodacy? — badali surowo Hiszpanie. — Czemu jest tak cicho na wybrzeżu? Gdzie się podziiali? Czy nie dali wam żadnego polecenia? Czy kacyk nie miał o nich nic do doniesienia? — Gdy ich tak przyparto do muru, opowiedzieli wreszcie bajeczkę, na pewno przedtem wyuczoną na pamięć — o kłamliwości świadczyła bodaj łatwość tej paplaniny. Że więc wrogie plemię z Południa wylądowało na wyspie, napadło na siolo, rozgromiło hiszpańskich kolonistów, z których tylko część zdołała się uratować. Guacamari został zraniony w udo, i dlatego właśnie ku najwyższemu ubolewaniu nie może osobiście okazać admirałowi należnych mu honorów.

Było to podejrzanе i niepokojące. Jeżeli garstka osadników ocalała, to czemu się nie pokazuje?

Wypadałoby przecie sądzić, że z najwyższą niecierpliwością wypatrywali powrotu rodaków. Nazajutrz wysłano na ląd dziesięciu-dwunastu marynarzy i kilku hidalgów — prowadził ich jeden z uczestników pierwszej wyprawy, orjentujący się w terenie. Z dawnego mieszkania Guacamariego została jeno kupa popiołu, wszystkie chaty dookoła były uszkodzone. Nieco dalej natknięto się na doszczętnie zburzoną strażnicę, która służyła osadnikom za mieszkanie, a nieopodal na fortecę, i na powyrywane pale. Śród zwęglonych gruzów natrafiono na ludzkie zwłoki. W wyniku dalszych poszukiwań znaleziono ukryte śród zagajników i w trawie, a następnie i w chatach Indjosów, rozmaite przedmioty, będące własnością zamordowanych — nie ulegało bowiem wątpliwości, że z nieszczęśliwych osiemdziesięciu trzech kolonistów nikt nie ocalał, że wycięto ich co do nogi. Niepodobna jednak było dociec prawdy, ponieważ Indjosi upierali się stanowczo przy bajeczce o najeździe obcego plemienia. Wkońcu admirał postanowił osobiście odwiedzić wrzekomo rannego Guacamariego i zażądać sprawozdania. Trudno zrozumieć, czemu tak długo z tem zwlekał, z jakiego właściwie względu? Prawda, wiemy coś o tem: wszelkie nieprzyjemne sprawy, wszystko, co wymaga rozstrzygnięcia, admirał zwykł odkładać na później, odczuwał bezgraniczny lęk przed decyzjami nieodwołalnymi. Zabiera tedy ze sobą chirurga, jak również przydzielonego do okrętu ad-

miralskiego lekarza Chanca, któremu zawdzięczamy dosyć dokładną relację z tej drugiej podróży — relację sumienną i oschłą, świadczącą skądinąd o dużem wykształceniu swego autora. Udają się więc do kacyka, następuje długi ceremonjał powitalny, kacyk leży nieruchomo i od czasu do czasu stroi lekki grymas, jakgdyby tłumiał ostry ból. Lekarz na żądanie admirała zdejmuję kacykowi przepaskę z uda: ani śladu zranienia.

— Nie masz żadnej rany — oświadcza lekarz — jesteś równie zdrow jak i my wszyscy.— Wódz z zagadkowym uśmiechem potrząsa głową, jakgdyby obcy przybysz nie był w stanie tego pojąć, znachorzy intonując żalosne wycie. Rzecz dziwna, Kolumb nie wie, co począć: nie ulega wątpliwości, że odgrywają przed nim podstępną komedję, ale admirał nie śmie wyciągnąć z tego konsekwencji: — a nuż zbrodnia była dokonana w porozumieniu z innemi plemionami? Nie można się przecie narażać całemu obcemu krajowi. Oto czemu wołał narazie zataić prawdę o zbrodni. Bo gdyby ją potwierdził, cóżby o nim pomyśleli ci hidalgowie, którym od tygodni i miesięcy prawili o łagodności i niewinności dzikich? Uważaliby go za oszusta, albo wystawili na kpiny. Udaje więc, że uwierzył, potakuje tajemniczemu cierpieniu kacyka, rozmawia z nim w cztery oczy, proponuje, aby spróbował trochę pochodzić, pomaga mu się unieść, podaje ramię, rozmawia z nim łagodnie

jak z synem i wkońcu zaprasza go na okręt. Przeciwstawia więc tej komedji własną, a czyni to w tym celu, aby ostrzec kacyka, pokazać mu, że nie jest tak bezbronnym jak za pierwszym pobytem, że posiada środki obrony, o których wówczas nie można było dać żadnego pojęcia. Urządza więc przegląd — pierwsza rzecz, którą Kolumb prezentuje swemu gościowi to pięćdziesiąt koni, przewiezionych przez ocean. Niewysłowny podziw tego dziecka natury: Guacamari trzęsie się cały, pot występuje na czoło z przerażenia; nigdy nie widział takich potworów, to wykracza poza granice jego świata, nic podobnego nie mogło mu się nawet przyśnić. Cel został osiągnięty. Jeśli nawet żywił jakie złe zamiary, bodaj w myśli, to musiał go ostatecznie rozbroić i ugłaskać ten widok: wywarł na nim i na jego otoczeniu takie wrażenie, jakie mybysmy dziś odnieśli, znalazłszy się nagle wśród stada atlantozaurów (a może nawet większe, bo my przynajmniej wiemy ze szkoły o istnieniu tych przedhistorycznych potworów).

Tego samego dnia Guacamari wieczerał u admirała; jak zapewniają relacje, zachowywał się tak przyjaźnie, z taką prostotą, że Kolumb ostatecznie przestał go posądzać o udział w wymordowaniu osiemdziesięciu trzech osadników. Miał pono wykrzyknąć, że do tego stopnia udawać niktby nie potrafił. Lecz oto zdarzyło się nocy następnej, że dziesięć kobiet indjańskich, które Kolumb zabrał ze sobą z wyspy Korybji («za-

brał ze sobą»—tak stwierdza relacja, w rzeczy samej jest to łagodniejsze określenie wyrazu «porwał») zbiegły z okrętu i, zmyliwszy czujność straży, dopłynęły do brzegu. Okazało się, że Guacamari wziął je w opiekę, co więcej, to on je namówił do ucieczki. Admiral wysłał kilku ludzi na ląd, żeby sprowadzili je zpowrotem — ale ci już tylko stwierdzili, że kacyk wraz ze wszystkimi poddanymi, z całym dobytkiem opuścił wioskę i wywędrował w głąb wyspy. Czy trzeba bardziej oczywistego dowodu winy?

Opisane wydarzenie, charakteryzujące Indjósów, jak również krótkowzroczność pierwszych zdobywców europejskich w stosunkach z Indjosi, było początkiem fatalnego procesu historycznego, który ostatecznie zakończył się krwawym wyćpieniem całej rasy.

O pierwszej wizycie u Guacamariego czytamy w sprawozdaniu doktora Chanca: «Zastaliśmy go w hamaku, który wedle zwyczaju tamtejszego zawiesza się na dworze; jest to tkanina z nitek bawełnianych, wiązanych w siatkę. (Nawiasem mówiąc: słowo «hamak» jest wypaczeniem indjańskiego «hanamaku», podobnie jak «orkan» wywodzi się z indjańskiego «huraganu»). Badany w sprawie śmierci naszych rodaków, powtórzył tylko to, co jużśmy wiedzieli, poczem podarował admirałowi osiem i pół miarki najczystsze go złota, pięćset czy sześćset kolorowych kamieni i czapkę, temż kamieniami wy-

sadzaną. Zaczem, nie podnosząc się, wyraził ubolewanie z powodu śmierci chrześcijan i przełamał wiele łez, zarówno on sam — jak i czeladź jego i krewni».

Kondolencje, lzy, szlochanie, podobnie jak swego czasu przy katastrofie Santa Marii; a więc te zachwalane «niewinne istoty» to jeno wytrawni obłudnicy? Tak musieli zaopiniować europejczycy, świadkowie tych wydarzeń, tak myśleli później, tak i dziśby mniemali. Wszakże co innego wchodzi tu w grę, coś, co nie ma nic wspólnego z normatywną moralnością: pradawny rytuał indjański, o którym, o ile mi wiadomo, po raz pierwszy wspomina w piętnastym stuleciu Cabeça de Vaca w dziele podróżniczym, opisującym bardzo ciekawe przeżycia autora wśród narodów Florydy i Teksasu. A dopiero współcześni badacze niemieccy dopatrzili się w tym płaczliwym ceremoniale obrządku religijnego.

Kolumb i jego towarzysze oczywiście wyciągali najprymitywniejsze wnioski. Badali obcy świat z wyniosłym subiektywizmem, i nawskroś obce sobie życie mierzyli na własne pojęcia celowości i zwykłego użytkowania rzeczy. Co się nie dawało wtłoczyć w te ciasne pojęcia, to uchodziło w ich mniemaniu za zuchwałstwo i zwyrodnienie. Bardzo rzadkie były wypadki sprawiedliwego osądu, a już prawie zupełnie obca im była tolerancja i chęć zrozumienia — jedyna bowiem dążność ich nietylko obywatela się bez zmysłu i zaciekawienia dla wewnętrznej

prawowitości inaczej kształtowanego światopoglądu, ale właśnie wzięła sobie za cel jego zniewolenie: nawrócenie na wiarę chrześcijańską. Ale nie byłaby to jeszcze rzecz najgorsza. Najgorsza, że od pierwszego wejrzenia uznali te stworzenia za swoją własność i łup i obchodzili się z nimi, jak myśliwy z bezpańską zwierzyną. Dając to porównanie, jednocześnie potrząsam nad nim głową—widzę, że jest zbyt słabe: zwierzynę przeważnie ochrania się przed ostateczną zagładą—jest pożyteczna i potrzebna, i dba się właśnie o to, aby się rozmnażała, ale komu są potrzebni ludzie?

Kolumb, który wmówił w siebie, że znalazł w osobach Indjosów niejako naród idealny, powołany, jego zdaniem, do zrehabilitowania zapomnianych i zatraconych cnót, jakże gorzkiego musiał doznać zawodu, kiedy z nieprzepartą oczywistością wyszło na jaw, że te istoty tak przezeń idealizowane są sprawcami masowej, podstępnej rzezi. I jeśli nawet rozgłaszał ich chwałę w celu propagandy, to przecież ledwo był tego celu świadom. Nie umiał zmieniać zdania z godziny na godzinę; nie umiał kapitulować przed faktem; i w ten sposób powziął myśl, która odrazu przyszła do głowy każdemu zwykłemu człowiekowi, ale jemu mogła się nasunąć dopiero drogą skomplikowanego wyvodu: że zamordowani nie byli całkiem bez winy w tej klęsce, którą los im zgotował. Przepyszne odkrycie. Od chwili, gdy zaczął osądzać rzeczy z tego

punktu widzenia, poczęły się mnożyć poszlaki — sprawiedliwość wymagałaby oficjalnego ustalenia prawdziwego stanu rzeczy. Na to się Kolumb nie zdobył; wolał pokryć to milczeniem. Zbyt niemiło, zbyt przykro było wyznać wobec pobożnego świata hiszpańskiego, co się wywiązało między chrześcijańskimi panami świata a ciemnymi poganami; najwyżej można się czegoś domyślić z paru nikłych aluzyj. Tę politykę uprawiali również wszyscy towarzysze jako też następcy Kolumba, z wyjątkiem żarliwego przyjaciela Indjosów, księdza Las Casas.

Ponieważ był to wypadek typowy, więc i bez szczególnej przenikliwości można ustalić fakty, które doprowadziły do wytępienia osiemdziesięciu trzech osadników. Wszystko jest tak wyraźne, jakgdyby widoczne w lustrze. Garstka lotrów, pozbawiona karności, wszelkich uczuć ludzkich, wszelkiego hamulca społecznego; odrazu, od pierwszego dnia występują jako ci, co mają prawo żądać — zuchwale i urągliwie. Domagają się żywności, żądają posług, pragną wygod. Nie znajdując ślepego posłuchu, stosują przemoc. Czemże są dla nich ci Indjosi? Zwierzętami, dobrodusznem, głupiem byłem — wobec nich można sobie na wszystko pozwolić, choćby z tego względu, że nie są chrześcijanami. Można nimi pomiatać, skoro pozwalają. Kłaniają się, uśmiechają, zdają się nie żywić urazy. Nie trzeba się nawet przed nimi chępić pochodzeniem, religią, uzbrojeniem — ufni jak dzieci,

pokornie i bez zastrzeżeń uznają tę wyższość. Synowie niebios są bez zmyły. I oto ci synowie niebios domagają się haraczu za swoją wyższość. Pozostawiono ich na niepewny los, w strasliwym oddaleniu od ojczyzny; niepewny jest powrót admirała, zresztą sam admirał jest niepewnym człowiekiem, niechże więc wzgardzeni dzikusy powetują im udrękę oczekiwania i osamotnienia za bezbrzeżnym oceanem. Zaś ceną, której pragną, jest złoto. O ile pod względem rozumienia mieszkańców tego kraju i jego warunków naturalnych, byli to ludzie pozbawieni wszelkiej wyobraźni, o tyle wobec możliwości z bogacenia się fantazja ich nie zna miary. Tak ich wychował wódz ich, Kolumb—jedyna to dziedzina, w której mu ufają, w której jest dla nich wzorem. Każdy gest, każde spojrzenie domaga się złota, każde słowo i czyn to tylko ma na celu. Nadomiar zczasem zaczyna się dawać we znaki fizyczna niedogodność, i ona to nabrzmiewa w katastrofę i gotuje im zagładę. Przybyli tu bez kobiet. Ale wcale nie zamierzają żyć jak świętobliwi zakonnicy. Nie mają też ochoty w godziwy sposób rozpocząć konkurów, starać się, układać.—Zabardzoby się we własnych oczach zniżyli. Przemocą, bez zbytecznego gadania zdobywa się przedmiot pragnienia; djabłaby się kto tam kłopotał o pretensje i żale. I pocóż oszczędzać tych dzikusów, skoro nie są lepsi od zwykłego bydła—powinni być wdzięczni, że śliczne ich kobiety dostępują takiego zaszczytu:

działa łoże z europejczykami i katolickimi chrześcijanami, cóż z tego że zbiegłymi z galer. Co było zrazu tylko pojedynczem nadużyciem, potajemnym występkiem, staje się z biegiem czasu pospolitą zbrodnią, uprawianą w biały dzień. Nikt się nie obawia, aby ci Indjosi, którzy mimo doznawanych krzywd kłaniają się tak grzecznie i tak przyjaźnie odpowiadają, mogli się naserjować. Ale następuje to, czego się nikt nie spodziewał. Miara jest przepelniona. Guacamari i jego poddani tracą anielską cierpliwość, której hiszpańscy łajdacy bez skrupułu nadużywają. Jest ich tysiące przeciwko kilku tuzinom, wynik walki jest zgóry przesądzony; zaś tępiąc obcych awanturników, nie wymierzają zemsty, nawet nie biorą na nich odwetu, poprostu czynią nad nimi zasłużony sąd.

Dziwić się tylko można, że nie odpowiadają za to jawnie. Ale jest rzeczą możliwą, a nawet wielce prawdopodobną, że czyn ów, który w tych warunkach był jedyną deską ratunku, po dokonaniu wydał się niesłychanem zuchwalstwem: zabili synów bożych. Mimo wszystkich doznanych krzywd, nie mogli znaleźć dla siebie żadnego usprawiedliwienia, ani spodziewać się przebaczenia; niepokój, z jakim wypatrywali innych niebian, admirała z jego białoskrzydłą słoneczną flotą, burzył do dna ich myśli i marzenia; ale nie możemy o tem nic sądzić—brak nam po temu wszelkiego pojęcia, a nawet wyuczucia.

Żaden ówczesny historjograf czy kronikarz nie zadał sobie trudu, aby uczciwie i bez upiększeń przedstawić fatalne początki osadnictwa amerykańskiego, wszyscy zbywali je paroma nieznaczającemi frazesami. Jakgdyby do nieuniknionych, chociaż pożałowania godnych, konsekwencyj odkrycia nowych krajów należało również uznanie obcej własności za bezpańską, poddanie dorosłych mężczyzn i młodzieży niewoli, niewolenie kobiet zamężnych, hańbienie dziewczyc, i mordowanie z zimną krwią każdego, kto dobrowolnie nie ulega.

Antonio de Ojeda i Diego de Nicuessa, otrzymawszy w 1509 roku w «prezencie» od króla Ferdynanda ląd Daryjski, którym mieli zarządzać jako gubernatorzy — wydali do krajowców manifest, sporządzony przez najznakomitszych hiszpańskich prawników i teologów, a następnie przy wszystkich zaborach uchodzący za akt prawny. Manifest ten jest zanadto charakterystyczny i zbyt wiele wyjaśnia, aby go tu pominąć milczeniem. Zważywszy, że zwracał się do krajowców w języku, którego nie rozumieli, że nie uważano nawet za stosowne przetłumaczyć go na ich język — trzeba stwierdzić, iż chodziło właśnie o zwykły gwałt zaledwie maskowany świstkiem papieru, pełnym scholastycznych przemyślności. Niema tu mowy o formie prawnej, a co za nią uchodziło, było szyderstwem i naigrywaniem się z prawa.

Dokument ów rozpoczyna się od Adama i Ewy, od których wszyscy ludzie się wywodzą, a następnie ustala, że Bóg mianował człowieka, imieniem Święty Piotr, panem i wodzem całego rodu ludzkiego: albowiem w ciągu pięciu tysięcy lat, ludzkość rozszczepiła się z pokolenia na pokolenie na tyle królestw i prowincyj, że jeden kraj nie mógłby jej ani pomieścić ani wyżywić, a przecież bez najwyższej jurysdykcji nie byłoby możliwe żadne błogosławieństwo. Temu to namiestnikowi — tak zapewniano nieświadomych krajowców—Bóg dał moc roztoczenia swej władzy nad wszystkimi częściami świata i panowania nad chrześcijanami, Maurami, Żydami i poganami. Nosi on miano papieża, to znaczy cudownie wielkiego ojca i nauczyciela. «Obecnie panujący papież»—cytuję teraz dosłownie—«powierzył ten kraj oceaniczny ze wszystkim, co do niego należy, Jego Katolickiej Mości Królowi Hernando, jak to przeczytać można w aktach, które są do przejrzenia na każde żądanie. Jego Królewska Mość jest zatem na mocy tego przelewu królem i panem waszego kraju. Jesteście Mu winni posłuszeństwo, zatem proszę was i rozkazuję zastanowić się nad tem wszystkim dokładnie, abyście uznali Kościół za suzerena i wodza świata, jak również Świętego Piotra, mieniącego się papieżem, i Jego Królewską Mość za króla, abyście się zgodzili dać posłuch świętobliwym ojcom, których papież do was wysyła, i abyście się nawrócili na świętą naszą wiarę. Czyniąc temu

zadość, postąpicie słusznie i spełnicie swoją powinność. A wtedy i Jego Królewska Mość i My przyjmiemy was z miłością i dobrocią i pozostawimy was, wasze kobiety i dzieci w wolności osobistej, w posiadaniu mienia waszego, z którego będziecie mogli korzystać. Jeśli jednak zaczniecie się wzbraniać albo złośliwie przeciwstawiać moim upomnieniom, wówczas z rozkazu Boga Wszechmogącego pójdę na was przemocą i wydam wam najokrutniejszą wojnę. Poddam was pod jarzmo Kościoła i króla, zabiorę wam wasze kobiety i dzieci, obejdę się z wami jak królowi będzie miło. Wywłaszczę was z waszego mienia i zgotuję wam wszelkie klęski, jakie będą w mojej mocy, aby was ukarać jako buntowniczych poddanych, odmawiających posłuszeństwa swemu prawowitemu panu. Oświadczam zgóry, że wszelka krew przelana i wszelkie nieszczęście, wynikłe z waszego nieposłuszeństwa, spadnie na was i nie obciąży ani Jego Królewskiej Mości, ani mnie, ani tych, którzy mi służą. W tym celu podaje się wam niniejsze do wiadomości, co też, jak prawo tego wymaga, potwierdza obecny przy tym akcie notariusz».

Sądzę, że trudno byłoby w rocznikach historii znaleźć dokument, będący równie doskonalem połączeniem bezdennego zakłamania z wymusicielską szczerością. Poszukiwanie analogji zakończyć można niewątpliwie niedorzecznem przypuszczeniem, że nic podobnego nie zdarzyło się nawet wówczas, gdy hordy Mongołów zalały Europę,

albo gdy rzymskie legiony wkraczały do Galji. Żadna inna religja, żaden inny system nie przystępował do obcego wierzenia i do obcych form z taką pychą, z taką kamienną nietolerancją, jak hiszpańsko-katolickie chrześcijaństwo.

Nie będąc uzbrojonym w odwagę i rezygnację, nie pozna się przeszłości rodu ludzkiego taką, jaką jest: nieprzerwanym łańcuchem bezprawia, krzywd, kradzieży, gwałtów i morderstw. Dzieli nas od opisywanych faktów zaledwie czterysta i kilka lat. Ale szczerze mówiąc, wyobrażam sobie łatwo umysł, który z westchnieniem stwierdzi, że z małemi odchyleniami mogło się to wszystko dzieć bodaj dnia wczorajszego.

Ale jaka była rola Kolumba w tej sprawie: czy niewola Indjosów odpowiadała jego własnym chęciom, czy też pod przymusem faktów zgodził się ją tolerować, rozwijać i sprzyjać jej? Czy był to od początku dobrze obmyślony zamiar, czy może plan ten powstał w mózgach spekulantów i eksploatatorów, którzy prowadzili Kolumba na pasku? Nie można na to odpowiedzieć ani twierdząco ani przecząco, na przeszkodzie stoi złożoność jego charakteru, w którą im bardziej usiłujesz się zagłębić, tem istotniej staje się niezgłębiona. Kiedy patrzę nań jako na wyolbrzymionego historycznego Don Kichota, jako, rzecz można, na pra-Don Kichota, to właśnie jego romantyczne mniemanie o Indjosach pasuje go na rycerza Smutnego Oblicza; tragicznie-groteskowa scena, kiedy przenikliwy rycerz w wojowniczym zapale

najeżdża na stado skopów i wśród wystraszonych zwierząt urządza krwawe wysieki, jest również centralnym symbolem dla Don Kichota oceanu. Nie wiedział, gdzie go zanosí, i przeciw komu walczy. Nie wiedział, nie rozumiał. A gdy wreszcie zrozumiał, zapadł na zawsze w ową nieuleczalną melancholię, która stale czatowała nań niby choroba śmiertelna.

Przekonawszy się, iż założenie La Navidadu było błędem ze względu na błotnisty klimat i kiepskie przystanie, zaczął szukać dogodniejszego miejsca do lądowań, któreby zarazem było bliższe domniemanych kopalni złota. Wybrał obficie zarybioną zatokę Monte Christo i tam w grudniu 1493 zaczął budować pierwsze miasto hiszpańskie w Nowym Świecie, nazwawszy je imieniem królowej Izabelli—ruiny tego grodu są jeszcze dziś widoczne. Indjosi tamtejsi, zwłaszcza kobiety, gościnni i skorzy do usług, jak wszędzie przy pierwszym spotkaniu, przynieśli z urodzajnych wiosek nadmiar żywności, między innymi korzenie «yam», które europejczycy rychło zaczęli sobie wielce cenić. Ważniejszą była niepotwierdzona zresztą wiadomość o bliskości kopalni złota, powiadano, że odległość wynosi zaledwie sto czterdzieści kilometrów, że znajdują się one na terenach wodza Caonabo, tego właśnie, który wojował z plemionami nadbrzeżnymi, i wedle twierdzenia Guacamariego i jego poddanych, wyciął w pień osadników z La Navidadu. Admirał

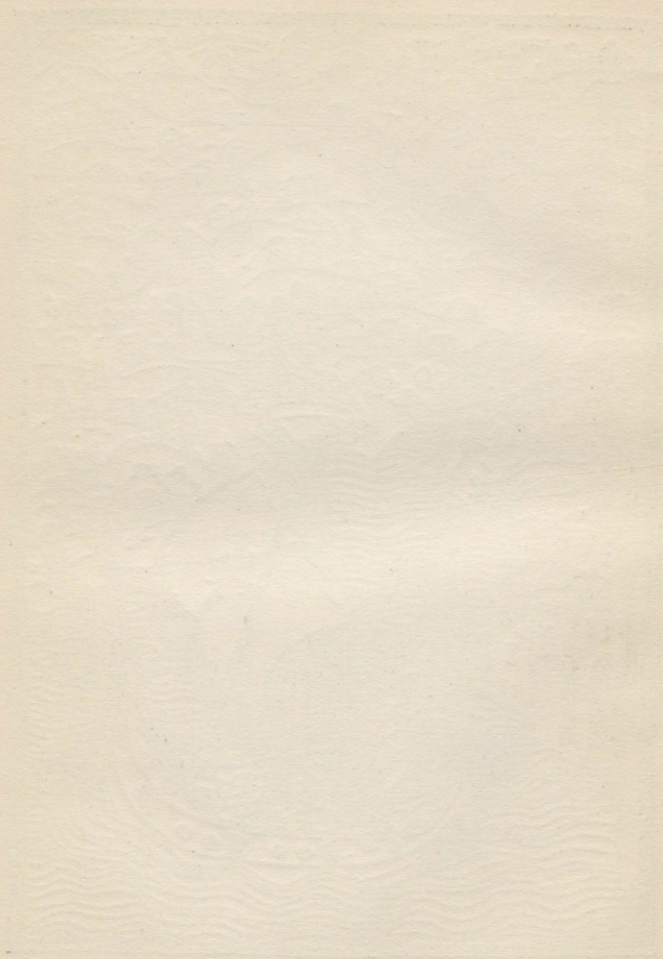
wysłał ekspedycję we wskazanym kierunku; wywiadowcy wrócili bardzo podnieceni, przysięgali, że na własne oczy widzieli złoto połyskujące w rzekach i dolinach, i że są tam pono i góry ze szczerego złota. Kolumb postanowił przekonać się osobiście o wiarogodności tych doniesień i ze zbrojną asystą udał się w głąb kraju. Nie znalazł złotych gór; wszakże chcąc na wszelki wypadek zabezpieczyć sobie ich posiadanie, zbudował w okręgu Cibao port San Tomas, który następnie stał się osławioną stacją mordów.

Z końcem roku zaczęły się mnożyć przeciwności—Kolumb nie był z tych, co umieją pokonywać je spokojną ręką i zimną myślą. Dręczyło go wówczas drażniące poczucie, że los się specjalnie na niego wziął; wyjście, jakie znajdował, było zawsze problematyczne, bo podyktowane desperackim usposobieniem. Nieznana choroba poczęła się szerzyć na okrętach, była to może gorączka podzwrotnikowa, admirał sam jej uległ i skutkiem tego był obezwładniony do samego marca następnego roku. Zapasy, zabrane dla załogi i hidalgów, kurczyły się zastraszająco, a nie można było zmusić Indjosów do daniny w rozmiarach wymaganych, zaczynali się bowiem buntować, w niektórych plemionach fermentowały niebezpieczne nastroje, tu i owdzie dochodziło do wybuchów jawnej wrogości. Przy tem wszystkim ilość złota, zdobywanego drogą wymiany i wymuszeń, była o wiele mniejsza, aniżeli się spodziewano, to też nie dziw, że

leniwi caballeros, którzy z tak wybujałymi nadziejami udali się w tę podróż zamorską, teraz przeklinali swą łatwowierność, tracili otuchę, stawali się krnąbrni i pragnęli czem prędszej wrócić do Hiszpanji, gdzie nikt nie był tak bezwstydnym, aby żądać od nich pracy, rzeczywistej pracy z młotem w rękę, z rydlem i lemieszem. Uważali to za zbrodnię, popełnianą na ich honorze. A że nie umieli ocenić położenia i stanowili raczej przeszkodę w pomyślnym rozwoju osadnictwa, więc admirał nie miał nic przeciwko ich powrotowi i polecił admirałowi de Torres, kapitanowi «Marigalante», odwieźć ich do Hiszpanij na dwunastu statkach.

Memorjał, który Kolumb wręczył de Torresowi dla swoich królewskich rozkazodawców, jest z tego względu interesujący, że po raz pierwszy oficjalnie omawia zagadnienie, czy Indjosów należy uważać za niewolników — a nadto i z tego względu, że Kolumb stara się usprawiedliwić swoje postępowanie wszelkiego rodzaju chytremi klauzulami i jezuickimi wykrętami. Znowu rozwodzi się szeroko nad bogatemi łupami, które obiecuje sobie po złożach i kopalniach złota. Nie mówi o plonach, lecz o świetnych widowiskach na przyszłość. Niesposób zataić oplakanego stanu osady i uczestników wyprawy; wylicza więc powody, które stoją mu na przeszkodzie do przesłania ukochanej monarchini większych ilości złota, a więc po pierwsze liczne wypadki





zachorowań, następnie ciężkie warunki pracy w rzekach, obfitujących w złoto, brak ubitych dróg i zwierząt pociągowych; zwierzęta, przywiezione z Hiszpanji nie umieją się przystosować do nowego kraju i w straszny sposób wychudły. Zresztą tak samo ludzie; Europejczyk czuje się źle w tym kraju, o ile nie dostaje żywności, do której jest przyzwyczajony. Aby złemu zaradzić, próbował zasadzić rozmaite plantacje, lecz próby spелzły na niczem, osadnicy rychło zarzucili pracę na roli (nie śmie wyznać z jakiego to czynili powodu, obawia się, że hidalgowie zemszczą się za oskarżenie). Najbardziej spragnieni są wina. Ale przecież winiarze hiszpańscy mieli dostarczyć flocie beczek wina w tylu a tylu setkach — czyżby więc tak prędko wysuszono cały zapas? Uchowaj Boże. Beczki były dziurawe, większa część wina wyciekła w czasie przejazdu. Nawiasem mówiąc, widocznie już wówczas dostawcy wojenni znali się na interesach. Admiral wylewa wściekłość swą na nich, tu już nie musi nikogo oszczędzać, zna stosunki dworskie i zdaje sobie sprawę, że chętnie tam czynią ludzi, niżej stojących w hierarchji, kozłami ofiarnymi za wykroczenia wyżej postawionych — i w rzeczy samej na oryginale tego memorandum jest własnoręczny dopisek królowej: nakazuje ona stanowczo Juanowi de Fonseca, od niedawna mianowanemu ministrem kolonji, aby jak najprędzej ustalił, kto ponosi odpowiedzialność za oszustwo z beczkami, ukarał winnego

rekwizycją majątku i więzieniem, dopóki nie zapłacą odszkodowania.

Potrzeba mi żyta, pisze admirał, potrzebuje sucharów, słoniny, wędzonego mięsa, rodzynek, cukru, miodu, osłów i oślic. Poza tem koni, przyslijcie jak najwięcej koni, niezbędne są do walki jak i do pokojowej okupacji kraju. I tu również padłem ofiarą oszustwa. Dostawiono na okręt nie te konie, które mi uprzednio pokazano, lecz gorsze. Kto na tem zarobił?—Oczywiście Juan de Soria, ponieważ jest jego wrogiem, to on niezawodnie zamienił transport. Zaciężni rycerze, no tak, ci mają doskonały materiał koński, ale ci panowie wylegują chorzy w łózkach i żadną miarą nie użyczają swoich zwierząt. Istotnie pożałowania godny wódz, skarżący się na nieposłuszeństwo podwładnych. Ale posłuchajmy dalej, czego jeszcze żąda wicekról Nowego Świata: obuwia, skór, koszul, płótna, konfitur, pięćdziesięciu beczek syropu, stu strzelb, setki samostrzałów, stu skrzynek amunicji. A przede wszystkim ludzi; przede wszystkim pilnych, przyzwoitych ludzi, bo z tymi, których zabrał ze sobą, nie może nic począć, niezbędni są murarze, górnicy, przemysłowcy, złotnicy. Słowem, brak mu wszystkiego, albowiem w tym obcym świecie nic się nie da ująć, nic mu służyć nie może, albowiem nie zna jego zasobów i nie przeczuwa możliwości.

A może wymaganie ludzkiego materiału było jedynie zręcznym przygotowaniem terenu dla

projektu, który go najbardziej może obchodził? Poco ci przesyłać robotników — można mu było odpowiedzieć — skoro ludzi masz pod dostatkiem na miejscu, setki tysięcy masz do rozporządzenia, wyćwicz, wyszkol ich na pożyteczne instrumenty swego przedsięwzięcia. Wszakże Kolumb nie myśli wcale o cywilizatorskich zadaniach, pragnie uczynić krajowców przedmiotem handlu, mają własnymi ciałami zbożać skarbu państwowego — skoro nie dostarczają takich ilości złota, jakich się po nich spodziewano, niechże sami służą w zastępstwie złota, niechże sami służą jako zapłata. Odkrywca argumentuje jak typowy faryzeusz: «Słusznie domagają się Wasze Królewskie Mości, abyśmy Indjosów uczyli zasad naszej świętej wiary, lecz nie znamy ich języka, a przeto wysyłam wraz z senorem de Torresem gromadę mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewcząt do Hiszpanji, aby Wasze Królewskie Mości zawierzyły ich takim osobom, które udzielały im najlepszych nauk i wprawiały w różnego rodzaju roboty. Potem można ich będzie stosownie do postępów wynieść ponad innych niewolników i czynami jednych zachęcać drugich. Ponieważ z pośród wysp odkrytych najładniejsze i największe są wyspy Kanibalów, więc najwłaściwiej będzie wysłać właśnie tamtejszych Indjosów do Kastylji, aby jak najprędzej oduczyli się barbarzyńskiego zwyczaju pożerania ludzkiego mięsa. Im prędzej nauczą się języka hiszpańskiego, tem rychlej można ich będzie ochrzcić, tem rychlej

nastąpi, tem bardziej przyspieszy się zbawienie ich dusz».

Tu trzeba wtrącić dygresję. Zarzut kanibalizmu (słowo, będące zresztą również spaceniem indjańskiej nazwy wyspy Kariby) w odniesieniu do zachodnio-indyjskiego archipelagu jest po prostu wyssany z palca. Skądinąd jest również rzeczą niepewną i z wielu stron kwestjonowaną, czy zwyczaj ten istniał w głębi Ameryki Środkowej. Krwawe ofiary składane w celach religijnych przybierały u Azteków charakter mistyczno-erotycznych, krwawych orgji, i formy tak przerażająco okrutne, że mogły łatwo w zapalnej wyobraźni pierwszych zdobywców zrodzić straszliwe wyobrażenie ludożerstwa.

Można prawie z pewnością twierdzić, że Kolumb nie miał innych dowodów poza zwykłą pogłoską i ustnemi podaniami. Nie trzeba wcale badać, czy wierzył sam w to oskarżenie czy nie; a z pewnością też niebardzo się tego domyślał, że pod względem moralnym nieistotna to różnica, czy się ludzkim mięsem handluje czy się niem odżywia. Jego po chłopsku przebiegłe intencje zmierzały ku jednemu: muszę przedstawić Indjosów jako niewinnie-bezbożne i niewinnie-bezeczne istoty, a wówczas propozycje moje, zmierzające do obrócenia ich w niewolników, będą mi poczytane za moralną zasługę, a w każdym razie za środek wychowawczy. Iście europejska obłuda: handlowe intencje, opłatane płochemi frazesami o humanitaryzmie i postępie.

Dalsze jego wywody pod względem wyrazistości nie pozostawiają nic do życzenia: «Dla zbawienia duszy tutejszych mieszkańców, tak nam wpadło na myśl, lepiej będzie, jeśli się ich jak najdalej wywiezie. Mogłoby to być zarazem z korzyścią dla Waszych Królewskich Mości a to w sposób następujący. Ponieważ daje się nam mocno we znaki brak bydła i zwierząt jucznych, więc można byłoby zarządzić, aby corocznie wyprawiano do nas pewną ilość okrętów z bydłem, za które odbiorcy będą płacić indjańskimi niewolnikami po cenach godziwych. Są wprawdzie dzicy, ale zato zręczni, mądrzy i dobrze zbudowani i na pewno okażą się bardziej przydatni od innych niewolników. W tak znacznem oddaleniu od ojczyzny odzwyczajają się od swoich okrucieństw. Można ich będzie zasadzić do wiosłowania na galerach, doskonale się na tem znają, a Wasze Królewskie Mości będą ściągać z nich cło wwozowe».

Brzmi to bardzo współcześnie, admirał był niewątpliwie bardzo zdolnym finansistą. Umiał rachować, zaś dbał o to, aby wycisnąć z kolonii jaknajwiększy profit dla ojczyzny.

Być może ten właśnie pozór zdolności spekulatorskich skłonił niektórych nowszych historyków hiszpańskich do twierdzenia, że Kolumb był z pochodzenia Żydem. Aby twierdzenie to nie miało pozorów gołosłownego przypuszczenia, oparli się na źródłach średniowiecznych, o tyle

niedostępnych, że nie można poddać badaniu stopnia ich wiarygodności. Lecz niektórzy wyciągają ten wniosek jedynie z ogólnego wrażenia, przysięgając trudno ustalić, jaka tendencja nimi powoduje, wroga czy sympatyzująca. Zrazu hipoteza ta działa olśniewająco, to prawda, oświecła pewną stronę tego człowieka, która dotąd była w mroku. Chodzi o to, że wiele jest w tym Cristobalu Colónie z renegata, że posiada wiele cech gorliwego odstępcy, który bojaźliwie stara się utaić swoją dotychczasową drogę życiową. Jest to wciąż nawróceniec, który przekracza wszelkie granice dobrego smaku, rozsądku i przyzwoitości zarówno swoją postawą, obliczoną na nieufne oczy, jak i żarliwością, z jaką musi — tak mu się wydaje — oszukiwać siebie i otoczenie. I jeśli zbliżymy się bardzo blisko badać duszę tego odkrywcy świata, to wietrzy się zdradę, co prawda nie dającą się określić odmianą zdrady — czuje się zdrajcę, co prawda takiego, którego los wywyższył do niedosiężnych czynów właśnie przez to, że uczynił go zdrajcą. Żydowską, w dobrem i złem znaczeniu tego słowa, jest pewnego rodzaju miękkość charakteru Kolumba; żydowską jest szczególna bojaźliwość wobec dalekoidącej odpowiedzialności, wywodząca się z pradawnego lęku przed rzeczami nieodwołalnymi, zgóry postanowionymi. Ale nie jest żydowski jego rzucający się w oczy brak inteligencji i zdolności praktycznych. Zaś przede wszystkim wszelka odmiana donkichotyizmu, samooczarowanie drogą

niewolenia rzeczywistości jest jak najbardziej obce istocie żydostwa.

Monarchowie hiszpańscy, trzeba im to przyznać, nie pochwalali propozycji admirała. Notatka na marginesie zleca «narazie odłożyć, dopóki nie wpłynie inny projekt». Sądzić wypada, że to chyba królowa przeciwstawia się koncepcjowanemu przez państwo handlowi ludźmi, jakkolwiek interes ów przedstawia się korzystnie. Lecz w tego rodzaju wypadkach automatyzm faktów jest silniejszy nawet od skrupułów absolutnej monarchii. Kolumb, osaczany przez powszechną żądzę złota, doprowadzoną do szalu, wpadł na sposób doraźnego zaspokojenia niecierpliwości: zapomocą dostarczania taniej siły roboczej. Gdy Antonio de Torres wrócił do Espanoli z czterema karawelami, admirał kazał sprowadzić na pokład pięciuset Indjosów obojga płci — uznani za buntowników, zostali wysłani do Hiszpanji. W Sewilli przekazano ich Juano-wi de Fonseca, który następnie wystawił ich na sprzedaż i zlicytował niby zwierzęta. Złe obejście, ciężkie zniewagi, odmienny klimat, nowy i hańbiący tryb życia — wszystko to spowodowało, że w krótkim czasie wszyscy wymarli. Nie odezwał się wówczas żaden głos ludzki, żaden protest, z tej pierwszej próby zrobiono trwałą zwyczaj, i oto Adelantato Bartolomé, energiczny i politycznie uzdolniony brat admirała, zaczął wysyłać do Hiszpanji okręt za okrętem

nabity indjańskimi niewolnikami. Była to najzupełniej bezcelowa i bezsensowna deportacja, albowiem wszystkie te stworzenia ginęły w podobnie nędzny sposób co i tamci, którzy ich poprzędzili.

Wyspa Espanola, według przybliżonego obliczenia z czasu odkrycia, liczyła trzy i pół miliona mieszkańców. W dziesięć lat później zostało tylko trzydzieści cztery tysiące, a zatem ledwo setna część. Rzeź rozpoczęła się i odbywała na oczach Kolumba, patrzących i niewidzących. Czy bolał nad zagładą Indjosów, czy też z ponurym fatalizmem, duchowo izolowany, uważał ją za nieubłagane prawo — tego nie przeczyta się w żadnej kronice. Szukajmy prawdy w sercu tego człowieka.

ZAPIERANIE SIĘ RZECZYWISTOŚCI

Opowiadają pewien fakt, który z dobitnością paraboli wskazuje, jak to Indjosi, coraz bardziej zachwiani w swej wierze w przybyszów, starali się uzyskać pewność, że ci z nieba przybyli mężowie — wbrew pierwotnemu mniemaniu — nie są wcale nieśmiertelni. Załoga fortu San Tomas, którego komendantem Kolumb mianował szlachcica, nazwiskiem Pedro Margarite, traktowała tubylców z brutalnością, która nie uszanowała żadnych praw dziedzicznych. Brutalność stopniowo weszła w tępy, ogólny zwyczaj rozpanoszonych hord, które Hiszpanja nasyłała na Nowy Świat niby żrącą plagę. Zabierano Indjosom wszelkie złote ozdoby, ogałacano spichrze, porywano żony i córki, i najohydniejsze gwałty były na porządku dziennym. Kacyk Caonabo, panujący w Vega real — królewskiej równinie, gdzie wznosił się fort, był zdecydowanym i odważnym mężczyzną. Zgromadził wszystkich członków plemienia i zdjął z nich pęta uległości. Aby dowieść, że przybysze w żadnej mierze nie posiadają mocy nadprzyrodzonej — jak się tego lękano, że wrzekomi synowie

nieba zupełnie tak samo jak i oni poddani są śmierci, podjął na ich oczach próbę. Każdy Hiszpan, mając do przebycia bród rzeki, dzielący fort od równiny, kazał się jednemu czy paru Indjosom przenosić. Gdy któregoś dnia miejsce to wezbrało od deszczów, a rycerz pewien mimo to domagał się bezwzględnie, aby go przeniesiono na drugi brzeg, kacyk polecił tragarzom, aby niebiańskiego gościa poddali próbie: mianowicie czy może utonąć czy nie. Pośrodku więc rzeki spuścili Hiszpana z ramion i dopóty trzymali pod wodą, aż przestał się ruszać. Późem wynieśli go na brzeg, gdzie cała ludność wioski rozsiadła się dookoła marliny, czekając czy aby się znowu nie obudzi. Trzy dni siedzieli przy zmarłym, aż zwłoki zaczęły się wyraźnie rozkładać, i wówczas utrwaliło się ostatecznie przekonanie, że wrzekomy bóg był tylko śmiertelnym człowiekiem. Ta pewność rozbroiła ich lęk i cześć, paraliżującą ich odwagę. Wieść o cudownem wydarzeniu rozniosła się w triumfie od plemienia do plemienia.

Słabe i kunktatorskie charaktery dają się łatwo pociągać ku zbyt pochopnemu działaniu. Jeśli we właściwym czasie nie działały z wyimaganą stanowczością, to pragną poniewczasie odrobić błąd przesadną surowością, i jeśli nie w porę okazały powolność i pobłażliwość, to uwielokrotniają zło, stosując również nie w porę przesadne okrucieństwo.

Instrukcje, których admirał udzielił Pedrowi Margarite, nakazują mu dbać przede wszystkim o to, aby Indjosom nie działa się żadna krzywda, aby nie odbierano im najmniejszej rzeczy wbrew ich woli, aby, owszem, traktowano ich z wszelkimi przez rozum zalecanymi względami. Mogłoby się здаwać, że takie były intencje admirała. Faktycznie było inaczej. Bo zaraz po tem instrukcja zawierała następujące zdanie: «Ponieważ zdarza się, że dzicy dopuszczają się kradzieży na naszą szkodę, więc niniejszem zarządzam, aby każdemu, którego się złapie na gorącym uczynku, obcinano uszy i nos, jako też i te członki, których zasłonić nie można. Przez to zabezpieczymy sobie godziwy handel wymienny, bo w ten sposób wszyscy się przekonają, że dobrych dobrze, złych zaś źle traktować będziemy». Zapewniwszy w obłudnych słówkach, że zarówno jemu jak i królowej o wiele bardziej zależy na nawróceniu Indjosów i zbawieniu duszy, niż na wszystkich skarbach, które można będzie od nich zdobyć, podsuwa swym podwładnym niezwykle podstępny plan, zmierzający do unieszkodliwienia groźnego kacyka Caonabo. «Trzeba go skłonić, aby przyszedł do was w odwiedzinę» — radzi Kolumb. «Ponieważ chodzi nago i skutkiem tego niełatwo go schwytać — zaś jeśli się raz wymknie, to ze względu na położenie kraju chyba pozostanie już na zawsze nieuchwytny — więc powinniście mu doręczyć koszulę i płaszcz powłóczysty, przepasać go i wsadzić mu na

głowę czapkę, a wówczas snadnie będziecie go mogli złapać. Jeśli nie zechce do was przyjść, to udawajcie, że chcecie do niego przybyć, trzeba będzie kogoś wysłać, aby mu doniósł, że chcecie się z nim widzieć i zawrzeć przyjaźń».

Wszystko to jest tak dalekie od uczciwości i rycerskości, jak... no mniej więcej, jak hiszpański katolicyzm od indjańskiego pogaństwa. Trudno o większą przepaść, przynajmniej w tym poszczególnym wypadku. Trzeba jednak uprzytomnić sobie, że poganie, Żydzi, muzułmanie byli w stosunkach z chrześcijanami wydani na najbezkarniejsze bezprawie, skutkiem czego można się było z nimi obchodzić jak z martwym inwentarzem, jak ze szkodliwymi zwierzętami. Słowo jest rzeczą występnie elastyczną. «Uważajcie» — poucza Kolumb swoich oficerów — «aby nie było obrazy sprawiedliwości». Jakże to? Zapomocą obcinania nosów i uszu i trzechset czterdziestu szubienic, które cieśle ustawili w Vega real? «Na wszystkich drogach i drózkach macie ustawić krzyże» — kończy admirał instrukcję (prawdopodobnie pragnął uważać szubienicę za krzyż) — «albowiem dzięki Bogu, kraj ten należy do chrześcijan, o czym powinno zostać świadectwo na wieki wieków».

Nie mylił się: świadectwo zostało. Jednym ze środków, który się do tego przyczynił, była rasa krwiożerczych psów. Niepodobna ustalić z dokładnością historyczną, kiedy te pożyteczne zwierzęta po raz pierwszy rozpoczęły działalność.

Zatrzymajmy się tu chwilę, aby nabrać tchu. Psa gończego—perro corso—wypuszczano zwykle w takich razach, gdy Indjosi rzucali się do ucieczki. Dopadał grzbietu ludzkiego z krwiożerczą zajadłością, walił na ziemię, rozszarpywał zbiega. W ten sposób łowy z jednej strony stawały się bardziej urozmaicone i zabawne, a z drugiej wzmagaly obłądną zgrozę i łamały resztki oporu. Wobec tak widocznej przydatności, admirał nie ociagał się: kazał sprowadzić z Hiszpanji całe sfory tych zwierząt. Niektóre, jak na przykład pies Berçevrico, zdobyły sobie ohydny sławę i stały się założycielami rodów, którym przypisywano szczególne mistrzostwo w tropieniu i rozszarpywaniu Indjosów. Psy z tych rodów były w wysokiej cenie. «Uważajcie tylko, aby nie było obrazy sprawiedliwości».

Wszakże, kiedy Don-Kichot staje się okrutnikiem, przestaje być Don-Kichotem. Może być albo jednym albo drugim, ale nie jednym i drugim. A może lewica Don-Kichota nie wie, co czyni jego prawica? Czyżby dusza jego była tak górnienie natężona, duch jego tak jedną myślą opadowany, że zatracił miarę dla rzeczy bliskich, więc rzecz mała wydaje mu się wielką, dobra złą i odwrotnie? Jest to może wpływ i działanie Sancho-Pansa? Bo Sancho-Panso jest nieodstępnie u jego boku, nie można sobie tamtego bez tego wyobrazić, Sancho-Panso jest szczerwym i doświadczonym ćwikiem, zna gruntow-

nie życie i rozumie się na rzeczy. Prototypem jego jest coprawda prostoduszny pocziwiec, który muchy nie obrazi; wszakże ulega przemianom, czas modeluje go, warunki wydobywają z niego nieprzewidziane zdolności, świat jest pełen Sancho-Pansów, znajdziesz ich we wszystkich stuleciach, we wszystkich zawodach i stanach, w każdym roczniku. Gdziekolwiek go los stawia i jakkolwiek postać przybiera—chłopa, parobka, drobnomieszczanina, włóczęgi, dworaka, urzędnika, rębajły—zawsze potrafi wykorzystać te słabe strony, które zdradza każdorazowy jego Don-Kichot. Bo przy całej swej nieaktywności, Don-Kichot przyciąga ludzi aktywnych i praktycznych; a gdy on uważa ich za swoje kreatury, oni tymczasem prowadzą go na pasku wedle swego uznania: w tym celu wystarczy utwierdzać go w jego szaleństwie i podsycać urojenia.

Niewdzięczna to i przeważnie bezowocna praca: badać procesy, które rozegrały się w dalekiej przeszłości, żeby wyluskać całą zawartość chemicznie czystej, że tak powiem, prawdy. Wydarzenia, podobnie jak budowle, rozpadają się w gruzy i ruiny, zostaje po nich zaledwie surowy zarys, który może dać najwyżej wyobrażenie o wymiarach i proporcjach, ale o wiele rzadziej i o tem, co w tej formie było żywe, funkcjonalne i uwarunkowane czasem. Można to zrekonstruować przez porównania i wewnętrzny ogląd i przez badanie następstw, które to coś w dalszym swym przebiegu wywołało. Jeszcze

trudniej jest wyluskać człowieka z historii, prawdziwe jego oblicze ginie pod tysiącznymi podaniami, pod skorupą analogji, pod dowolnościami wynalazców i deformatorów, pod nieporozumieniami i formacjami anegdotycznymi. Obok supernaświeten rozpychają się nierozjaśnione ciemności, rzeczy prywatne, osobiste rozplywają się, rozgałęzione rysy powszedniego życia są zgrubsza upraszczane, aby przystosować się do widowni i do narzuconej roli. Jakkolwiek zadają sobie wielu trudu, aby poznać człowieka, który ze mną i obok mnie żyje—wystarczy, aby zrobił tylko raz gest nieprzewidziany, a już muszę zrewidować moje o nim zdanie (obcować z ludźmi to znaczy ustawicznie rewidować swoje zdanie). Względem postaci historycznej, zwłaszcza wybitnej, nie chcąc zejść bezpowrotnie na manowce, można tylko jedną drogę obrać: stworzyć ją z wizji odnowa.

Bez wątpienia Kolumb wpadł w ręce swoich kreatur. Tu dopiero staje się winnym i z każdym krokiem brnie coraz głębiej. Jedyne bardzo silne charaktery, u których czyn wypływa bezpośrednio z natury, potrafią się opierać naciskowi, nieustannie wywieranemu na ich wolę przez środowisko. Fatalnością Kolumba była konieczność udawania typu, którego cech nie posiadał. Był fantastycznym marzycielem, a powinien być władcą, panem, zarządcą. Był człowiekiem ze świata marzeń i szaleństwa, miał dar wywyższania się, może nawet i poniżania, a objął

stanowisko, (do którego się uważał powołany) na którym trzeba było wziąć w ręce twardą, niebezpieczną, trzeźwą rzeczywistość. Aby nie ponieść żalosnej porażki, musiał grać rolę człowieka, za jakiego chciał uchodzić. Ale gdy się rolę tylko gra, a nie przeżywa, to chcąc nie chcąc przesadza się ją i wypacza. Wszystkie następstwa wynikają już z tego z żelazną konsekwencją: wpada pod wpływ pochlebcy i, chociaż wie o jego drugim obliczu, nie chce go widzieć; nie może odprawić chciwych, nie śmie pociągnąć do odpowiedzialności występnych, okazuje się stanowczym tylko tam, gdzie nie trzeba truchleć o stanowisko i godności — bo w najgłębszych pokładach świadomości — mimo całej fikcji własnego powołania, nie jest pewny swego stanowiska, skoro mu nie umie sprostać. Nie przywykł do tego, aby każdy czyn musiał mieć tak niemiłosierne skutki, wcześniejsze jego życie w świecie wyobrażeń było rozpięte pod łukiem o wiele szerszym, i oto nagle wszystko się dokoła chwieje, a on, który pragnie utrzymać się, tylko utrzymać się na nogach, sięga po podpórki, które się pod nim łamią, albo po ludzi, którzy go zdradziecko spychają na dno. Działa to niemal jak genialny pomysł poety (Szekspir coś podobnego ucieleśnił w przeciwstawieniu Horacja Hamletowi, zresztą los jest poetą lepszym nawet od Szekspira), że Kolumb, zabierając ze sobą w drugą podróż brata swego Bartolomego i mianując go namiestnikiem, po-

stawił obok siebie, niby dla oprawy i kontrastu, człowieka, który go w pewnym sensie uzupełniał i unaoczniał mu jego własne braki. Bartolomé Colón miał bowiem ciężką pięść i żelazną, nieugiętą wolę — to on właściwie był tym typem, jakim powinien być Krzysztof Kolumb, aby okiełznać rozwścieczony świat, w którym się jako błędny rycerz zabłąkał. Wszakże bezwzględne, nawet okrutne próby Bartolomégo poskrośmienia anarchji rzucały tylko tem bardziej raziące światło na słabość Krzysztofa i wystawiały jednego i drugiego na nienawiść rodowitych Hiszpanów. Nigdy nie wyrażano się dobrze o «obcokrajowcu», o zbiegłym z ojczyzny Włochu, z łaski losu uwieńczonym niezasłużonym wawrzynem. I w chęci i postanowieniu strącenia go zpowrotem w mrok, z którego się wybił, sprzymierzyli się wszyscy, od najlichszego poszukiwacza złota począwszy a na biskupie Fonseca i królu Ferdynandzie skończywszy.

Wystarczy mu się tylko dźwignąć i odwrócić plecami do tego świata zaduchu, gdzie ambicja, chciwość, rozczarowanie i wyuzdanie zrywają wszelkie pęta, a znowu jest wędrującym żeglarzem, adeptem wierzącym w bajki i cuda, który wciąż jeszcze szuka wyspy Zipangu i państwa Wielkiego Chana. Tradycja przekazała scenę, w swoim rodzaju niezrównaną, paradoksalną i komediową, w której najklarowniej odzwierciedlił się jego obraz: obraz człowieka,

który wcale nie bierze pod uwagę realnego stanu rzeczy i stosunków rzeczywistych, który tak przedstawia rzeczy, jakby je chciał widzieć, i jak je określa zgóry powzięta idea.

Zarządziwszy w Espanoli niezbędne środki ostrożności i zabezpieczywszy złudny spokój, w kwietniu 1494 r. wyruszył na kilku lekkich karawelach, aby dokonać nowych odkryć i znaleźć wschodnie wybrzeże lądu azjatyckiego. Nie miał najmniejszych co do tego wątpliwości, że krainy, które odkrywał, wchodzą w skład Indyj. Niechby się kto ważył w jego obecności, choćby w sposób najbardziej nieśmiały, wyrazić wątpliwość—admirał wybuchał gwałtownym gniewem i uznawał to za zbrodnię i osobistą obrazę. Żeglował wzdłuż południowych brzegów Kuby, wszędzie spotykał się z przyjaznem przyjęciem, i wzamian za żywność, dostarczaną przez krajowców, kazał im według ustalonego już zwyczaju rozdawać dzwonki i kolorowe łaszki. Daremne jednak były wszelkie wypytywania o złoto. Indjosi znali wprawdzie ten szlachetny metal, ale posiadali go—sądząc z tego, co się widziało—w niewielkich ilościach. Na wszelkie pytania, skąd to mają, gestami wskazywali na południe. Odpowiedź tę podszeptał im instynkt, aby pozbyć się przybyszów, których poprzedzała straszliwa fama. Wówczas Kolumb zmienił kierunek na południowy, i w początkach maja odkrył wyspę Jamajkę, po indjańsku Janahica — najbardziej kwitnącą z wysp archipelagu, ziemię o czarownym

krajobrazie. Ale cóż to obchodziło rycerzy i żeglarzy, co im po cudownych pralasach, po odurzającej roślinności pierwotnej przyrody—myśl ich jedynie i wyłącznie była przykuta do złota. A że nie zanosilo się na zdobycie większych ilości cennego kruszcu, więc odechciało im się kontynuować nieopłacalną podróż. Admiral, który nauczył się nadawać swej tchórzliwej uległości pozory niezależnej decyzji, zarządził powrót na Kubę. Na północo-zachód od przylądka Santa Cruz znalazł się wśród labiryntu uroczych wysepek, które nazwał «Ogrodem królowej»; dowiedział się od tamtejszych rybaków, że pod wieczór wyminie kraj Magon, zamieszkanym przez ogoniastych ludzi. Była to pierwsza wzmianka o tajemniczym ludzie Mayów, albowiem wrzekomy ogon był poprostu spadającą na plecy ozdobą z piór, stanowiącą tradycyjny strój owych plemion. Wszakże Kolumb, namiętniej niż kiedykolwiek zajęty relacjami Marco Pola i Johna Mandeville'a, uwierzył mocno i niezłomnie, że idzie tu o kraj azjatycki Mangi. Jeszcze bardziej zaś utwierdził się w mniemaniu, że Kuba stanowi część stałego lądu azjatyckiego, gdy wódz indjański zapewnił go, że choćby szedł i szedł, czterdzieści razy widział księżyc w pełni, jednak nie dojdzie do krańca wybrzeży kubańskich. W radosnem oczekiwaniu żeglował więc Kolumb wzdłuż zachodniego brzegu Kuby, a gdy załoga zaczęła szemrać i groźbą domagać się powrotu, admirał uśmierzył jej gniew kuszącymi przyrze-

zeniami: oby tylko wytrwali, a rychło dotrą do ptolomeuszowego Aurea Chersonesus, skąd, omijając ujście Gangesu, przeprawią się na morze Czerwone, stamtąd zaś znajdą najkrótszą drogę do ojczyzny, która w dodatku prowadzi lądem przez Jerozolimę do Joppy i wreszcie morzem Śródziemnem. Lecz zapewnienia jego i zaklinania są bezskuteczne, z każdym dniem, rośnie zuchwalstwo załogi, zapasy groźnie topnieją, okręty, toczone przez robactwo, są w stanie opłakany. Admirał zwołał radę morską; zebrał starszych bocmanów, padronów, pilotów i kreślarzy map i prosił ich o wyrażenie swej opinii: czy wierzą mianowicie, że znajdują się koło wybrzeży Indyj, skąd już suchą nogą można dotrzeć do Hiszpanji. Zebrani wiedzieli, z kim mają do czynienia i jakie będą konsekwencje odpowiedzi, to też oświadczyli jednogłośnie: tak, opinja ich nie różni się od mniemania admirała. Wówczas Kolumb, aby mieć świadectwo na piśmie, kazał notariuszowi spisać formalny protokół, stwierdzający, że dotarli do wschodniego brzegu Indyj. Warto jest poznać bliżej ten jedy-ny w swoim rodzaju dokument.

Notariusz z początku opisuje sytuację flotylli i wyluszcza szczegółowo dane, z których, wedle admirała, z należną konsekwencją wynika, że Kuba stanowi część lądu azjatyckiego. Pocieszny jest sposób, w jaki się wije i wykręca, aby swą hipotezę uczynić przekonującą. «Wszelkie inne przypuszczenie jest niemożliwe» — oświadcza,

«albowiem na wybrzeżach nie spotkasz innych mieszkańców, poza plemionami nagusów, którzy żyją z rybołówstwa, nigdy nie zapuszczają się w głąb kraju, nie wiedzą nic o świecie, oddalają się od domu najwyżej na odległość czterech godzin drogi, i wierzą, że na świecie istnieją tylko wyspy. To istoty ludzkie bez prawodawstwa i religii — rodzą się, by umierać. Aby zaś po skończonej podróży uczestnicy wyprawy nie rozsiewali fałszywych wieści i przez złośliwość nie pomniejszali rzeczy, zasługujących na wszelkie pochwały, zlecił mi admirał udać się osobiście wraz z wiarygodnymi świadkami na pokład jednego z każdych dwóch okrętów i tam publicznie zapytać mistrza, załogę i wszystkich obecnych, czy mają bodaj najsłabsze wątpliwości, że znajdują się przy stałym lądzie azjatyckim, przy krańcach Indyj, skąd już można drogą lądową dotrzeć do Hiszpanji. Jeśli kto ma jakie wątpliwości, czy też zna sprzeczne z tem twierdzeniem fakty, powinien odrazu powiedzieć, abym mógł ową wątpliwość czy błąd usunąć. W wykonaniu powyższego zlecenia, zapytałem publicznie wszystkich uczestników wyprawy, zapowiedziałem, że każdy, kto kiedykolwiek wypowie się w sprzeczności z obecnem stwierdzeniem, zapłaci dziesięć tysięcy maravedów grzywny oraz ulegnie ucięciu języka, o ile zaś uczyni to junga czy temu podobny, ukarany będzie setką plag i również wyrznięciem języka».

Zeznanie brzmiało: «Ja, X. Y. mieszkaniec Z., pilot czy majtek, czy mistrz, zaświadczam pod przysięgą, że nigdy nie widziałem, ani nie słyszałem o takiej wyspie, którejby brzeg od zachodu do wschodu ciągnął się 335 mil morskich, byłaby to zresztą oczywista niemożliwość. A ponieważ widzę, że brzeg tutejszy ciągnie się na taką odległość na południo-wschód, więc nie mam żadnych wątpliwości, że mam przed sobą stały ląd, a nie wyspę, i że, żeglując dalej wzdłuż tego wybrzeża, w krótkim czasie dotrze się do kraju, zamieszkanego przez mądre ludy, które znają szeroki świat i uprawiają handel».

Na zarządzenie Kolumba osiemdziesiąt osób, towarzyszących mu w wyprawie, musiało głośno powtórzyć tę dziwną formułę i podpisać protokół. Nie można chyba wymyślić bardziej donkichotowskiego gwałtu nad rzeczywistością, zważywszy, że — jak to stwierdził z przesadnym szyderstwem któryś z współczesnych — wystarczyło w czasie podpisywania protokołu umieścić jednego majtka w koszu masztowym, aby odkryć, że Kuba jest wyspą. Jeśli prawdą jest, jak twierdzą niektórzy geografowie, że miejscem sporządzenia głupiego dokumentu była zatoka Batabano, to istotnie po czterdziesto-ośmiogodzinnej żegludze dotarłby do krańców wyspy. Ale cóżby mu przyszło z takiej pewności? Podobnie dla Don-Kichota twierdzenie giermka, że szynk nie jest żadnym kasztelem rycerskim lecz tylko szynkiem, było impertynenckim wtrącaniem się,

nieprzyjemnem i godnem zlekceważenia. Admirałowi tak bardzo zależało na zachowaniu owego wybornego dokumentu, że po śmierci notariusza Pereza de Lima, niedługo po powrocie do miasta Izabelli, zawezwał pisarza koronnego Penalosę i kazał mu poświadczyć protokół.

W tym czasie nadeszła wiadomość, że nad rzeką Magną znaleziono zasypane złotodajne tereny. Podnieciła go ta wiadomość ogromnie. Udał się na miejsce, zamysłony chodził tam i zpowrotem i oświadczył z dziwną emfazą, że te doły są właśnie kopalniami, z których król Salomon wydobył złoto na budowę świątyni jerozolimskiej, z czego znów w sposób nieodparty wynika, iż wyspa Espanola jest Ofirem starożytnych. To żaden kaprys, żaden przelotny pomysł, ani skromne przypuszczenie, lecz kategoryczna teza, którą odtąd aż do ostatniej swej chwili powtarza z fanatyczną powagą, nie zastanawiając się zupełnie nad geograficznymi i fizycznymi możliwościami.

Przyjęcie, jakiego doznał w Hiszpanji, różniło się wielce od pierwszego powitania. Odczuł to bardzo boleśnie. Gdzie się podział cały entuzjazm, radosny szal? Nie powiewano już chustami, nie wywieszano z balkonów kobierców, przyjaciele nie przybyli na serdeczne powitanie—milczenie i oziębłość. Dlaczego? Zmiany opinii publicznej zawsze mają w sobie coś tajemniczego. Znowu wysłała meldunek do królowej. Dzień za dniem

mija, niema odpowiedzi. Zamiast pośpieszyć na dwór i wystąpić przeciwko intrygom wrogów, z których szczególnie energicznie działał biskup Fonseca, klęczy po klasztorach i kościołach przed spróchniałymi relikwjami, albowiem uczynił ślub, nosi pokutną włosiennicę, przepasaną sznurem i zapuszcza brodę na wzór franciszkanów. Znajomych przeraża jego wygląd i stan, jego przygnębienie, oczy jego błyszczą przerażająco ciemnym żarem, ciało jest haniebnie wychudzone, choroby i kłopoty wyczerpały go ostatecznie. Gdy wreszcie regentka wysłała wprawdzie łaskawy ale krótki list, trzeba było Kolumba długo szukać. W La Rabida prowadzi świętobliwe rozmowy z Juanem Perezem i Antonio de Marchena. Odczytuje list królewski: ma się stawić na dworze. Owszem, chętnie pojedzie ale z całym należnym splendorem. To też urządza sobie, bardzo nie na czasie, triumfalny wjazd na wzór pierwszego—tym razem wszyscy orzekają, że to pusta pompa. A przecież w jego mniemaniu nic się nie zmieniło, ani on, ani jego sprawa. Indje są nadal Indjami. Zapomina tylko (ponieważ nie chce o tem wiedzieć), że ci, którzy z nim wrócili, włóczą się jako obszarpani żebracy po ulicach Kadyksu i Sewilli; przeważnie chorzy na febrę—wyglądają jak straszdyła. Nie jest to w każdym razie dobra reklama. Trąbiło się na wszystkie strony, że dumny kacyk Caonabo ma być pokazany narodowi hiszpańskiemu jako zwyciężony w boju bohater (naturalnie nie wspo-

minano o tem, że podstępnie został wciągnięty w zasadzkę); tymczasem Caonabo zmarł podczas przejazdu ze strapienia i nostalgji. Pozostały mu wrzekome Amazonki porwane w Gwadelupie, nazwane tak przez admirała pod wpływem reminiscencyj z lektury Marco Pola; otóż biedne kobiety wyglądały jak zgłodniałe zwierzęta w klatce. Ale co się dzieje z tak upragnionem złotem? Z przyrzeczonemi milionami? Nędza. Lodowate rozczarowanie — wszyscy odnoszą się do uporczywych obietnic admirała ze sceptycyzmem, graniczącym z obrazą. On zaś nie czuje swej fałszywej sytuacji, z deszczu wpada pod rynnę i żąda ośmiu okrętów do trzeciej podróży. Daje mu się wymijające odpowiedzi, mówi się, że powinien czekać. Na co czekać? Może ma antyszambrować, on, wicekról oceanicznego państwa — co oni sobie myślą? Wzruszanie ramionami. Zausznicy Ferdynanda są narazie u władzy, Izabella zapewne zapomniała o swoim wiernym żeglarzu. Córka jej, Joanna, ma poślubić arcyksięcia Filipa austriackiego, Francja z zazdrością spogląda na ten związek małżeński, trzeba się liczyć z możliwością wojny. Wyprawa infantki i uroczystości weselne wyczerpują wszystkie zasoby pieniężne królowej, nie starczy na zapłacenie dostawcom, Żydów zaś, od których można było zaciągać pożyczki, niema już w kraju. Prawdopodobnie pokładała nadzieje w swoim admirałe; ale miast rzucić do nóg monarchini niewyczerpane skarby, któremi ustnie i pisemnie

tyle się wciąż przechwalał («takie skarby, że królowie Północy nie zawieźli cenniejszych do Betleemu» — oto jedno z wspanialszych jego wyrażen) — zamiast tego — cóż? Ofiaruje tylko zażalenia i skargi. Dobrze, da mu się okręty — tak każe mu powiedzieć szef wrogiej partji — ale pod warunkiem, że i on pójdzie na jakieś ustępstwa i zrezygnuje z tego czy innego przywileju, które dają się tak we znaki królowi, na przykład z ósmej części ze wszystkich dochodów. Aha, król, jego nieprzejednany wróg. Nie, nigdy, za żadną cenę. Nic się nie da utargować z tego, co zostało podpisane, zaprzysiężone. Po długich zachodach staje na tem, że narazie pójdą do Espanoli dwie karawele z żywnością, które przyrzekł był bratu swemu Bartolomému. Aby odkrywcy nie zniechęcić ostatecznie, wysocy protektorzy i przyjaciele zabiegają dlań o asygnacje na sześć miljonów marawedów, wystawione przez skarb państwowy. Niewielka to pomoc, bo i kasy są jak zwykle puste, ale przynajmniej będzie mógł korzystać z kredytu, może rozpocząć przygotowania i ze swej strony również płacić asygnatami.

Wszystko to jest gorzkie i irytujące, ale można się jakoś wywikłać, przeżyło się gorsze rzeczy — gdy oto spotyka go rzecz najgorsza: Kolumb staje się pośmiewiskiem. Kapitan Pedro Alonzo Nino, wysłany przez Bartolomégo, ląduje w Kadyksie, i tam, jakgdyby wychowany został w szkole admirała na fanfaroną, każe temuż meldować: przywiózł tak ciężki ładunek złota,

że tylko Bogu dziękować, iż okręt nie zatonął. Colón jest arcyszczęśliwy; nie przekonawszy się uprzednio, czy meldunek jest oparty na faktach, pisze bezzwłocznie do królewskiej pary, że z krainy złota Ofiru, przybyła do Kadyksu flota załadowana bezcennymi bogactwami. Para królewska, jakkolwiek wiadomość nie brzmiała zbyt prawdopodobnie, okazuje żywą radość i daje mu do zrozumienia, że obecnie może sobie odliczyć z indyjskich skarbów potrzebną kwotę na kosztą wyprawy, a zatem i zwrócić asygnacje na sześć milionów marawedów. I tak się w istocie dzieje. Ale co się okazuje? «Skarby floty z Ofiru» t. zn. jednej jedynej, napół rozbitej galeazzy, składają się ze stu pięćdziesięciu Indjosów, ze sprzedaży których miało się uzyskać złoto. Miażdżąca rewelacja. Nietylko musi odwołać wiadomość, ale i wziąć na siebie i inne poniżenie: wręczyć królowej pismo brata swego Bartolomégo, opisujące szczegółowo beznadziejnie powikłany stan rzeczy w kolonji. Gdy zaś prosi o zwrot asygnaty sześciomiljonowej, otrzymuje oschłą odpowiedź, że teraz musi się i bez niej obejść.

Były to już stacje upadku. Zdawałoby się, że tego rodzaju łańcuch przeciwnieństw powinien go doprowadzić do oblędu, albo przynajmniej podkopać poczucie ważności. Nic podobnego. Ucieka poprostu ze świata rzeczywistości w świat pozorów. Chcąc przekazać swoim potomkom szlachectwo i tytuł, w tym czasie, bezpośrednio przed trzecim wyjazdem, prośbami uzyskał od

królowej zgodę na ustanowienie majoratu. Tyle że konkretną podstawą tego majoratu była narażenie zwyczajna skrzynia, wypełniona relikwiami i indjańskimi ozdobami. Albowiem dodany w charakterze podarunku obszar na Espanoli, szeroki pięćdziesiąt godzin drogi i tyleż długi, nie miał realnej wartości. Obszar poczęści jeszcze niezdobuty, poczęści składający się z pralasów i bagien — z równie korzystną perspektywą mógł sobie admirał anektować teren rozmiarów Hiszpanji, i niktby nie miał o to pretensji. Domagał się poza tem gwarancji, że żaden żeglarz hiszpański prócz niego nie będzie miał prawa dokonywania odkryć na morzu Indyjskiem — dają mu i ten bezsensowny i niemożliwy przywilej. Prawdopodobnie król Ferdynand godził się na głupi warunek tylko dlatego, że od początku nie czuł się związany nadmiernemi pretensjami admirała; łącznie mu przychodziło łamać układy, nie czynił sobie z tego powodu wyrzutów sumienia. Królowa zaś, chociaż zachowała resztki sympatji dla dziwnego człowieka, mówiła sobie, co zwykły rozsądek ludzki musiał jej podszeptać: że tego rodzaju układ stoi poza rzeczywistością, poza wszelką możliwością urzeczywistnienia, albowiem nie można przecież kilka milionów kilometrów kwadratowych oceanu ogrodzić i utrzymać pod stałą kontrolą policyjną. Wszakże względy rozsądku nie miały dostępu do jej protegowanego, i nigdy mu jeszcze nie przyszło na myśl dbać o rzeczywistość czy możliwości urzeczywistnienia.

W K A J D A N A C H

A tymczasem kolonja i wszystkie związane z nią przedsięwzięcia poszły w taką niesławę, że żaden przyzwoity człowiek nie zgodziłby się szukać wątpliwego szczęścia w Indjach. Trzeba było zastosować ten sam wybieg co i za pierwszą podróżą: otwarto dla admirała furtki domów poprawczych. Znowu miał dobierać sobie pomocników wśród bandytów i złodziei, a wiedział już wtedy, czego się po nich spodziewać. Poza tem ogłoszono powszechną amnestję dla przestępców, którzy od kary salwowali się ucieczką: każdy, kto zgłaszał się do wyprawy, miał zagwarantowaną wolność osobistą. Amnestja nie dotyczyła tylko heretyków, podpalaczy, winnych zdrady stanu, winnych obrazy majestatu, fałszerzy monet i sodomitów. Mimo to zbierająca się nina, która się stawiała, była dostatecznie występna. I właśnie te wyrzutki europejskiej społeczności miały — jak się z całą pewnością spodziewała para królewska i jej duchowni ministrowie — «skierować wszystką uwagę przedewszystkiem na nawrócenie Indjosów na wiarę katolicką».

Colón nie mógł, nie miał możności się bronić. Nie miał za sobą ani ludu, ani dworu, ani kleru. Sprawa jego była beznadziejnie zdyskredytowana, postarali się już o to biskup Fonseca i jego faworyci, najczynniejszym z nich był Antonio de Torres, który wszystko zawdzięczał admirałowi. Chodziło o to, żeby Kolumba uwikłać w niesnaski z urzędnikami i izolować towarzysko. Nic nie robiło się prostą drogą, wszystko trzeba było podstępnie wyludzić, wymusić, zdobywać niegodnymi środkami. Odjazd odwlekał się z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień; główną przyczyną było to, że admirał zmuszony był wykupywać żywność po urzędowo ustalonych cenach, na które żaden kupiec nie chciał się zgodzić. Poza tem nie rozporządzał gotówką i gdy zażądał dodatku do uzyskanych większych kwot, odpowiedziano mu szyderczo, żeby sobie sam dobil pieniądze w Indjach. W ostatniej godzinie zgłosił się doń królewski skarbnik, Ximeno de Breviasca, wychrzczony Żyd, w obraźliwej formie zażądał wyliczenia się z zakupów, a ponieważ Kolumb wzbraniał się zadość mu uczynić, więc zagroził, że opóźni wyprawę i tak, z winy jego knowań, bardzo opóźnioną. Admirał rzucił się nań z pięściami, potrząsnął nim, kopnięciem przepędził go z okrętu i na dobitkę zawołał za nim, że jeżeli go to powitanie nie zadowala, to można mu zgotować dobitniejsze. Był to już bowiem prawdziwy wybuch wściekłości u tego niedołęgi życiowego, doprowadzonego do osta-

tecznej desperacji. Lecz co znosi się z podziwem od silnego, tego się nigdy nie wybacza słabemu. Wypadek ów, z odpowiednią przesadą przedstawiony na dworze, wywołał tam wielki gniew i przygotował owe machinacje, które doprowadziły do upadku admirała.

Nareszcie okręty mogły wypłynąć z portu. Licznym przestępcom, składającym się na załogę, zdjęto z rąk i nóg więzy dopiero na pełnem morzu. I chociaż Kolumb mógł Bogu dziękować, że wreszcie ma znów za sobą znienawidzoną Europę i nienawiści godną ludzkość, to przecież trudno mu nie odwrócić oczu od tego widowiska i nie poczuć niepokoju i lęku przed sobą, przed swym demonem, przed swem dziełem.

Co należało jeszcze uczynić? Czemże był ów głęboki niepokój? Co gnało go wciąż przed siebie na drugą stronę kuli ziemskiej? Czy że był to jego świat, jego własny, przezeń odkryty? Czy może czuł, że zadanie jego nie jest wypełnione, cel pozostał nieosiągnięty? Albo należał do owych tragicznych pomyślników losu, którzy celu nie widzą, gdy go nawet trzymają w ręku? Nie powinniśmy mu uzyczyć większej wiedzy nad tą, którą czasy owe udostępniły ludziom, wszystko zaś, co było w nim instynktem, przedstawiało działać, skoro tylko jego własna osoba wchodziła w grę. Był bowiem obrazem bez łaski, obcy mu był spokój wewnętrzny, ogromny czyn, którego dokonał, piętnował go jak zbrodnia

mordercę. Naoślep żeglował po morzach, odkrywał dziewicze krainy, zawsze myśląc o czemś odbiegającym od wymagań chwili, nigdy nie umiając sprostać współczesności, nie znając żadnego oblicza, nie posiadając niczyjego serca, pogrążony we własnej istoty ciemnościach—tulał obcy wszelkiej radości.

Na wyspie Kubie kazał swoim towarzyszom stwierdzić pod przysięgą, że znajdują się na stałym lądzie. Natomiast gdy w lipcu 1498 roku po raz pierwszy na Tierra di Gracia stanął na amerykańskim kontynencie, przeczył temu faktowi z całą stanowczością, i orzekł, że kraj ten jest wyspą. Odkąd rozpoczął swoje podróże, marzył stale i myślał o tem skrycie, aby znaleźć raj, w którym żyła pierwsza para ludzka. Astrologiczne i magiczne studia kazały mu zakładać siedlisko raju na jednej z wysp indyjskiego morza. Była to konstrukcja teologiczna, bez fantazji, niezapłodniona przez żywą wyobraźnię. Ledwo wylądował na wybrzeżu Paria, oznajmił: oto jest raj Starego Testamentu, i żaden argument nie potrafił go już nigdy zachwiać w tem mniemaniu. Nie przestąpił raju, nie ważył się—poza tem raj ów mieścił się na wysokiej górze, ale i ta okoliczność, obok słodczy powietrza, i wspianalego rozrostu roślinności, utwierdza go w tej wierze. «Albowiem świat nie jest kulisty» — pisze w swoim sprawozdaniu. «W miejscu gdzie Indie na równiku graniczą z Oceanem wznosi

muy noble fno

bu q el cuerpo and sea / el conde q se al di genio / no / S / mi fno q la may
mied q dppre de dnd el aga fno qnadr / lab cofe d my mpre qe luy
y fua gñ lumbre / qe la fua dnd de gubirno no h mabrur / go bñ
alas yndias = nobre d la fua dnd qe pñar luy / y por qe dñ
mortal go dñ a dñ dñ my fno q d la fua tñ q dñ dñ / q dñ
remda ali q el dñ qmo d to dñlla cada bñ ano qe dñ qñ / qñ dñ
curto d la fua dñ dñ qñ y bñ y otal bñ dñ qñ dñ / qñ dñ
qñ fñ algo dñ dñ / qñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
arte fñ my bñ pñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / my dñ
my dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
my dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ
fñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ / qñ dñ

il abm / ant mayor dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ
y gñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ
dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ dñ

S. A. S.
X M Y
XPO FERENS

Przekład listu Kolumba do Kapituły św. Jerzego.

Wielce szlachetni panowie,
choć ciało moje tuła się gdzie indziej, to jednak ser-
cem jestem zawsze przy was. Nasz Pan okazał mi naj-
wyższą łaskę, jaką kiedykolwiek od czasu Dawida oka-
zywał śmiertelnemu człowiekowi. Owoce mego czynu są
już widoczne i pokazałyby się w całej wspaniałości, gdy-
by nie ocieniały ich mroki rządu. Znowu udaję się do
Indyj w imię Świętej Trójjedności, ale zamierzam jak
najprędzej wrócić, a że jestem śmiertelny, więc zlecam
Don Diego, synowi memu, aby zawsze przekazywał
wam dziesięcinę ze wszystkich faktycznych dochodów, na
zmniejszenie długu za zboże i wino i wiktuały. Jeśli to
stanowie będzie godną uwagi kwotę, to przyjmcie ją; jeśli
nie, to miejcie dowód mojej dobrej woli. Proszę was jako
łaski, abyście w opiekę wzięli wspomnianego syna mego.
Messer Nicolo de Oderigo jest lepiej poinformowany
o moich interesach niż ja sam, przestałem mu odpisy
moich przywilejów i listów, aby je miał na przechowa-
niu. Byłbym wielce rad, gdybyście się tem interesowali.
Król i królowa, władcy moi, pragną mnie uczcić bardziej
niż kiedykolwiek. Oby święta Trójca miała w swej opiece
wasze szlachetne osoby i oby pomnożyła we władzę
wasz wspaniały urząd. Dan w Sewilli, dnia dru-
giego kwietnia 1502.

Wielki admirał oceanu, wicekról i gene-
ralny namiestnik wysp i stałego lądu
Azji oraz obojga Indyj — Króla i Kró-
lowej, moich władców i generalny Ich
kapitan morza i członek Ich Rady.

S.
S. A. S.
X M Y
XPO FERENS

się stroma wyżyna. Gdy Bóg Nasz stworzył słońce, umieścił je z początku w najwyższym miejscu ziemi na wschodniej rubieży. Owo miejsce najwyższe, jako najbliższe niebu, rzecz jasna, musi też być najlepsze. I aczkolwiek Arystoteles twierdzi, że najwyżej położony jest biegun południowy, inni zaś uczeni, że północny, mojem zdaniem myślą się wszyscy, bo najwyższy punkt leży wistocie na równiku. Zaś nikt się tego dotychczas nie domyślał tylko dlatego, że zanim Wasza Wysokość poruciła mi zbadać te krainy i morza, miało się bardzo nikłe wyobrażenie o ich właściwościach».

Istny galimatjas. Ale trzyma się tego uporczywie, z konsekwencją obląkańca snuje dalej swą myśl: «Raj znajduje się w miejscu, do którego dotrzeć można jedynie z woli Bożej. Jest w kształcie góry, a raczej mieści się na szczycie, który jest podobny do szypułki u gruszki albo do piłki z brodawką piersi kobiecej, zaś wokoło tej brodawki ziemia nabrzmiewa i zbliża się do nieba. Są to niewątpliwie oznaki raj, dokładnie odpowiadające opisom świętych i uczonych w piśmie». Ogromne wrażenie wywiera na nim zjawisko, że Orinoko wlewa do oceanu na rozległą przestrzeń słoną wodę; tłumaczy to sobie tylko tem, że rzeka wypływa z raj, a przeto musi posiadać nadprzyrodzone właściwości: «Gdy wypłynąłem z ujścia» — pisze — «prąd morski stał się tak silny, że przy umiarkowanym wietrze w czasie od mszy rannej do modlitwy wieczornej

przebyliśmy sześćdziesiąt pięć mil, z czego wynika, że w kierunku południowym jedzie się pod górę, zaś północnym—wdół».

Z większą oczywistością, zdaje się, wynika z tego wywodu, że Kolumb nie umiał robić doświadczeń i sprowadzać obserwacji do naturalnej ich przyczyny. Nadmiar entuzjazmu, w jaki go wprowadziła Tierra di Gracia, nabiera swoistego oświecenia wobec faktu, że w ciągu całego pobytu cierpiał na ciężką chorobę oczu i nic nie widział. Bo gdyby widział, możeby nie zobaczył tyle. Hektyczna gorączka jego woli uprawdzwia wszystkie jego sny i wszystkie szaleństwa obleka w prawdopodobny kształt.

Trzeba sobie zadać pytanie, co go skłoniło do tej decyzji, żeby tak daleko zapędzić się na Południe, porzucić znane sobie wody i, mimo chorowitości i psychicznego przygnębienia, znowu zawierzyć się nieznanym losom. Jedną z pobudek jest oczywista: chciał wreszcie osiągnąć stały ląd azjatycki, cudowną wyspę Zipangu, pierwotny swój cel; drugiej należy się doszukiwać w przesądach czasu: tam gdzie słońce najmocniej praży, mają się znajdować największe skarby ziemi: szlachetne kruszce, perły, korzenie. Zachowała się opinia niejakiego Mosse Jaima Ferrera, poważnego mineraloga i szlifierza, który broni tej hipotezy ze scholastyczną gruntownością, przytaczając cytaty z pism Caesara i apostołów. Znakomity Peter Martyr, współ-

czesny Kolumbowi, zwraca się z apostrofą do żeglarzy: «Na Południe! Na Południe! Kto chce znaleźć skarby, niech unika zimnych regionów Północy!».

Ale mimo to wszystko nie są racjonalne, i nie dadzą się wyrazić, te momenty, które gnały naszego Ahaswera od podróży do podróży. Takie jest jego przeznaczenie i jego prawo. (I to mogłoby przemawiać za hipotezą jego żydostwa). Jakkolwiek z jednej strony uosabia epokę nie jako żywy człowiek, lecz prawie jako paradygmat, to z drugiej coś chaotycznego tkwi w jego istocie, i to właśnie sprawia, że, jak pojedyncze gwiazdy w mgławicy eteru, tak zawarci są w nim charakterologicznie i zarazem motorycznie wszyscy, którzy po nim przyjdą, wszyscy awanturnicy, zdobywcy, poszukiwacze dróg, założyciele państw, owa plejada kolumbowych diadochów, jakby ich można było nazwać, którym w desperacki czy bohaterski sposób udało się zapisać swoje imiona na tablicy nieśmiertelności, przeważnie krwawym ołówkiem: Alonzo de Ojeda, Pedro Nino, Sebastjan Cabot, Fernando Cortez, Ninez Bilbao, Fernando Magalhaes, Francisco Pizarro; jest to zaledwie mała część ludzi, którzy życie ludzkie, a zarazem i swoje własne, cenili niewyżej od życia chrząszcza. Wszędzie rozbijali się jak wcieloné djabły. Nie poto, aby osiągnąć owe cele, za które ich później pochwałą w książkach historycznych, lecz aby wyładowywać swoje żywiołowe napięcie energii.

Gdyby nie odkrycie kolumbowe, podusiliby się w ciasnocie z braku przestrzeni, albo też w furji niszczenia roznieśli wszystko dokoła w gruzy.

Niewątpliwie moc jakaś magiczna ciągnęła Kolumba wciąż odnowa do Espanoli, niezależnie od tego, że nęcił go Zachód i domniemany w bliskości kraj wielkiego chana. Sercem był w Espanoli. Im dziksze panowały tam stosunki, im okropniej panoszyli się przybysze z Hiszpanji, im bardziej daremne były jego wysiłki, zmierzające do utwierdzenia porządku, im częściej robił miazdzące doświadczenie, że obecność jego powiększa tylko zamęt i podnieca kłótliwych awanturników do buntu i zwad, tem nieodparciej ciągnęło go do zaczarowanego miejsca. Jak-gdyby tkwiło w nim coś djabolicznego, co z całą gwałtownością pragnęło przyglądać się obrazowi upadku, scenom ludzkiego piekła i to właśnie w miejscach, dawniej tak czarownie pięknych. Uważał Espanolę za szczególnie mu od Boga przeznaczony i polecony fidei komis, zarazem za swoje dobra koronne, to też krwawe spustoszenia, których dopuszczały się rozpuszczone hordy chciwych łupieżców, raniły mu głęboko duszę. A jednak wyrzucił z własnej świadomości fakt, że to on sam przecież był sprawcą tego stanu rzeczy, że ulegał najzuchwalszym uroszczeniom jednej strony i był głuchy na najbardziej wzruszające błagania o pomoc drugiej strony. Tak czy owak, był ofiarą niesprawiedliwości, to tylko

widział i nic innego, we własnem sumieniu czuł się stale niewinny i wykręcał się od odpowiedzialności ucieczką do wyroków boskich. Lecz gdy woda sięgnęła mu aż po szyję, wszczął krzyk, nie czując się już bezpiecznie pod specjalną opieką niebiańską. W labiryntach jego duszy mieści się wszelkie dobro i zło, wszystkie nie i tak, wszelka zbożność i niegodziwość, ale nic nie dojrzewa do doskonałości.

Wyspa Espanola, później nazwana San Domingo, odgrywała w ostatniem pięcioleciu piętnastego stulecia niemal taką rolę, jak Kalifornja w połowie dziewiętnastego, i Alaska na początku dwudziestego stulecia. Europa wylewała na nieszczęsny kraj swoje szumowiny ludzkie, tysiące wykolejeńców, banitów i ludzi gotowych dla złota do wszelkiej zbrodni. Propaganda admirała odniosła wystarczający skutek. Bo, chociaż nie mógł przy trzeciej wyprawie zwerbować wyszkolonej załogi, jednak nie trzeba wyciągać z tego wniosku, że poszukiwacze złota i szczęścia byli odstraszeni losem rozczarowanych poprzedników. Idzie poprostu o to, że ludzie ci chcieli działać na własną rękę i nie podporządkowywać się dyscyplinie, obowiązującej we flocie królewskiej. Ponieważ jednak pod tym względem wydano surowy zakaz — zakazami szafowano wówczas w Hiszpanji równie rozrzutnie jak w wilhelmowskich Niemczech — więc niezliczone okręty skrycie wypływały z ojczystych przystani

i przewoziły potajemnie pasażerów na niezamieszkałe wybrzeża Espanoli. Przybysze, pozbawieni środków do życia i mieszkań, pojedynczo i bandami włóczyli się po wyspie, wszędzie szerząc przerażenie. Morderstwa, rabunki i podpalańia były na porządku dziennym. Niektórzy zabierali ze sobą w drogę worek skórzany z ryżem i mąką, szufle i łopaty, i to wszystko. Sądzieli, że wystarczy troszeczkę pokopać w ziemi, aby od razu natrafić na szczere złoto; gdy zaś nadzieje zawiodły, gdy rozpoczynały się ciężkie tarapaty, mszczono się na Indjosach, napadano na ich wioski, wyrzynano ludność, i wzorem regularnej soldateski dokonywano na jeńcach wszelkiego rodzaju wymuszeń. Szeregi tych maruderów zaczęły się wypełniać zbiegami z tak zwanych regularnych oddziałów, albowiem nieustannie wzrastało niezadowolenie z rządów braci Colón. Gwałtowny i okrutny Bartolomé, który podczas trzydziestomiesięcznej nieobecności admirała sprawował namiestnictwo, zmuszony był nieustannie walczyć z podstępными spiskami, które przyłada sposobności, zwłaszcza gdy chodziło o tereny złotonośne, wyradzały się w krwawe rzezie.

Bartolomé Colón, w skrócie zwany Adelantado, był w sytuacji niezbyt zazdrości godnej. Nietylko musiał wojować z buntowniczymi Hiszpanami ale i zmuszać do poddaństwa Indjosów, którzy całkowicie stracili już wiarę w boskość przybyszów i, zagrożeni w swej egzystencji, powoli zbroili się i przygotowywali do nie-

bezpiecznego powstania. Nie miał pieniędzy, a trzeba było wypłacać żołd urzędnikom, żołnierzom i robotnikom i naprawiać beznadziejnie zanarchizowaną administrację. Skarb hiszpański odmawiał mu wszelkiego wsparcia, słusznie obstając przy zasadzie samowystarczalności kolonii. Aby tę zasadę poczęści zrealizować, nałożono na plemiona tutejsze daninę, co stale doprowadzało do konieczności stosowania przymusu, i, co za tem idzie, do najgorszych wykroczeń. Z początku wdano się w zatarg z kacykiem Guarionexem z Vega realu, potem z wodzem Benenchio i jego piękną siostrą Anacaoną, wdową po zmarłym w niewoli Caonabo, która, jak się zdaje, była wybitną kobietą, dumną, dziką i mądrą, cieszącą się wśród Hiszpanów legendarną sławą.

Wojsko Bartolomégo — o ile niekarną zbieraninę opryszków można nazwać wojskiem — bardzo chętnie urządzało wyprawy wojenne na rżących koniach, ze sforami szczekających psów, z powiewającymi chorągiewkami i grzmiącymi trąbami. Miało jeszcze tę nad ludnością przewagę, że było kryte od tyłu pięcioma czy sześcioma warowniami, które Adelantado wciąż budował, aby utrzymać krajowców w strachu. Jeżeli idzie o osiągnięcie upatrzonego celu, to cała ta pompa i parada była daremna: złota nigdzie nie znaleziono. Zdobywcy mogli być zadowoleni, gdy dostawali daninę w postaci kukurydzy, bawełny i chleba kassave. Żoldactwo jednak i marynarze żadną miarą nie chcieli się tem

zadowolić, a sądząc, że Indjosi pochowali złoto w kryjówkach, z tak wściekłą natarczywością atakowali Adelandata, że nie miał rady, musiał pozwalać im na urządzenie naganek na Indjosów: dawna tradycja, ulubione igrzysko narodowe — przypomnienie ojczystej corridy i tysiącogłosego wrzasku: Mata le! Mata le! Aż byk pada i zdycha.

Jest to tylko jeden z niezliczonych sposobów postępowania. Dodajmy do tego pobożne krucjaty mnichów, z których szczególnie wyróżnili się furjają nawracania: eremita Roman Pane i franciszkanin Juan Borgoguon. Naogół, mając na względzie zaoszczędzenie sobie czasu, byli nastawieni na wytwórczość masową. Śpiewali wobec zdumionych Indjosów łacińskie litanje i msze, a gdy który jak papuga wypaplał wielokrotnie słyszane paternoster i ave maria, wylewano mu szybko na głowę konewkę wody — i tak odbywał się chrzest nowego chrześcijanina. W podobny sposób Roman Pane pozyskał dla kościoła szesnaście dusz: bardzo szanowanego Indjosa, u którego się zakwaterował, jego żonę, dzieci, braci i siostry. W dodatku Indjos ów wprowadził go do domu kacyka Guarionexa, u którego z początku miał powodzenie; kacyk pomógł mu nawet wybudować kościół. Gdy jednak Guarionex dowiedział się o aktach samowoli i wykroczeniach świętobliwych ojców, zabronił im dalszej działalności i przepędził ze swego państwa. Ledwo ci skryli się, mieszkańcy wioski

zajęli kaplicę, zburzyli ołtarz, obrazy i relikwie, i nie zostało śladu z malej świątyni. Zakonnicy, dowiedziawszy się o tem, oskarżyli całe plemię o świętokradztwo i bluźnierstwo. Adelantado zgodził się na sąd nad heretykami zapewne ze strachu, aby fanatyczni duchowni nie zadenuncjowali go przed inkwizycją—inaczej nawet trudno sobie wytłumaczyć jego zgodę, bo przecież zdawał sobie chyba z tego sprawę, że tego rodzaju krwawe postępowanie doprowadzi Indjosów do ostateczności. Okazało się wówczas, że w tym całym procesie niszczenia i despcji nawet silne charaktery działały jak marionetki. Tkwiła w nich jakaś iskierka piekielna i zdusiła resztki przyzwoitości, rozważi i człowieczeństwa. Oskarżonych Indjosów, przy zachowaniu surowo zastrzeżonych formalności, pociągnięto przed sąd, badano bez tłumaczy, w języku hiszpańskim, którego nie rozumieli, pytano o rzeczy, które były im niezrozumiałe, i, aby ich zmusić do zeznań, które również musiały być dla nich niezrozumiałe, zastosowano tortury przy pomocy nowych instrumentów, wynalezionych w Espanoli przez kilku gorliwych katolików. Następnie skazano ich na śmierć przez spalenie, i istotnie spalono ich żywcem na placu publicznym. Było to pierwsze autodafe w nowoodkrytym świecie. Wkrótce potem zdarzył się cud. Odnaleziono zrabowane przez Indjosów relikwie. Stało się to przy wyciąganiu rzep z pola, znajdującego się wpobliżu

miejsca zbrodni. Rzepy były dziwne. Nie miały zwykłych form — rosły w kształcie krzyża.

Wszystko to było tylko ponurym wstępem.

Bezpośrednio przed wyjazdem Kolumb wydał rozporządzenie, że Indjosi, którzy wpłacili prawie ustaloną daninę w złocie albo — jak się to działo w okręgach pozbawionych złota — w bawelnie (arrobę, czyli koło 24 funtów kwartalnie), mają nosić na szyi mosiężne znaczki, podobnie jak obecnie psy — opodatkowane numerki. Chciał przez to uchronić ich od niesłusznych i nadmiernych wymagań. Ale nie przeszkadzało to bynajmniej eksploatatorom śrubować wysokość daniny według własnego uznania: gdy zaś który z opodatkowanych nie był w stanie płacić, musiał dług odrabiać pracą na roli, co się nazywało pańszczyzną. W tym celu Kolumb, pragnąc wszystkich sobie pozyskać, za poradą rozmaitych pieczenia-ry, wystarał się od królowej o prawo nadawania dóbr. Tak zwane repartimientos stały się nie tylko powodem do straszliwych walk i uciążliwych procesów sądowych pomiędzy osadnikami, lecz uniemożliwiły Indjosom wszelkie inne wyjście z sytuacji poza walką na noże, bo za jednym pociągnięciem pióra bez dalszych ceregieli odbierano im pola, łąki i ogrody. Zamożni gospodarze musieli porzucić dom i dobytek i wywędrować niby żebracy. Nienawiść wspólna przeciwko łupieżcom i chęć skruszenia nieznośnego jarzma sprzymierzyła nawet plemiona, które od

wieków miały się ze sobą na pieńku. Gdy Adelantado wysłał swego tłumacza i przewodnika Indjosa do kacyka Mayobane'a, narazie jeszcze przyjaciela Hiszpanów, domagając się wydania Guarionexa, który znalazł u tamtego schron i opiekę, i grożąc, że w przeciwnym razie zniszczy jego włości ogniem i mieczem, otrzymał taką odpowiedź: «Powiedz chrześcijanom, że są źli, okrutni i krzywo-przysięscy. Niepotrzebna mi przyjaźń ludzi, którzy przelewają niewinną krew i grabią cudzy kraj. Guarionex jest moim gościem, będę go bronił do upadłego, niechże sobie generał przyjdzie i sam go weźmie, jeśli potrafi». Odmowa wodza, będąca dla Hiszpanów pożądanym pretekstem, pociągnęła za sobą wyprawę eksterminacyjną przeciwko plemionom z Vega realu a następnie i przeciw górskim szczepom z wnętrza kraju. Wyjeżdżając z Izabelli, Bartolomé Colón zlecił wszystkie sprawy bratu swemu Diego, nieudolnemu i nieśmiałoemu figurantowi (tak się bracia pokolei wzajemnie wysuwali). Partja malkontentów zdobyła poważne atuty, ponieważ wkrótce wyszły na wierzch najbardziej krzyczące braki. Wkońcu uknuto spisek, na czele którego stanął niejaki Francisco Roldan. Trzeba było za wszelką cenę obalić znieawidzoną władzę braci Colónów. Roldan był skończonym awanturnikiem. Ponieważ należał do nielicznej garstki umiejących czytać i pisać, więc admirał mianował go z początku alka-dem, potem naczelnym sędzią—Juez major—co zresztą wymagało dekretu Izabelli. Roldan nie

zdobył w nowoodkrytych krajach majątku, którego się spodziewał, w dodatku od miesięcy nie wypłacano mu żołdu. Gdy w administracji wszystko zaczęło się dziać naopak, Roldan uznał chwilę za stosowną do wypowiedzenia posłuszeństwa Adelantadowi. Ze wszystkimi stronnikami uciekł do Xaragui, gdzie zgromadził dokoła siebie nie tylko wszystkich hiszpańskich rokoszan i maruderów ale i zbuntowanych kacyków. Rozgłosił, że postępuje tak w imieniu i dla pożytku królowej, że właściwymi przestępcami są bracia z Genui, że oni są wiarołomni, oni wyssali prowincje i kraje. Zdobywszy broń palną i armaty z arsenału, zaczął oblegać fort Concepcion, w którym koncentrowały się główne siły Adelantada.

Tak się rzeczy miały w ulubionej Espanoli, gdy admirał w końcu sierpnia 1498 r. wrócił na wyspę. Natychmiast zawiadomił królowę o buniecie wznieconym przez Roldana. Admirał nie godzi się na żadne pertraktacje i nie przyrzeka żadnego przebaczenia (co było świadomą nieprawdą). Prosi, aby wywieziono Roldana do Hiszpanji, na sąd Ich Królewskich Mości. W formie zamaskowanego oskarżenia spycha zamęt w kolonji na te trudności, które mu czyniono przed wyjazdem. (Ale nie wspomina wcale o tem, że długie miesiące zmarnotrawił na poszukiwaniach rajy i państwa wielkiego chana). Piszze o skarce-niu nikczemnego Ximena Breviasca, snać przeczuwając, że wrogowie ukręcą z tego bicz przeciwko

niemu. Zarazem daje wyraz nadziei, że ani te ani inne drobiazgi, choć wyolbrzymione przez oszczerców, nie pozbawią go łaski królewskiej. (Wszystko się wokoło niego zachwiało, więc szukał na wszystkie strony oparcia). Dalej zapewnia, że przy pilności i pracowitości naturalne zasoby kraju starczyłyby w zupełności na opędzanie potrzeb osadników, ale oni są leniwi i wyuzdani. Gdybyż-to pozwolono mu z każdym wracającym do kraju okrętem odsyłać z powrotem ludzi niepotrzebnych i szkodników i zastępować ich dobrymi pracownikami. (Ale w takim razie nie powinien był żadną miarą brać ze sobą w podróż kajdaniarzy i galerników, a przecież czynił to, co prawda z rezygnacją). Prosił o uczonego prawnika, któryby mógł na miejscu Roldana spełniać funkcje naczelnego sędziego. (Nie można się chyba zdobyć na bardziej fałszywy krok: sam dawał wrogowi do ręki sztylet przeciwko sobie). Na zakończenie wyraża życzenie, aby mu jeszcze przez dwa lata pozwalano wywozić do Hiszpanji niewolników, a wzamian zobowiązywał się zasilać rynki hiszpańskie jedynie ludożercami, mordercami i buntownikami. Jedynie!

Mógł sobie admirał dowoli nakazywać Roldanowi i jego stronnikom powrót do Hiszpanji, kiedy ci ani myśleli go słuchać. Miał zamiar wysłać Adelantada na nowe poszukiwania do zatoki Perel, ale obecnie było to niemożliwe, musiał zachować w pobliżu wierne oddziały. Wkońcu zdecydował się wejść z Roldanem w układy

i w październiku napisał własnoręcznie list, w którym wypominał wszystkie wyświadczone mu usługi i dobrodziejstwa, zaklinał go, aby przez wzgląd na dobro ogółu zaniechał buntowniczych knowań, i prosił o przybycie, zaręczając słowem, zarówno jemu jak i towarzyszom, osobiste bezpieczeństwo.

Roldan wyśmiał propozycję i był o tyle zuchwały, że dyktował admirałowi warunki. Ządał ni mniej ni więcej — dymisji Adelantada (który dopiero niedawno został zatwierdzony przez dwór w tym tytule) zaś dla siebie — restrykcji w urzędzie i godnościach oraz dwu fortów i dwóch okrętów. Kolumb jednak, mimo wyzywającej arogancji tych uroszczeń, nie śmiał zrywać układów. Posunął się w ustępstwach tak dalece, że przyrzekł przywódcom buntu i wszystkim spiskowcom wydać dobre świadectwa i nadto zlecić urzędowi skarbowemu wypłatę zaległego żołdu za cały czas aż do przybycia do Hiszpanji; pozatem każdy stosownie do rangi miał otrzymać odpowiednią ilość niewolników, przy czem ci, którzy poślubili Indjanki, mogli je zabrać ze sobą jako niewolnice, albo poprostu zostawić na miejscu, co w gruncie rzeczy równało się unieważnieniu ślubu. Taki wreszcie układ podpisał Roldan i jego stronnicy pod fortem Concepcion. Ale zamiast z odpowiednią energją wyekwipować przyrzeczone okręty i pozbyć się czemprędzej niebezpiecznej bandy — admirał znowu już pełen optymizmu, poleca tę sprawę

swemu leniwemu i słabowolnemu bratu Diegu, sam zaś w towarzystwie Bartolomégo udaje się w podróż okrężną po wyspie, aby jak karcąca gospoia doglądać porządku. Prawdopodobnie łudził się nadzieją, że nie jest tak złe, jak mu to przedstawiano. Ale przekonał się rychło, że jest o wiele gorzej. Pola i ogrody zapuszczone; Indjosi porzucili osiedla i plantacje; gdziekolwiek pojawiał się admirał ze świtą, krajowcy pierzchali jak spłoszone ptaki; o regularnych daninach nie mogło być mowy, na terenach złotodajnych nie pracowano już wcale, doliny wyglądały jak zgliszcza, rozległe plantacje jak pobojoywiska. Admirał i wicekról z każdym dniem coraz bardziej przycichał, i, być może, w chwili jasności, zadał sobie pytanie, czemu, szukając wymyślnego raju, oddał ten raj rzeczywisty na pastwę łotrom.

Gdy po siedmiu miesiącach wrócił z podróży inspekcyjnej do Izabelli, spodziewał się zastać wiadomości o wylądowaniu Roldana w Hiszpanji i nawet o odbytych już sądzie nad buntownikami. Jakże był rozczarowany, gdy mu oznajmiono, że rokoszanie jeszcze nawet nie wsiedli na okręty, i że okazują groźniejszą niż kiedykolwiek postawę. Ponieważ admirał nie dotrzymał umowy, więc oświadczyli, że warunki przestały ich wiązać, i zrezygnowali z wyjazdu. Ponowne układy; spotkanie w przystani w Xaragui (a tymczasem był już sierpień). Kolumb zaprosił Roldana i jego świtę na pokład swego okrętu; myślał, że dość będzie jego gniewnego spojrzenia

i płomiennej mowy, aby rebeljant błagał go na klęczkach o przebaczenie; wszakże znalazł uporczywego i namiętnego przeciwnika. W wyniku burzliwej rozmowy, admirał—karykatura władcy i gubernatora — bity we wszystkich punktach, musiał podpisać następujący poniżający pakt: piętnastu stronników Roldana wróci do Hiszpanji, o ile da im bezzwłocznie karawelę; reszta zostanie w Espanoli i zamiast wciąż jeszcze niewypłaconego żołdu (Diego Colón, zgodnie ze swą naturą, zwlekał z wypłatą) dostanie tereny pod pola i ogrody na wieczne posiadanie; poza-tem zaświadczenia honorowe dla wszystkich, że postępowanie ich było nienaganne i że nie wyrządzili królewskim interesom żadnej szkody; i wreszcie ponowne zatwierdzenie Roldana w jego urzędzie z rezydencją w mieście San Domingo oraz publiczne ogłoszenie tych warunków. Gdyby zaś admirał nie wykonał, ograniczył lub naruszył jeden z punktów układu, Roldan i jego towarzysze mieliby prawo zgromadzić się i siłą domagać wykonania.

Roldan otrzymał dla siebie folwark królewski w Vega realu; pozatem Kolumb upoważnił go do zatrudnienia na przynależnych do folwarku rozległych terenach owych Indjosów, którym Alonzo de Ojeda w wyprawie przeciwko Caonabie poobcinał nosy i uszy: jako napiętnowani za opór buntownicy mieli oni służyć buntownikowi hojnie nagrodzonemu za rokosz. I cóż miały myśleć owe dzieci natury o europejskiej moralności?

Trudno zrozumieć, jak mógł Kolumb wziąć do ręki pióro i podpisać dokument, którym na wszystkie czasy pozbawiał się ludzkiego szacunku. Nie można tego kłaść na karb owej napół cierpiętniczej, napół wspaniałej rezygnacji, która opanowuje słabe natury w pewnych chwilach życia, i powoduje, że z miną bohaterską za jednym zamachem przekreślają wszystko, co zdolali osiągnąć. Całą swą istotą lgnął do władzy i, rzecz można, że zewnętrzne jej znamiona były dlań istotniejsze, honory i dyplomy ważniejsze niż praktyczne jej stosowanie, do czego brakło mu energii, woli i odpowiedniej postawy. Prawda, że w Hiszpanji nie jest lubiany i szanowany, że ludzie, na których liczył, zdradzili go. Przecież na doniesienie o rokoszu Roldana, wysłane królowej, dostał — zamiast upoważnienia do energicznego stłumienia buntu — pismo od biskupa Bajadoza, w którym ów oznajmia, że Ich Królewskie Mości narazie nie raczyły jeszcze powziąć decyzji i pragną uprzednio rozważyć, jak najskuteczniej zaradzić złemu. Ale w to właśnie nie wdawałby się żaden świadomy swoich celów i praw człowiek, nie mówiąc już o mężu powołanym do czynów, o przywódcy, o kierowniku, o odkrywcy świata. Czyż nie był raczej poetą, niż tem wszystkim? Czyż nie był ukrytym poetą i Don-Kichot z całym lękiem, z całą nieporadnością wobec rzeczywistości, właściwą poecie? Wzrusza to prawie że przedziwnie; wwikłany w tarapaty i złośliwy zamęt,

przyczyniając się, milczącą tolerancją i z nieudolnego kupieckiego wyrachowania, do wytępienia szlachetnej rasy, obniżając tedy chrześcijaństwo do frazesu i religię do kłamstwa, jednocześnie w sposób szczególnie usilny był zaprzątnięty planami odbudowy świątyni jerozolimskiej. Nie wiedział co czyni. Policzone mu to pewnie zostało przez Najwyższego Sędziego, i Bóg mu chyba przebaczył. Nigdy nie wiedział co czyni, ani w dobrem ani w złem.

Hiszpanja była szczegółowo poinformowana o wydarzeniach, które się rozegrały w Espanoli, i wrogowie Kolumba czynili wszechstronne przygotowania do jego upadku. Nie da się już, rzecz jasna, ustalić, kto mianowicie rył się pokryjomu i podkopywał, zapewne działała tu pokaźna ilość małych myszy i szczurów. Biskup Fonseca, zebrawszy przez swoich szpiegów dostateczny materiał przeciw zarozumiałemu Genuieńczykowi, uznał moment za właściwy do strącenia go raz na zawsze. Był to, tak się nam przynajmniej wydaje, człowiek trawiony bezprzedmiotową zawiścią, którego drażniła wszelka cudza zasługa — niezależnie od tego, czy działała z jego szkodą czy nie, pobudzała go do zajadłych prześladowań i nieprzejednanej mściwości. Dwadzieścia lat później był znowu i równie bezpodstawnie przeciwnikiem Fernanda Corteza i polecił jednemu ze swych przyboczników zamordować tego odważnego i nazbyt samodzielnego zdobywcę.

Kolumb pojednał się wprawdzie z Roldanem, ale ani jedna, ani druga strona nie miała uczciwego stosunku do zawartego układu. Admirał, do żywego rozjątrzony wymuszeniem, miał się jakoby wyrazić, że układ, podpisany na okręcie przez namiestnika mórz, nie obowiązuje na lądzie wicekróla. Perfidne słówko, którego dwujęzyczność nasuwa przeróżne refleksje na temat znieprawienia, czyhającego na pierwotnie szczere i rzetelne charaktery na niecnotliwych drogach polityki. Coprawda, gdyby miał talent i powodzenie, zostałby nietylko usprawiedliwiony ale i zasłużyłby sobie — taki już jest obyczaj tego świata — na podziw stuleci; w rzeczywistości zdobył sobie tylko politowanie, a przecież to za mało dla nieśmiertelności.

W następstwie rokoszu Roldana wybuchły inne zamieszki, admirał był zmuszony sprzymierzać się z Roldanem — zachował się nawet list, w którym wylewnie dziękuje mu za pomoc. Wszakże los jego był przesądzony, gdy poprosił królowę o wydelegowanie naczelnego sędziego, któryby pociągnął do odpowiedzialności buntowników za zdradę stanu. Roldan nie zasypywał gruszek w popiele, miał w Hiszpanji wpływo- wych przyjaciół, załatwiali jego sprawy na miejscu i składali zręcznie wystylizowane skargi, wobec których wzburzone i patetyczne pisma admirała sprawiały słabe i chaotyczne wrażenie. I tak oto został wysłany do Hiszpanji zauszni- k króla commendator Francisco Bobadilla z misją

uporządkowania stosunków na nieszczęsnej wyspie i ferowania wyroków. 29 sierpnia 1500 wylądował na San Domingo. Przywiózł ze sobą pełnomocnictwo, w którym oschłym tonem nakazywano admirałowi podporządkowywać się rozkazom królewskiego komisarza i wydać mu wszystkie fortece, wszystkie okręty i dobra koronne. Admirał znajdował się w Vega realu. Bartolomé w Xaragui, komisarz kazał natychmiast publicznie rozplakatować królewskie pismo, które go mianowało gubernatorem, zajął budynki rządowe, uwolnił więźniów, zajął też mieszkanie i majątek admirała, przywłaszczył sobie jego broń, jego konie, złote i srebrne naczynia, ba, nawet listy, papiery i książki; mianował nowych urzędników, proklamował powszechną wolność poszukiwania złota na lat dwadzieścia z obowiązkiem wypłacania koronie jedenastej części, zamiast dotychczasowej trzeciej, i przede wszystkim wypłacił zaległy zółd i pensje. Oczywiście Hiszpanie przyjęli go entuzjastycznie, jak zbawcę.

Zakonnicy, wierni admirałowi, pośpieszyli przestraszeni do Vega realu i poinformowali go o wszystkim. Napisał więc do Bobadilli jedną ze swych pompatycznych epistoł, pozdrawiał go i donosił, że gotów jest odrazu wyjechać i usprawiedliwić się przed królem. Jednocześnie jednak protestował przeciwko wkraczaniu w jego uprawnień. Wreszcie pojechał do miasta. Tu schwytali go żoldacy Bobadilli, zakuli w kajdany i zaprowa-

dzili do fortecy, gdzie już siedział uwięziony brat jego Diego i gdzie miał wkrótce przybyć Bartolomé.

Dwa miesiące upłynęły, zanim okręty z trzema braćmi mogły wyruszyć do Hiszpanji. W międzyczasie obchodzono się z nimi jak z przestępcami. Tyle czasu potrzebował Bobadilla, aby zebrać wszystkie skargi przeciwko Kolumbom, i akta znacznej objętości wręczyć rycerzowi Alonzo de Vallejo, który miał je przewieźć do Hiszpanji, a jednocześnie sprawować pieczę nad więźniami. Najważniejsze oskarżenie przeciwko braciom Kolumbom: że zmuszali hiszpańską załogę do ciężkich robót i bolesnych prywacyj przy skąpym wickie i surowych karach; że niesłusznie wojowali z Indjosami; że przeszkadzali dziełu nawracania, żeby niewolników mieć na sprzedaż; że admirał poukrywał perły i złoto, które zdobył w podróży do Paai, i że nie zawiadomił swych monarchów o nowych odkryciach, aby domagać się nowych przywilejów. Wszystko to razem brzmi jak satyra na przewód sądowy; zaś wieńczy ją twierdzenie, że bunty muszą być uważane za śmiały i legalny opór przeciwko tyranji admirała i jego krewnych.

«Nawet gwiazdy zwróciły się przeciwko Kolumbowi i jego braciom» — pisze dziejopis Herrera. Gdy Villejo udał się po admirała do więzienia państwowego, tłum na placu był tak dziko, że Colón sądził, iż mają go zaprowadzić na kaźń. «Villejo — zawołał w trwodze —

dokąd mnie chcecie prowadzić?» — «Na okręt, ekscelencjo!» — odpowiedział oficer. — «Czy mówicie prawdę?» — «Bóg mi świadkiem!» — odrzekł oficer, człowiek uczciwy, który, chociaż był w służbie biskupa Fonseca, oburzał się na niegodne traktowanie admirała. Również kapitan karaweli, Andreas Martin, litował się nad Kolumbem i przyjął go z czcią i troskliwością. Jeden i drugi chciał go przez drogę uwolnić z łańcuchów, ale sam Kolumb się na to nie zgodził. — «Ich Królewskie Mości nakazały mi pismem porządkować się rozkazom Bobadilli — rzekł — w ich imieniu zakuto mnie w kajdany, będę je więc nosił, dopóki nie każą zdjąć, a i wówczas przechowam je do samej śmierci jako nagrodę za moje zasługi».

Tak też uczynił. Obstawał przy swoich kajdanach, jak przy jakimś przywileju, jakgdyby chciał przekonać o czemś własny swój los. Nosił je przy lądowaniu w Kadyksie, nosił je również po przybyciu do Sewilli. Las Casas, kronikarz, który w tym czasie ukończył studja w Salamance i wrócił do swego miasta rodzinnego Sewilli, na własne oczy widział zakutego w kajdany odkrywcę nowego świata.

Te kajdany, rzecz niebywała, jakkolwiek się na nią zapatrywać, posłużyły w czasach późniejszych większości biografów za pretekst do romantycznej hiperboli i teatralnej przesady. Można się przecie i bez niej obejść. Fakt jest

bezsportny, i dość tego faktu, aby powziąć o ludzkiej wnikliwości i wiedzy najbardziej beznaziejną opinię. Potomność pragnie poprawić błędy współczesnych, ale żywy człowiek padł ofiarą, zaś hymny jej są cze i papierowe, a rehabilitacje — obłudną próbą zwaleni coraz to nowych win na barki zmarłych poprzedników.

Kolumb swoją występłą słabością zasłużył sobie na los, który go spotkał — powiadają surowi krytycy; wszakże tego rodzaju zjawisko, jakim jest odkrywca Ameryki — nie mówiąc już o tem, że społecznie nie da się wogóle sklasyfikować — wyrasta ponad swój czas i wymaga też innych nie przez ów czas uwarunkowanych moralnych probierzy; wszystko tu jest ogromne, wszystko przerasta ustalone przez przeszłość pojęcia, i wszelkie formułowanie poszczególnych cech może być zaledwie alegoryczne.

Co się działo we wnętrzu, w duszy Kolumba wiemy coś niecoś ze wspaniałej Carta al ama, listu do piastunki infantki, która w ostatnich latach była zapewne jego powiernicą. «Wielce czcigodna pani» — zaczyna — «jeżeli jest to nowość, że się skarżę na świat, to jest to zarazem prawdą starą jak świat, że świat lubi zapoznawać. Z całem okrucieństwem powalił mnie na ziemię i podeptał. Jedyne nadzieja w Tym, Który nas wszystkich stworzył, utrzymuje mnie na nogach. Bóg uczynił mnie zwiastunem nowego nieba i nowej ziemi i wskazał, gdzie ją znaleźć. Znalazłem, i oto niema czło-

wieka, aż po najnikczemniejszego, któryby nie usiłował mnie spotwarzyć. Gdybym ukradł Indje i podarował Maurom, nie mogłaby się Hiszpanja obejść ze mną bardziej wrogo».

Mocne słowa — w udrękach doznawanej krzywdy chory starzec staje się gniewnem bóstwem. Opisuje wszystko, co się działo na nieszczęsnej wyspie w tym czasie, gdy on odkrywał nowe kraje, złote góry (jakoby dla umiłowanej królowej) i znajdował biblijny raj; pisze, jak wrócił i chciał pogodzić zwaśnione stronnictwa, i jak go oszukano, jak każdy nadużywał jego zaufania; jak brzydko odwzajemnili mu się ludzie, którzy mu zawdzięczali szczęście, sławę i bogactwo; jak rzucano nikczemne podejrzenia na czystość jego intencji. «Nie pojmuję tego» — pisał — «jak można uważać mnie za takiego głupca: czyż nie rozumiem, że nie mógłbym się utrzymać w Indjach, gdyby nawet były moją własnością, bez monarszej opieki? Ale jeśli tak jest w istocie, to u kogóż mógłbym znaleźć lepszą opiekę i lepsze poparcie niż u króla i królowej, którzy mnie z nicości wynieśli?».

Teraz rozwodzi się szczegółowo nad haniebną krzywdą, która go spotkała, i nad osobą Bobadilli. Jego oburzenie to wybuch krateru. «W ciągu sześciu miesięcy szykowałem się zawieźć Ich Królewskim Mościom dobre nowiny o zlocie, i przestać rządzić hałastą, która w swej nikczemności i bucie wzgardziła królową i królem. Potrzeba mi było sześćdziesięciu tysięcy mara-

wedów, a miałbym cztery miliony z samej die-
sięciny, wszakże podano mnie w taką niesławę,
że, gdy budowałem kościoły i szpitale, powiada-
no, że buduję jaskinie dla złodziei. Byłem dwa
lata w Hiszpanji, niczego nie żądałem, nic nie
dostałem ani dla siebie, ani dla tych, którzy
ze mną przybyli, a przecie biskup Fonseca na-
bił swoją kiesę, nie prosząc i nie fatygując się
zgola. Jakieżby to było źródło dochodu, gdyby
Ich Królewskie Mości mogły opodatkować wszel-
kie pogłoski, które o mnie krążą. Wiedzą prze-
cie, jaki trud sobie zadawałem, aby zabezpie-
czyć ich własność i panowanie; twierdzę również,
że nie ciągnąłem z tego żadnej korzyści. Gdy-
byż to przynajmniej moje dobre imię i mój honor
był zrehabilitowany. Bogiem się świadczę, nie
rozumiem, dlaczego mnie uwięziono. Pierwszem
dziełem Bobadilli było przywłaszczenie sobie
złota, które zebrałem—zabrał je bez miary i wa-
gi w mojej nieobecności. Powiada, że chce wy-
płacić zaległy zółd, ale—jak mnie zapewniano,
większą część zachował dla siebie. Odłożyłem
kilka próbných kawałków złota, chciałem ucie-
szyć Ich Królewskie Mości, aby mogły ocenić
doniosłość mego przedsięwzięcia. Były tam między
innemi ziarna złota, wielkości kurzych i gęsich
jaj. Bobadilla skonfiskował to złoto, aby Ich
Królewskie Mości nie mogły ocenić wartości
moich odkryć. Jeśli Ich Królewskie Mości każą
sobie zdać z tego sprawę, to prawda wyjdzie
nawierzch. Nie można się czuć bardziej dotknię-

tym niż ja: moim sędzią mianowano człowieka, który wiedział doskonale, że wystarczy mnie oczernić, aby zająć moje miejsce. Osądza się mnie niby gubernatora cywilizowanej prowincji, którą można rządzić wedle ustalonych praw. Potępia się mnie, jakgdybym był wojskowym, który źle dowodził powierzoną sobie armją, gdy wistocie z żołnierzami nic tam nie można począć, ponieważ ludność żyje w rozsypce po lasach. Mam być osądzony, jako pierwszy lepszy awanturnik, który przez lata całe nie wypuszczał broni z rąk, a przecież w Indjach, gdzie niema miast, a układy nie mają znaczenia, niepodobna żadną miarą postępować wedle importowanych zwyczajów. Droga do złota i pereł jest otwarta. Obym był tak pewny, że już nic złego mi się nie stanie, jak pewny jestem, że urzeczywistnia się wszystko, o czem z pierwszej wyprawy pisałem do Ich Królewskich Mości. Wiem dobrze, popełniłem różne błędy, ale świadomie nigdy nie chciałem postępować niesprawiedliwie. Ich Królewskie Mości przekonają się o tem rychło. Wszystko położą na szalach, jak w dniu sądu wedle Pisma Świętego złe i dobre będzie odważone. Bobadilla, przybywszy do San Domingo, ulokował się w moim domu i zabrał wszystko, co tam znalazł. Mógł tego potrzebować, ale przecież żaden korsarz nie obszedł się tak nigdy z kupcami i ich mieniem. Najbardziej mnie boli, że zabrał mi moje papiery, żadnego nie zwrócił, i ukrył dokumenty, których najbardziej

potrzebuję do obrony. Przekonajcie się zatem sami, co to za sprawiedliwy sędzia, jaki honorowy człowiek! Ale Bóg, nasz Pan, jak dotąd trwa w potęgze swej i mądrości, i ukara nie wdzięczników. Tylko to wiem na pewno, że prawie żaden z wychodźców do Indyj niegodzien jest łaski chrztu. Rzecz to niesłychana, aby człowiek, którego wysłano w celu przeprowadzenia śledztwa, zwoływał zdrajców i buntowników i wystawiał ich jako świadków przeciwko człowiekowi, który nimi rządził. Jeśli się to wszystko weźmie pod uwagę, wypada się dziwić, iż wyspa Espanola nie została jeszcze pochłonięta przez morze. Choćbym nawet nie uniknął sądu, przecież Ich Królewskie Mości będą zmuszone przyznać, że wyświadczyłem Im niezmierzone usługi, podobnie zresztą jak Oni swojemu poddanemu — a czyniłem to w głębokiej dla Nich miłości, jak to powinno być, bo gdzie niema miłości, tam wszystko przestaje działać».

Oto wymowa, której siły żywiołowej nie mogły osłabić stulecia.

I N D Y J S K I E I N F E R N O

List oczywiście zwracał się pośrednio do królowej, i donna Juana della Torre doręczyła go natychmiast swej pani. Odniósł odrazu zamierzony skutek. Królowa ku swemu najwyższemu oburzeniu dowiedziała się dopiero teraz, jak źle obchodzono się z jej admirałem, a król dla przyzwoitości musiał udawać zdumienie i gniew z powodu «niewłaściwego» zrozumienia jego rozkazów. Najbardziej przykre było ogromne wzburzenie, jakie w całej Hiszpanji i poza jej granicami wywołało przybycie zakutego w kajdany Wielkiego Admirała i Wicekróla. Ze względów prestiżowych trzeba było obrażonemu odkrywcy jak najprędzej udzielić zadośćuczynienia. Zaproszono go do dworu do Granady — na koszt podróży dla siebie i dla braci dostał dwa tysiące dukatów.

Jego pojawienie się na dworze królewskim zostało przekazane pamięci wieków przez kwiecistych historyków w postaci tyleż wzruszającej, co zakłamej scenki w stylu budujących książek z obrazkami. Gdy więc królowa ujrzała tego starca, budzącego szacunek samą swą powierzchow-

nością — biała głowa, zorane zmarszczkami czoło i szlachetna postawa — wybuchła pono płaczem. Kolumb, który zwykł o sobie twierdzić, że w ciężkich walkach życia znosi z dumą pogardę, potępienie i oszczerstwa, w tej godzinie stracił władzę nad sobą, rzucił się do nóg królowej i wśród łkań długo nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Poczem król podniósł go własnoręcznie i pocieszał miłościwemi słowy.

W tem wszystkim niema krzty prawdy. Hernando Colón, który puścił w kurs większość upiększających legend o swoim ojcu, nic nie wspomina o tego rodzaju zdarzeniu, a przecież nie pominąłby tak wzruszającego melodramatu, gdyby miał najniklejsze ku temu podstawy. Zadowala się uwagą, że para królewska przyjęła admirała w Granadzie z widoczną dla wszystkich przychylnością, zapewniając go, iż uwięziono go pomimo ich wiedzy i woli. Cała reszta jest głupawą sielanką w stylu pisarzy w rodzaju Kotzebuego, nalepioną na wspaniale posepną epopeję, niby oleodruk na heroicznym fresku.

Tyle w tem prawdy, że wysłuchano jego skarg i żalów i obiecano mu rozsądzić rzecz sprawiedliwie. Własność jego miała mu być zwrócona, poza tem obiecano go ponownie zatwierdzić w urzędach i godnościach. Tak go zapewniano. I Kolumb uwierzył. Wierzył, że król i królowa, w dniu, w którym się przekonają o jego prawości i dobrych intencjach, mianują go zpowrotem wicekrólem, a wówczas

będzie mógł w triumfie wrócić do Espanoli. Nieszczęsne, naiwne złudzenie — załamał się nawsze, gdy to sobie uświadomił. Ta wprost dziecięca nieświadomość świata i życia sprawiała, że mógł się obnosić ze swoim optymizmem, niby trzepoczącą flagą, nawet wówczas, gdy wszystko go porzuciło i gdy — mówiąc trywialnie — żaden pies nie wziąłby z jego rąk kęsa chleba. Królowa — wydawało mu się — unosi się nad nim niby anioł błogosławiący, siebie uważał za męczennika, którego cierpienie żadna nagroda ziemská nie okupi, zaś dokonane przezeń odkrycie było w jego oczach największym czynem, jakiego człowiek śmiertelny kiedykolwiek dokazał i dokaże. Tak, był męczennikiem, odkrycie jego było wielkiem dziełem, wszakże oślepiiony swoim wrzekomem posłannictwem, ogłuszony manją swej wyłączności, zatracił całkowicie wszelką zdolność do trzeźwego sądu, wszelką zdolność do porównań, wszelką duchową miarę i wagę.

Liczne odkrycia, które w tym czasie dokonywały się pod portugalską i angielską flagą, w najwyższym stopniu zaniepokoiły króla Ferdynanda, Jego nienasycona chciwość stopiła się z dręczącą zazdrością. Dotychczas wydawało mu się, że jedynie Hiszpanja ma wyłączne prawo do odkrywania krajów oceanicznych i do wyzyskiwania ich zasobów, aliści teraz zjawili się inni konkurenci, inne narody, chciwe udziału

w eksploatacji złota. Przecież to On był Hiszpanją, On — pasożyt i strażnik, i jeżeli inni mieli stamtąd jakie korzyści — kilku magnatów, jakiś anonimowy ludek — to tylko z jego królewskiej łaski.

Gdy przed ośmiu laty podpisywał układ, zawarty z Genuńczykiem, nie spodziewał się bynajmniej, że tak niezmierzone obszary przybędą jego państwu. Z wyżyn swej dumnej niewiedzy uważał całe przedsięwzięcie za spekulowanie na łatwowierności królowej. Obecnie, w pełni posiadania, uroił sobie, że Kolumb tym układem podszedł go i oszukał — to też każde nowe odkrycie admirała, zamiast potęgować jego wdzięczność, podsycalo tylko jego gniew i ubolewanie, że dał się swego czasu wyzyskać przez kutego awanturnika i skłonić do takiego głupstwa, jakim jest ów podpisany pakt.

Jak się unieważnia tego rodzaju karygodny i zbyt pochopny postęp? Rzecz jasna, środków nie brak. Przedewszystkiem można ukuć posądzenie, że admirał w tajemnicy knuje zdradę: że chce założyć własne, niezależne państwo; rzecz zupełnie prawdopodobna przy jego obłędnej ambicji; afera Roldana dostarczy sporo haczyków, jeżeli się ją podda rzeczowej analizie zręcznych prawników. Kolumb mógł zresztą zmierzać do wydania nowoodkrytych krajów innemu monarsze, aby zapewnić sobie większe korzyści; również i na to mogą się znaleźć punkty zahaczenia. Trzeba tylko puścić najsłabszą aluzję, a tuziny usługnych pochlebców pokwapią się

niechęć królewską uzbroić w gotowe dowody. Ale tak dalece nie chciałby się posunąć, z pewnych względów nie należało się ważyć na taką ostateczność. Tymczasem jednak nie ma najmniejszego zamiaru ponownie nadać urząd wicekrólewski i naczelne dowództwo temu żadnemu władzy człowiekowi, niezależnie od tego, czy ma zasługi, czy nie, czy winien jest czy nie winien.

Przedewszystkiem jedno wchodzi tu w rachubę: Colón nie jest już niezbędny. Był tyle pożyteczny, że odkrył nowe Indie. Za to nagrodzono go odpowiednio, może nawet ponad zasługę, a poza tem zdobył sobie nieprzyzwoitą—ze stanowiska absolutnego władcy—sławę. Tak jak obecnie rzeczy się mają, każdy najzwyczajszy kapitan może dokazać tego samego, co on. Pod kierownictwem Kolumba wychowała się cała plejada dzielnych żeglarzy, którzy nabyli doświadczenie w jego wyprawach. Wielu oblega Urząd Kolonjalny, proponując wyekwipować wyprawę własnym kosztem; Pedro Alonzo Nino i Vincento Pinzon zrobili to i oddali koronie pokaźną część swoich dochodów. Z jakiej racji ma się udzielać książęcych godności i niebezpiecznych przywilejów za usługi, jakie codziennie gotowi są oddać za darmo rozmaici dzielni ludzie? Pewnie, że trudno jest bez ceremonji odsunąć i dymisjonować człowieka o tak czczonym nazwisku; trzeba go zatem trzymać przy sobie i pocieszać, wszcząć śledztwo, wyznaczyć ter-

miny, odwlekać je, jak to się w takich razach zwykle robiło i robi. Król ma stosunkowo wolną rękę, Izabella, jak się zdaje, nie chce się już wogóle wtrącać do spraw kolonialnych, wciąż choruje, ciężkie ciosy, śmierć syna, oblęd, grożący córce, przyćmiły jej ducha i sparaliżowały wolę.

Mówi się więc admirałowi, że w Espanoli nadal trwają kłótnie, że jego powrót może tylko wzniecić nowe zwady, nie mówiąc już o tem, że osobiście może być narażony na szwank. Bobadillę złoży się z urzędu, a na jego miejsce wyznaczy się narazie młodszego, energiczniejszego urzędnika, który potrafi pohamować nadużycia i oczyścić wyspę z awanturniczej hołoty. Zaś tymczasem Colón powinien się oszczędzać i dbać o siebie; skoro tylko sprawy zostaną uporządkowane, przyjdzie czas na niego, i wówczas utwierdzi go się w dawnych godnościach.

Musi się tem zadowolić. Wysłuchuje z bezwładnem wejrzeniem; stale to samo, kanclerz mu to mówi, minister kolonij, arcybiskup, powtarzają to szambelani, sędziowie — musi milczeć i czekać — i polykać upokorzenia. Bobadilla został istotnie odwołany, następca jego, Nicolas de Ovando, komendant Laresu, rycerz orderu Alcantary, człowiek o rudej czuprynie i rudej brodzie, usłużny dworak, bigoteryjny katolik, uchodzi za mądrego, doświadczonego administratora. Wszakże o miejscowych stosunkach nie miał najmniejszego wyobrażenia, jak się to

w krótkim czasie okazało, albowiem za jego namiestnictwa zostało ostatecznie dokonane to, co Cristobal Colón mimowoli rozpoczął: wyłączenie Indjosów. Poza tem później, gdy Kolumb znalazł się w najbardziej rozpaczliwej sytuacji swego życia, Ovando zachował się jak ostatni łotr.

Skazany na przygnębiającą bezczynność, czekając z miesiąca na miesiąc na sprawiedliwe orzeczenie, admirał w roku 1501 napisał w Sewilli ową «Księgę prorocstw», która świadczy, że w owym czasie był całkowicie pogrążony w religijnym mistycyzmie. Przypomniał sobie uczyniony dawniej ślub, że w ciągu siedmiu lat po odkryciu Nowego Świata wystawi pięćdziesiąt tysięcy pieszych i pięć tysięcy konnych żołnierzy, aby wydrzeć święty grobowiec z rąk niewiernych. Termin upłynął, ślub nie był spełniony, Nowy Świat ze wszystkimi swemi skarbami nie tylko nie dał zysków, ale wręcz przeciwnie naraził na kosztą, a on sam nie mógł myśleć o wystawieniu wojska — biedny, opuszczony i złożony ze wszystkich urzędów. Aby przynajmniej zagrzać króla i królową do pobożnej akcji, wybrał z Biblii, z pism ojców kościoła, świętych i filozofów wszystkie miejsca, które mogły się odnosić do nawrócenia pogan i zdobycia Jerozolimy, nie wyłączając najbardziej spornej aluzji. Wykorzystał szkic, który napisał był przed dwoma laty na San Domingo,

przy pomocy uczzonego kartuza skleił to wszystko w mocny system, który urósł do rozmiarów pokaźnego tomu, i doręczył swoje opus parze królewskiej, dołączając rozwlekły list, w którym żarliwa namiętność walczy o palmę pierwszeństwa z politowania godną naiwnością, a który, jak większość elaboratów swego autora, dowodzi, że poziom jego wykształcenia był nawet jak na owe czasy szczególnie niski. Istna obskurancja hiszpańska.

Zaklina więc monarchę, aby nie odwlekał krzyżowej wyprawy, albowiem obecny układ świata będzie bardzo krótkotrwały. «Święty Augustyn poucza nas — pisze — że koniec świata nastanie w siedem tysięcy lat po jego stworzeniu. Potwierdza to kardynał Pedro de Aliaca. Wasze Królewskie Mości wiedzą, że od Adama do Narodzenia Chrystusa liczy się pięć tysięcy trzysta czterdzieści lat i trzysta osiemnaście dni. Otóż od Narodzenia Zbawiciela upłynęło już piętnaście set i jeden rok, ergo świat istnieje już sześć tysięcy osiemset czterdzieści sześć lat. A zatem do końca świata pozostało sto pięćdziesiąt pięć lat».

Gdyby nie te obskurne igraszki, strawiłaby go niecierpliwość. Całą potężną siłą swego ducha walczył ze schorzałym ciałem i uciążliwościami starości. Sensacją dnia stało się wówczas okrążenie przez Vasco de Gamę przylądka Dobrej Nadziei, i odkrycie drogi morskiej do Wschodnich Indyj; wszyscy mówią tylko o skarbach Kalkuty,

o bogactwach Hindostanu. Opowiada się, że i on, a po nim Alvarez Cabral, wrócił obładowany perłami, srebrem, złotem, bursztynami, kością słoniową, porcelaną, jedwabiami, szlachetnymi gatunkami drzew, żywicą i korzeniami we wszelkich rodzajach. Tu Kolumb pokazał się w pełnym blasku swej nieomyślności. Nie jest tem wszystkim ani zmiażdżony ani nawet strapiony, nie dręczą go wątpliwości, czy aby obrana przezeń marszruta była właściwą drogą do Indyj. Nie wpada mu to nawet na myśl. Wręcz przeciwnie, odrazu snuje plany nowej podróży, która ma zaćmić zarówno odkrycia Vasco de Gamy jak i jego własne dawniejsze eksploracje. Nie niepokoi go fakt, że Florentyńczyk Vespucci natknął się w międzyczasie na ogromny ląd stały, który żadną miarą nie może być Azją. Nie chce nic o tem wiedzieć. To nieprawda. Niema dlań innego stałego lądu poza azjatyckim. Musi tam dotrzeć, za wszelką cenę, wszystko jedno jakimi środkami, inaczej żył nadaremnie i nadaremnie żeglował po morzach. W podróżach dotychczasowych przejechał wszczególnie i wzdłuż morze Karaibskie i ustalił prawie z pewnością, że prądy morskie prowadzą do cieśniny morskiej, przez tę cieśninę musi istnieć przejazd, i ten właśnie przejazd musi go zaprowadzić do Indyj. Niema co nad tem mędrkować, fakt ten jest równie pewny jak wszystkie inne, które był przewidywał, a które się sprawdziły.

Przedkłada ten plan; kreśli dokładne mapy i przedstawia je. Wprawia wszystkich w za-
kłopotanie. Zdawało się, że pozbyto się natręta,
a tu znowu przychodzi z nową propozycją.
Jak go zbyć, skoro potrafi dziurę w głowie
wywiercić swoją elokwencją. Wysuwa się te
i owe zastrzeżenia. Pieniądzy niema, w kasach
Aragonu i Kastylji pełny odpływ. Nie szkodzi,
odpowiada, sam zbiorę pieniądze. Tak, ale spra-
wozdania Ovanda jeszcze nie nadeszły, od nich
zależy — musi to przecie zrozumieć — czy go się
już obecnie powoła do służby. Ale i o tem nie
chce słyszeć. Pozwólcie mi tylko rozmówić się
z królem, powiada. Ma jeszcze kilku przyjaciół,
którzy wien wierzą, uzyskują dlań posłuchanie
u króla. Nigdy jeszcze wymowa jego nie była
tak sugestywna, płomień jej tak porywający,
dowody tak bijące, jak na tej audjencji u Fer-
dynanda. Niewiadomo jednak, czy pozyskał i prze-
konał króla. Być może, że króla skusiła per-
spektywa odkrycia bliższej i pewniejszej drogi
do Indyj, niż ta, którą znaleźli Portugalczycy.
Być może, że z tego względu skłaniał się ku
projektowi i aprobował go, co prawda nieodrazu.
Prawdopodobniejszą jest rzeczą, że poprostu
chciał się pozbyć uprzykrzonego natręta, którego
swady i zacieklego fanatyzmu lękał się potrosze;
nędzne okręty, które Kolumbowi tym razem
dano, ich absolutnie niewystarczający ekwipu-
nek, nasuwają posądzenie, że chciano i spodzie-
wano się w ten sposób usunąć go gruntownie

i na zawsze. Były to cztery małe karawele, od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu ton każda, z załogą liczącą ogółem sto pięćdziesiąt osób. (Rzecz dziwna: okręty wciąż odnowa grają rolę szkapy Rosynanty). Liche barki mogą się znaleźć w niebezpieczeństwie przy ledwo wzburzonym morzu, nie trzeba aż burzy. Raz przecie wedle ludzkiego wyrachowania przeznaczenie (zwłaszcza jeśli mu trochę dopomóc) musi dopaść niepokojnego szperacza mórz, który je—w czczej żądzy sławy—tyle razy wyzywał. Jeśli ta występna kalkulacja nie jest fikcją, a przyznać trzeba, że trudno ją o to posądzać, to daje ona jedyne wytłumaczenie tej okoliczności, że król, mimo nieukrywanej awersji do admirała, odnowił wszystkie zawarte z nim układy. Zgodził się nawet w razie konieczności potwierdzić te przywileje synowi jego Diego: Kolumb może zatem w spokoju i ufności wyruszyć. Z tak młodym, całkowicie od łaski dworu zależnym człowiekiem król oczywiście łatwiej sobie poradzi niż z jego nienasyconym i wiecznie mantyczącym ojcem. Dzisiaj niepodobna osądzić, jakie rezerwy i kruczki ukrywały się za łaskawym reskryptem. Hiszpańskie formy życia i konwencje ówczesne były absolutnie nieprzeniknione i zagadkowe. Kolumb zaś mógł się rychło dowiedzieć, jak bardzo mu nie ufają: stanowczo odmówiono jego prośbie, aby mu wolno było zatrzymać się w Espanoli.

Nie oddawał się fałszywym nadziejom. Odpowiedział nieufnością na nieufność. Ze wszystkich

kontraktów, koncesyj i przywilejów, w których był wymieniony jako wielki admirał, wicekról i gubernator Indyj, kazał sporządzić podwójne kopje, uwierzytelnione przez alcada sewilskiego, dołączył odpisy swego listu do donny Juana della Torre, oraz podwójny egzemplarz pisma do banku genueńskiego, w którym przeznaczał dziesiątą część swoich dochodów na zmniejszenie tamtejszych cel zbożowych (zręczny manewr: w ten sposób zobowiązał swoje miasto rodzinne do obrony swoich praw i interesów), i przesłał wszystkie dokumenty swemu przyjacielowi lekarzowi Nicolo Oderigo, dawnemu posłowi Genui przy dworze hiszpańskim, z prośbą, aby przechowywał je w bezpiecznym miejscu. Dzięki tej przewidującej przezorności, dokumenty owe dochowały się do naszych czasów. Jeden egzemplarz odpisów był w 1816 r. znaleziony w bibliotece senatora hrabiego Cambiasa i w pięć lat później spoczął w urnie, zdobiącej pomnik Kolumba w Genui.

O czwartej i ostatniej podróży Kolumba trzebaby tomy całe spisać, żeby dać przybliżone pojęcie o jej niebezpieczeństwach i przygodach. Gdy się tu i owdzie po różnych kronikach czyta urywki z relacji samego Kolumba (ta relacja to zresztą chaotyczna, niezrozumiała i starcza ramota), i to, co Diego Porras, notariusz, jako świadek naoczny melduje, i wreszcie co Diego Mendez, niezwykle wierny towarzysz admirała,

skąpo i sumiennie opowiada w swoim testamencie — skóra cierpnie ze zgrozy w czterysta lat po tych wydarzeniach. Trudności były tak straszliwe, że podziwiać można, jak ci ludzie potrafili je znieść, jak się uchronili od śmierci samobójczej, zwłaszcza on sam — ten chory, sterrany, przedwcześnie postarzały i złamany wódz. Głód, zarazy, straszliwe niekończące się burze, dręczący skwar, katastrofy, rozprzęgnięcie wszelkiej dyscypliny, zdrada ze wszystkich stron i desperacka nienawiść wszystkich względem wszystkich czynili z tej wyprawy istną podróż po piekle.

Czytając o tych przygodach, można byłoby sądzić, że ma się przed sobą efektownie nagromadzone plody próżniaczych mózgów — gdyby najzupełniej pewne źródła nie potwierdzały tych faktów. Albowiem znajdzie się tu wszystko, co od stuleci działa na zmysły prymitywnych amatorów dreszczów i pozbawia ich tchu: dzika pustka morza, nieoczekiwane zmiany losu z grozą śmierci i z niespodzianem ocaleniem, sterowanie w nieznane, i rozbicie okrętu o zagubione wyspy. Wydarzenia te weszły pokoleniom w krew i ciało, zapalały wyobraźnię młodzieży i zagrzewały do czynów — to też będąca u ich podstaw rzeczywistość stała się niemal beztreściwa i przestała uchodzić za realną. Ale przecież w tej dziedzinie nie istnieją żadne wynalazki, i zapewne nic tu wogóle nie można wynaleźć; wszystko, co dla ducha ludzkiego staje się obrazem,

musi się gdzieś i kiedyś rzeczywiście dzieć i tylko w dalszej kolej, wskutek nadużycia i schematyzowania, ulega deformacji, staje się martwe i kłamliwe. Tak więc i historia Robinsona Crusoe musiała kiedyś być prawdziwym zdarzeniem. A że liczba wątków życiowych, mitycznych, dziejowych i romantycznych, jest stosunkowo ograniczona, więc niektóre przybierają formę typową i podlegają warjacjom tak długo, dopóki nie usychają i obumierają. Ostatnia podróż Krzysztofa Kolumba jest bardzo istotnem przeżyciem tego typu, podstawowym wątkiem, z którego powstało wiele poezji, legend i, niestety, również nieczystej przędzy zmyśleń.

Admirał zabrał ze sobą w podróż dwie zaufane osoby: swego brata Bartolomégo, obecnie już nie Adelantada, lecz zagniewanego kandydata do piastowanych niegdyś urzędów, i swego trzynastoletniego syna Hernanda. Niepojętą jest rzeczą, czemu narażał życie własnego dziecka, boć przecie znał ryzyko wyprawy, znał możliwe okropności, znał stan okrętów. Cóż więc powodowało Kolumbem? Może mu przyświecał zamysł pedagogiczny — pragnął wychować syna na swego zastępcę, na bohatera? Wiadomo, że kochał bardzo ten owoc namiętnego związku, być może jedyne w jego życiu; jego decyzja nie mogła zatem wynikać z bezmyślnej lekkomyślności czy poprostu z surowych zasad

wychowania. Widzę tylko jedno przemawiające do przekonania wytłumaczenie: czuł się bardzo samotny, bardzo nierozumiany; brakowało mu jakiegokolwiek ciepła ludzkiego, podziwu, starań i opieki, a nawet pobłażliwości; mieć przy sobie w krytycznej fazie swego życia istotę, najbliższą jego sercu, i zarazem dać jej przykład wielkości w znoszeniu i przewyciężaniu wszelkich przeciwności, zesłanych z nieba: te może względy — w przeczuciu bliskiego końca — uczyniły admirała głuchym na głos rozsądku i troskliwości. Zwłaszcza, że w głębi jego świadomości wciąż jeszcze tliło przeświadczenie, iż Bóg zaprowadzi go do upragnionego celu, przed którego osiągnięciem nic złego przecie nie może go spotkać.

Doręczone mu instrukcje nakazywały wziąć na pokład jedną albo dwie osoby, znające język arabski (a to gwoli porozumiewania się z tubylcami po przybyciu do Azji), i jak najprędzej, drogą najprostszą jechać na Wschód, pod żadnym pozorem nie zatrzymując się, jak jeszcze raz podkreślono, w Espanoli.

Lądowanie w Espanoli okazało się jednak nieuniknione, albowiem serja szczególnie silnych burz do takiego stopnia uszkodziła jeden z okrętów, że admirał chciał koniecznie zamienić go w San Domingo na inny. Gdy jednak zbliżył się do wyspy na odległość widzenia i wyjątkowo uprzejmym listem poprosił Ovanda o za-

mianę karaweli, gubernator z całą stanowczością zakazał mu lądowania. To też Kolumb mógł tu zostawić tylko paczkę listów, zaadresowanych do Hiszpanji, i znowu musiał się zawierzyć spienionemu morzu. Píše o tem, jak następuje: «Który człowiek, nie wyłączając nawet Hioba, nie wolalby umrzeć z rozpaczcy w takiej sytuacji, w jakiej ja się znajdowałem. Byłem w strachu o własne życie i o wiele bardziej o życie mego brata i syna jako też wszystkich moich towarzyszy. O, zamknąć mi dostęp do kraju i przystani, którą ja sam z pomocą Bożą w krwawym pocie zdobyłem dla króla! Osiemdziesiąt dni bez przerwy miotał mną tak straszliwy orkan, że przez cały ten czas nie widziałem ani słońca, ani gwiazd, okręty były podziurawione, żagle podarte, kotwice, liny i większa część zapasów stracona. Trwogą i rozpaczą ogarnięci marynarze ślubowali, że pójdą do klasztoru, i często zdarzało się, że jeden przed drugim się spowiadał. Chwilami stałem u furtki śmierci, wydawałem rozkazy z małej komórki, którą kazałem sporządzić na pokładzie, brat mój znajdował się na najgorszym okręcie, co mnie szczególnie martwiło, zwłaszcza że namówilem go do podróży wbrew jego woli. Ta myśl, że po dwudziestoletniej wyniszczającej służbie musiałem zabrać ze sobą swoje dziecko, ponieważ w całej Hiszpanji nie mogę ani jednej dachówki nazwać swoją, wskutek czego zmuszony jestem zatrzymywać się w gospodach, gdy chce mi się jeść

albo spać, a przytem często i na to mi brak pieniędzy — ta myśl wydziera mi serce z pomiędzy żeber».

Powody zabrania w podróż syna, które tu podaje, chcąc się zapewne usprawiedliwić przed możliwemi zarzutami — nie mają żadnych podstaw i dają próbkę iście kolumbowej przesady. Wrócimy do tego później. Bądź co bądź daje nam znowu sposobność podziwiania wybuchowej siły swoich manifestów. Podobnie jak Don Kichot — w mowie i w piśmie jest niepokonany.

Porusza to do głębi — niby akt Bożej sprawiedliwości — że ten sam orkan, na który dufni w papierowy rozkaz urzędnicy z okrutną bezwzględnością wypędzili admirała, rozbił flotę, co odwoziła do Hiszpanji wszystkich jego wrogów espanolskich: gubernatora Bobadillę, Franciszka Roldana i jego bandę, mnóstwo oszustów, wyludzaczy i chciwych włóczęgów, którzy uczynili wyspę niepewną, jak najbardziej występna dzielnica dzisiejszego wielkiego miasta. Kolumb dowiedział się o katastrofie od kilku rozbitków, których zdołał uratować. Można sobie, znając jego usposobienie, wyobrazić triumf, posępną satysfakcję, jaka go spełniała: samo niebo się wtrąciło, aby go pomścić i zniszczyć jego przeciwników. Była to właśnie odpowiednia podpałka dla jego manji, dla wiary we własne posłannictwo. W życiu niejednego człowieka dziwnem zrządzeniem losu

zdarzają się bardzo często fakty, które doskonale licują z jego wewnętrzną istotą—jakgdyby naprawdę zależały od gwiazdy tego człowieka.

Dodajmy, że tylko jeden okręt ocalał, aczkolwiek był w stanie najgorszym, mianowicie ten, na którym przewożono własność Kolumba, kilka kawalków złota, skonfiskowanych przez Bobadillę. Ale wskutek wielkich szkód, poczynionych przez fale, okręt musiał przybić do przystani San Domingo, złoto znowu uległo zajęciu, i zwrot właścicielowi został odroczoney na długie lata. Zdaje się, że dopiero na krótko przed śmiercią, po wielu petycjach, skargach i sprawach Kolumb wszedł w posiadanie tego bądź co bądź wcale pokaźnego majątku.

Bobadilla naładował okręty wielkimi skarbami, które obecnie spoczęły na dnie morskiem. Należy jednak brać sceptycznie twierdzenia współczesnych, skłonnych do gadulskiej przesady. Aleksander Humboldt obliczył, że całe złoto, wywiezione z Nowego Świata do Europy w latach od 1492 do 1500, nie mogło wynosić ponad szesnaście tysięcy marek dzisiejszej wartości. Import na wielką skalę istnych skarbów legendarnych zaczął się dopiero po zdobyciu Meksyka i Peru.

Na okręcie Bobadilli miał się znajdować kawał litego złota, o którym ciągle wspominają w starych hiszpańskich kronikach; ważył jakoby osiemnaścieset castellanos, więc koło trzydziestu dwóch funtów. Podobno jakaś Indjoska znalazła

go w strumyku. Śród tego całego złota, stwierdza późniejszy kronikarz, nie było ziarenka, do którego by nie przylepiła się krew zamordowanych Indjosów. To stwierdzenie z pewnością nie jest kłamliwą przesadą.

Admirał dociera do stałego lądu amerykańskiego koło przylądka Gracias à Dios. Tuziemcy, zapewne ostrzeżeni przez kapłanów, nie pozwalają mu lądować, musi więc jechać dalej. Steruje w kierunku południowym, zmienia następnie kierunek na południowo-zachodni, ostrożnie wymija brzegi Nicaragui i Kostariki. Pod koniec września zarzuca kotwicę naprzeciw wioski Cariai, aby naprawić okręty i dać załodze odpoczynek. Jak zawsze przy pierwszym spotkaniu z Europejczykami, tuziemcy przyjmują ową zagadkową postawę, która waha się pomiędzy uczuciem strachu a ciekawości, nieufności i podziwu, czci i rezerwy, gościnności a złego przeczucia. Widzą oto na dziwnych okrętach dziwne istoty, które zachowują się pokojowo, a jednak mają grozę budzące oblicza. Przybysze ofiarują im rzeczy, które wprawiają ich w zachwyt, dziwne, czarodziejskie przedmioty; wzamian tubylcy przynoszą swoje podarki, bawelniane opończe i koszule, ozdoby z cienkiego złota — ale, o dziwo, dziwni ci ludzie nie chcą nic przyjąć. Admirał im zabronił, idzie mu o to, aby pokazać tuziemcom, jak wielkoduszni i bezinteresowni są biali. Stara

taktyka. Zresztą z gruntu fałszywa, obraża bowiem tylko, Indjosi sądzą, że przybysze gardzą nimi i ich podarunkami, to też zwalają wszystkie otrzymane rzeczy na kupę i zostawiają na wybrzeżu.

Jest to tylko jeden obrazek wśród wielu innych, wzór niezliczonych spotkań. Zaufanie dzikich posuwa się tak dalece, że dobrowolnie prowadzą na pokład dwie młode dziewczyny jako zakładniczki: zrozumieli taktownie, że przybysze nie mają odwagi wyjść na ląd po wodę i owoce, to też nieproszeni dają żywą gwarancję. I podczas gdy majtkowie napełniają beczułki, najstarsi z plemienia stoją w określonej odległości, pilnując, aby nikt z tubylców nie przeszkadzał gościom. Najczcigodniejsi wynoszą Adelandata na ląd i sadzają go na murawie z uroczystymi ceremoniami. Jemu zaś zależy na tem, aby zebrać bliższe informacje o kraju, to też chcąc zaprotokulować ich wypowiedzi, przywołuje notariusza Porrę. (Oczywiście przy obopólnej nieznajomości języka musiało to doprowadzać do zupełnie dowolnych stwierdzeń). Wszakże gdy ten ustawia obok siebie pióro, kałamarz i papier i już zaczyna pisać, Indjosi uciekają w panicznym strachu, albowiem uważają go za czarownika i zaklinacza duchów. Po chwili jednak wracają, skradają się, rozsypują proch w powietrzu i spalają w ten sposób, aby wiatr odniósł dym w stronę Hiszpanów. Najzabawniejsze jest to, że i Hiszpanie nie mniejszy strach odczuwają przed gusłami dzikich.

«W Cariai» — donosi admirał — «żyją niebezpieczni magowie. Moi ludzie wszystkoby oddali, byleby jak najprędzej opuścić ten brzeg. Niektórzy uważali się za zaczarowanych i do dnia dzisiejszego nie można im tego wybić z głowy».

Potem następuje zawsze moment gwałtu, nieunikniony jak amen w pacierzu. Potajemnie wyłapuje się garstkę Indjosów, sprowadza ich na pokład, aby korzystać z ich usług jako przewodników, cichaczem podnosi się kotwicę i śpiesznie odjeżdża ku przerażeniu i rozpaczcy mieszkańców wioski, którzy za późno zauważyli to porwanie.

Gdyby nie pisano historii ze zbyt wielkim respektem dla faktów i przesadnym podziwem dla tak zwanych ludzi czynu, być może ludzkość stałaby dziś na wyższym szczeblu prawa, obyczajowości i kultury.

W październiku admirał dociera ze swą smętną flotą do zatoki Chiriqui, na przesmyku panamskim. Rzecz ciekawa, że błądząc nerwowo przez długie miesiące w różnych kierunkach, tam właśnie szukał drogi morskiej do Azji, gdzie natura istotnie poczyniła ku niej przygotowania, nie kończąc zresztą rozpoczętego dzieła. Chwilami w swoich ideologicznych konstrukcjach zbliża się do rzeczywistości — sprawa to może jakiś szczególny dar jasnowidzenia, który obok fikcyj widzi możliwe rzeczywistości.

Tubylcy, o ile ich zrozumieć można, meldują o cywilizowanych narodach w głębi kraju; ludność tamtejsza nosi pono złote korony, bransolety, klamry i odzież ze złotej materji, tak samo krzesła, szafy i stoły zdobione są szczerem złotem. Nazywają ów kraj Ciguare, czy Ciamba: zapewne były to nieokreślone słuchy o państwie meksykańskiem i peruańskiem — pogłoski, które admirał swoim zwyczajem mocno wyjaskrawił i skojarzył z Wielkim Chanem. Wydawało mu się, że oto już zbliża się do granic jego państwa. Jeszcze dziesięć dni podróży, a znajdzie się nad Gangesem, — tak wnioskuje śmiało i nie zwraca uwagi na szemranie załogi, która nie chce już dalej jechać. Tym razem nie idzie o zdobycie złota; aby nie tracić czasu, zakazuje handlu wymiennego z Indjosami; tem zarządzeniem jątrzy załogę i doprowadza ją do zaciętej wściekłości. Nic ich nie obchodzi ten tajemniczy przejazd, którego admirał szuka z niecierpliwością obląkańca, a tymczasem okręty są coraz bardziej dziurawe, coraz głębiej toczone przez robactwo. Wreszcie ustępuje pod ich naciskiem, bo nie ma innej rady, i w dniu Szymona i Judy zawraca w kierunku żyznej krainy, którą Indjosi nazwali Veraguą. Atoli nieustające burze zapędzają go zpowrotem do zatoki Chiriqui, i oto całemi tygodniami walczy z wściekłością żywiołów. «Byłem tak wyczerpany» — skarży się — «że nie wiedziałem już, co począć. Moja stara rana otworzyła się, i przez dziesięć dni

nie było już nadziei utrzymania mnie przy życiu. Nigdy jeszcze morze nie było tak wysokie, tak przerażające, tak spienione; wydawało się morzem krwi i kipiało jak kocioł na olbrzymim ognisku. Nigdy jeszcze niebo nie wyglądało tak szkaradnie — płonęło niby piec i bryzgało tak rozżarzonemi płomieniami, że co chwila sprawdzałem, czy aby maszty i żagle nie płoną». Z pewnością położenie było dosyć kiepskie, owa część Atlantyku w pewnych okresach roku stale jest nawiedzana przez najbardziej niszczycielskie tornada, ale z opisu tego widać wyraźnie, z jaką rozkoszą fantazja Kolumba pławi się w apokaliptycznych obrazach.

Na początku stycznia 1503 ląduje na wybrzeżu Veragui; tym razem trzeba było aż trzydziestu pięciu dni, aby przebyć trzydzieści mil morskich. Okręty, mówiąc dokładnie nędzne barki, są w takim stanie, że ledwo je można naprawić, załoga z przepracowania i chorób nie jest zdolna do wysiłku. W tym stanie rzeczy decyduje się zawinąć do ujścia wielkiej rzeki, którą nazywa Betleemską, gdzie można będzie nieco odpocząć po trudach żeglowania. Indjosi gotują intruzom wrogie przyjęcie — prawdopodobnie od szczepu do szczepu rozniosła się wieść, że są to ludzie wiarołomni i brutalni, że trzeba się z nimi obchodzić bardzo dyplomatycznie, aby ich usposobić pokojowo. Przybysze widzą blachę złotą, fajki ze złota, kilka surowych sztab, ale to nic, wypytują o żyły.

Wszędzie chcieliby złota, eksploatacja na małą skalę przestała im odpowiadać. Indjosi zdają się rozumieć; w górach lasy są pełne złota, powiadają. A zatem w góry. Lecz, żeby znaleźć to złoto, trzeba się odpowiednio przygotować postem i wstrzemięźliwością — tak pono twierdzili Indjosi. Wistocie było to zbożnym wymysłem admirała, jedynym środkiem sparaliżowania rozpasanej chciwości europejskiej. Bartolomé Colón, na czele dobrze uzbrojonego oddziału, wyrusza w głąb kraju, poznaje rozmaitych wodzów, którzy go przyjmują z milkliwą przyjaźnią, którzy, tak się przynajmniej zdaje, może i chcieliby zadowolić niezrozumiałe wymagania przybyszów, lecz mimo to w sposób widoczny mają się na baczności. W przeciwieństwie do mieszkańców archipelagu, cechuje ich pełna godności surowość. Jakgdyby życie wyspiarskie nadawało ludziom więcej lekkości i rozbawienia, większe rozmarzenie i ufność, natomiast ląd stały dodawał więcej wagi i twardości.

W rzeczy samej Adelantado znalazł złoto, w pralesie, wśród głazów, w bagnach, ale nie tyle, ile się spodziewano. Szuka się i szuka, wciąż się bada, tubylcy prowadzą tu i ówdzie, zdarzyło się nawet, że jakiś kacyk, meldunki nazywają go Quibranem (imiona są z reguły wypaczane), aby się pozbyć nienasyconych poszukiwaczy złota, wyprowadził ich podstępnie na tereny swoich wrogów: tu rozkopujcie ziemię, tu szperajcie. I rozkopują ziemię i szperają, aż się gotują we

własnym pocie. Każde odkrycie budzi oczekiwanie większego, wszystko jest zbyt nikłe, ludzie wpadają w obłęd, roją sobie i opowiadają o głazach skalnych z masywnego złota; admirał podnieca ich chciwość przy każdej sposobności, bo gdy oni harują, on sam ma wiele wolnego czasu dla swoich dociekań geograficzno-mistycznych. Ci opętańcy mają specjalnego ducha opiekuńczego, którego zadaniem jest ukrywać przed nimi prawdę. Gdyby nie snuł wciąż swej natrętnej myśli o Azji i Zipangu, byłby bez wielkiego trudu osiągnął to, co w dziesięć lat później osiągnął zdecydowany Bilbao: kilka dni podróży poprzez góry, i ujrzałby przed sobą Pacyfik. Ale wówczas załamałby się pod nim fundament, który podtrzymywał go i wynosił ponad wszystkie udręki i rozczarowania.

Autorem praktycznego pomysłu, który powstał w Varagui, był Bartolomé. Zwrócił uwagę na wspaniałą urodzajność tego kraju, stwierdził, że istnieją tu niewyczerpane możliwości pracy cywilizatorskiej i bogactwa zupełnie innego rodzaju, niż te, które może dać bezmyślna gorączka złota. Zaproponował bratu założyć osadę i nawet sam zgodził się tu zostać wraz z załogą z dwóch okrętów. Admirał zaś wróci do Hiszpanji i wystara się o pomoc dla kolonji.

Kolumb wbrew oczekiwaniu bardzo żywo przytakiwał projektowi. Postawiono chałupy

i magazyny, płodna ziemia dostarczała środków do życia w nadmiarze, nie trzeba się było kłopotać o zaprowiantowanie. Podejrzana była tylko postawa tubylców. Ponieważ wydawali się inteligentni i uprzejmi, więc Bartolomé sądził, że nie będą się przeciwstawiać planowi kolonizacji. I w rzeczy samej z początku pozwalali przybyszom krzątać się koło ich dziwnych robót budowlanych. Adelantado wybrał osiemdziesięciu mężczyzn, którzy na wyniosłości, oddalonej od rzeki Belen na odległość strzału z łuku, zbudowali z obciosanych pniów niskie domki, kryte liśćmi palmowymi. Otóż ludzie ci wkrótce ze zwykłą brutalnością zaczęli się obchodzić z Indjosami i ich kobietami. Prostu nie można ich było okiełznać. Wszelkie upomnienie, aby traktowali po ludzku wrażliwych i honorowych dzikusów, aby uważali ich przynajmniej za ludzkie istoty, natrafiało tylko na szyderstwa. Zawsze tak było: tylko strach i widoczna przewaga mogła na nich podziałać, natomiast złudna łagodność i sympatja Indjosów rozzuchwalała ich do bezwstydu. To samo powtarza się i tutaj, i rezultat jest taki sam, co wszędzie. Indjosi wycofują się, urażeni i całkowicie uleczeni ze złudzeń co do usposobienia i zamiarów nowych osadników; czynią przygotowania wojenne, zawierają przymierza z sąsiadami, pozorują to wszystko spodziewaną wojną z wrogiem szczerem z głębi kraju. Lecz cała skrytość ich czynów i postępowania jątrzy gniew Hiszpan.

(Zawsze są moralnie oburzeni, gdy poczynają działać skutki ich brutalności, gdy trzeba zjeść kaszę, którą sami sobie nawarzyli). Bartolomé chce uprzedzić przygotowywany napad, musi się jednak wprzód upewnić co do wrogich zamiarów Indjosów. Diego Mendez, który ma zamiłowanie do tego rodzaju wywiadów, mężczyzna zręczny i odważny, skrada się jako szpieg do wioski indjańskiej; dowiaduje się, że na radzie postanowiono wypędzić białych. Adelantado po otrzymaniu tej wiadomości nie zwleka, w nocy napada na wioskę, bierze do niewoli kacyka, jego żony i dzieci. Doświadczenie pouczyło go, że w ten sposób najskuteczniej paraliżuje się akcje dzikich. Wszakże podczas transportu udaje się kacykowi umknąć i zaalarmować swój szczep. Rozgoryczeni wojownicy napadają na osadę, Hiszpan zaś bronią przed ich przewagą jedynie dzikie psy, których na swoje szczęście nie omieszkali ze sobą zabrać. Rzecz najgorsza, że są odcięci od admirała, który niedługo przedtem z wielkim nakładem pracy wyprowadził swoje okręty ze spływającego — wskutek długiej posuchy — ujścia rzeki do zatoki morskiej. Ale i jego również ogarnia strach i zgroza: dowiaduje się, że Indjosi wycięli co do nogi całą załogę barki, którą wysłał po wodę i drwa wgórę wąskiej rzeki. Wówczas ludzie Adelantada oświadczają, że nie chcą już ani dnia dłużej pozostać w tym niebezpiecznym kraju, namowy jego są równie daremne

jak i gniew, zajmują pozostawiony okręt, lecz po chwili już osiadają na płytkim ujściu. Indjosi puszczają się za nimi wpław. Za szan-
cem, na otwartem wybrzeżu, Hiszpanie wytrzy-
mują wściekle natarcie prześladowców. Admi-
rał nie może im przyjść z pomocą, nie potrafi
jeszcze raz przeprowadzić swych zbutwiałych
żaglowców, jedyna barka, którą dotąd posiadał,
zginęła w strasznych warunkach, dzień mija,
i znowu dzień, osaczeni na wybrzeżu Hiszpanie
są u kresu sił — cóż ma robić, aby ich urato-
wać. Istotnie sytuacja dramatyczna i groźna,
i właściwie nie można powiedzieć, że niezaw-
niona — sytuacja, z którą nie można już wiązać
żadnych nadziei na przyszłość. Straszliwe me-
mento: na pokładzie ma więźniów indjańskich,
zamknięci są w komorze; gdy trzeciego dnia
nad ranem zajrzano do nich, zastano już zimne
zwłoki: wszyscy powiesili się na linach, nie-
którzy dotykali kolanami ziemi, inni, mając
spętane ręce, ściągnęli nogami zarzucone na
szyje pętlce: hardy sposób wykazania, że mniej
się boją śmierci niż niewoli. Tymczasem poło-
żenie Adelantada wciąż się pogarsza, trzeba
przynajmniej nawiązać łączność z jego topnie-
jącym oddziałem, widzi się tylko zdala, jak
walczą, jak jeden pada obok drugiego, nawet
żaden krzyk tu nie dobiega. Wówczas jeden
z bohaterskich marynarzy, Pedro Laderma, de-
cyduje się dopłynąć do nich, co mu się też na
szczęście udaje. Koledzy błagają go w oblędnej

desperacji, aby powiedział admirałowi, że pragną za wszelką cenę dostać się na pokład. Laderma wraca tą samą drogą, los mu sprzyja po raz drugi — wywiązuje się z poselstwa. Kolumb nie może się oczywiście wahać — nie tyle mu szkoda osady, ile nie chce stracić uzasadnionej podstawy do szybkiego powrotu do Hiszpanji — bo inaczej nie znajdzie usprawiedliwienia we własnem sumieniu. A przecież dobrze byłoby wrócić do domu, aczkolwiek nie posiada domu, przynajmniej znajdzie miejsce dla odpoczynku, kąt, w którym można się położyć, jest znużony, nareszcie znużony, sterany całą tą niedolą i udręką, i po raz pierwszy wydaje mu się kuszącą śmierć w łóżku. Każda rzeźwiąca bryza zmniejsza bezpieczeństwo stoczonych okrętów. W dodatku to przygnębienie, z którego febra i bezsenność wysnuwa halucynacje, z głosami duchów, zapowiadającemi pociechę i zwiastującemi wieczną sławę — owa chorobliwa depresja nie ustępuje nawet wówczas, gdy wreszcie przyjmuje na pokład Bartolomégo i jego ludzi. Zaopatrzwszy się w nikłe zapasy z rozbitej barki przedarli się z niehumanitarnym wysiłkiem na tratwie, sporządzonej pośród niebezpieczeństw i prywacyj. Komendę na drugiej karawelli — kapitan jej zginął na nieszczęsnej barce — Kolumb powierza Diego Mendezowi, który odznaczył się zaszczytnie w ostatniej walce.

Ale wszystko to jest tylko początkiem bezprzykładowych cierpień, a trzeba je znać w całość

rozciągłości, jeśli się chce ocenić niezłomnie stalowego ducha tego człowieka. W tem jest jego wielkość i chwała: to samozaparcie, ta cierpliwość, ta gotowość, bardzo głęboka, bardzo nieświadoma, bardzo astralna gotowość do przyjęcia swego losu.

Pod koniec kwietnia wiatr sprzyjający pozwala opuścić niebezpieczną zatokę. Zawierzyć się tym okrętom, to znaczy być pod nieustanną grozą śmierci. Części podwodne wyglądają jak ule. Nie pozostaje więc nic innego, jak najszybszą drogą podążyć do Espanoli, i przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby nie natknąć się na wszędzie rozsiane rafy koralowe. Nowa serja burz; trzy kotwice stracone, żagle podarte w strzępy, dziury coraz większe, pompy pracują bezustannie, a mimo to trzeba jeszcze kubłami i kotłami czerpać wodę. Jeden z okrętów zaczyna tonąć, załoga przenosi się na pozostałe dwa okręty, które ledwo zipią. Chwała Bogu, już widać ląd, admirał każe zatrzymać się na dwieście stóp od brzegu, poczem przy-mocowuje się okręty do siebie. Włot napelniają się wodą aż pod same pokłady; ponieważ i tu-tejsza ludność okazuje wrogość, więc na przed-nich i tylnych częściach okrętów sporządza się kryte kajuty i przygotowuje je w miarę moż-ności do obrony. Nikomu nie wolno opuścić przymusowej twierdzy bez zezwolenia; aby uni-knąć zwykłych wykroczeń, wydano specjalnie przepisy, które normują wszelkie formy obco-

wania z Indjosami. Ta wyspa — to Jamajka, jedna z najbardziej zaludnionych i urodzajnych wysp Antyllów, i oto nie minęło wiele czasu, a zaroilo się w przystani od łodzi indjańskich, ładowanych żywnością. Admirał sam prowadzi układy, zmierzając do zwykłego handlu wymiennego. Ale wszystkiego jest tu za mało, nie można żyć z owoców kassave i kukurydzy, majtkowie domyślają się, że przebiegli Indjosi z pewnością poukrywali lepsze zapasy. Gdyby nie Diego Mendez, który, dzięki swej układnej naturze, umiał uśmierzać nieustannie powstające klótnie — gdyby nie on, już w pierwszych dniach wywiązałyby się zwady, którym w takich okolicznościach nie trzeba nawet określonego pretekstu, aby buchnąć groźnem zarzewiem buntu. Jest to bowiem fakt stwierdzony doświadczeniem (a potwierdza go również przebieg większości wypraw podbiegunowych), że zbyt dłużące się obcowanie mężczyzn, o ile przybiera charakter zewnętrznego przymusu, doprowadza zrazu do utajonych intryg, a w końcu do niszczycielskich wybuchów zagadkowej nienawiści.

Diego Mendez zdaje się być naprawdę szczególnie nabytkiem dla Kolumba. Zawsze w dobrym humorze, przedsiębiorczy, nieco blagierski, obdarzony pewnego rodzaju surowem poczuciem rzeczywistości, przypomina pod wielu względami postać Sancza Pansa z tym jednak wyjątkiem, że jest niezwykle odważny. Jego uprzejmość

i szczerłość zyskała mu nawet sympatję Indjosów, tak dalece, że jeden z kacyków podarował mu wielkie, z olbrzymiego pnia sporządzone czółno. O to mu tylko chodziło; oblał czółno smołą, zaopatrzył je w maszty i żagle i wraz z ziomkiem admirała, kapitanem Fiesco i z siedmioma Indjosami, z którymi zawarł był przyjaźń, postanawia wyruszyć do Espanoli, aby w imieniu Kolumba prosić gubernatora o pomoc. Odległość wynosi siedemset kilometrów. Admirał miarkuje, że jest to jedyna możliwość ocalenia, wyraża więc zgodę, aczkolwiek z bólem serca: nie może się już obejść bez Mendeza. W rzeczy samej, ledwo Mendoz opuścił Jamajkę, wszystko się rozpadło. Indjosi, trudno właściwie ustalić z jakiego powodu, zaczęli dostarczać żywność z dużą niechęcią. (W jakiejś zarzuconej kronice znajduje się wątek aluzja: Indjosi nie mogli wybaczyć Mendezowi, że uprowadził siedmiu ich rodaków; wskazywałoby to na zdumiewająco rozwinięty zmysł kolektywny. Nie będziemy się tu jednak wdawać w ocenę słuszności tego twierdzenia). Teraz sytuacja rozbitków staje się nie do zniesienia. Uwięzieni są w komórkach na pokładzie i skazani na bezczynność, tropikalnie wilgotny klimat rozstraja nerwy, jedni klną i miotają się w febrze, inni siedzą martwo zapatrzeni, nawet Adelantado wpada w tępą apatię. Pierwszy otrząsa się z odrętwienia niejaki Porras i jego młodszy brat, służący w charakterze mata. Proponuje towarzyszom odebrać Indjosom przemocą

siedem czy osiem łodzi i starać się dotrzeć do Espanoli bez admirała. Bez admirała—oto rzecz najważniejsza, — bo Kolumb stał się stopniowo ucieleśnieniem wszystkich ich nieszczęść. Spisek został odkryty czy zdradzony, wybucha bunt, Kolumb, który już półtrzecia miesiąca leży chory w swej kajucie, pod opieką i strażą syna i brata, ostrzega ich i upomina, zbuntowana załoga doprowadzona jest do ostateczności, grozi śmiercią winowajcy swoich nieszczęść. W następstwie straszliwej sceny buntownicy — pod presją nielicznych, może tylko dwunastu marynarzy, którzy pozostali wierni admirałowi, — godzą się opuścić wyspę w sposób pokojowy. Osiemdziesięciu ich było, gdy na dziesięciu łodziach, które admirał odkupił od Indjosów, wyruszyli w drogę. Żeglują wzdłuż wybrzeża w kierunku wschodnim, kradną i plądrują, gdzie się tylko da, zaś ledwo wypłynęli na pełne morze, wściekła burza odrzuca ich zpowrotem ku brzegom Jamajki. Większość łodzi zginęła, ocaleni rozbitkowie, w liczbie trzydziestu pięciu, ciągną od wioski do wioski, — banda bezprawia, istny bicz na Indjosów, — mordując, rabując, paląc wszystko na swej drodze. Rzecz jasna, że dotknięci tą plagą kacykowie żądają od admirała obrony przed bandytami, a ponieważ przekracza to możliwości Kolumba, więc pozbawiają go całkowicie dowozu żywności. Czynią to zresztą w formie zupełnie prawnej: podnoszą ceny do niesłychanego poziomu i po-

gardliwie odrzucają proponowane towary zamienne.

W tej ostatecznej kabale Kolumb nagle jakby doznaje objawienia. Wiadomo mu z kalendarza Regiomontana, że 29 lutego nastąpi pełne zaćmienie księżyca. Wysła więc indjańskiego tłumacza do najprzedniejszych kacyków i zaprasza ich na dzień zaćmienia na zebranie. Kiedy się już wszyscy zgromadzili, admirał wstaje i wygłasza uroczyste przemówienie. On i jego towarzysze są na opiece wszechmocnego Boga, który dobrych nagradza, a złych karze. Bóg jego, Pan piorunów i błyskawic, słońca, księżyca i gwiazd, gniewa się srodze, że mieszkańcy Janahica wydali Jego czcicieli i białych ulubieńców na pastwę głodu. Jeżeli Indjosi nie zmienią swego postępowania, Bóg ześle na ziemię ogień i zniszczenie i wytępi ich i ich rodziny; a na znak swego gniewu nocy dzisiejszej spojrzy na nich zakrwawioną twarzą, która będzie się stopniowo powlekać czarną żalobą, dopóki nie złożą ślubu, że odtąd będą dostatecznie zaopatrywać wiernego jego syna, Cristobala Colóna w żywność. To kuglarstwo astronomiczne, które admirał ukazuje — niby w oslepiającym świetle — w tak mu odpowiadającej roli tragicznego komedjanta, odniosło pożądany skutek. Gdy admirał, od pierwszej chwili zaćmienia zamknąwszy się w swej kajucie, udaje, że rozmawia ze swoim Bogiem, gdy szkarłatny księżyc, wznosząc się z oceanu, powleka się stopniowo czernią,

Indjosów opada straszne przerażenie, wyjąć biegną do łodzi, wydobywają wszystkie zapasy i obiecują spełniać we wszystkim życzenia admirała, byleby przebłagał gniew Pana Niebios. Gdy zaś księżyc na firmamencie zaczyna się wypogadzać, rozpacz ich zmienia się w radość, i odtąd czczą w osobie Kolumba wielkiego czarodzieja, który niewątpliwie cieszy się szczególnie względami swego bóstwa, skoro wie na ziemi, co w niebie postanowiono. Dotrzymują słowa i codziennie przynoszą do przystani, na smutne szczątki okrętowe, świeże zapasy.

Wydarzenie to zostało bardzo szczegółowo opisane przez Hernanda Colóna, który jako młody chłopak był jego naocznym świadkiem. Czy działo się tak dokładnie, czy tylko w przybliżeniu, czy późniejsze wspomnienie nie poddało samego faktu deformującej redakcji—nie da się dziś ustalić. Dziwna rzecz, że Hernando daje tylko skąpe i naprawdę nieznaczące wiadomości o przeżyciach tej podróży, które dla chłopca w tym wieku musiały przecież być niezwykle silne i niezapomniane. Moglibyśmy znać o jego ojcu całą prawdę, dziś na zawsze utraconą, tę przerażająco otchłanną albo świętobliwie piękną prawdę, której możemy się tylko domyślać i dociekać. W warunkach istniejących nawet rzeczowe doniesienia z tych czasów trzeba brać z wielką rezerwą, albowiem ludzie ówcześni mieli dziwnie spaczony nietylko zmysł prawdy, ale i postrzegania. My, ludzie dzisiejsi, wierzymy

oczywiście, że już mamy za sobą ten stan dziecięcego niedorozwoju, nie wiadomo jednak, co o tem sądzić będą nasi potomkowie za lat pięćset.

Tymczasem Mendozowi powiodło się przedsięwzięcie tak ryzykowne: dotarł czółnem do brzegów Espanoli. Wysiadł na przylądku Tiburon i tu odrazu dowiedział się, że gubernator Ovando wyruszył do Xaragui, aby po raz któryś gromić buntownicze plemiona. Mendez udaje się natychmiast w drogę, pieszo dociera do Xaragui, spotyka Ovanda i wręcza mu list admirała. Ovando wije się jak piskorz, twierdzi, że nie rozporządza żadnemi okrętami, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień odwleka zarządzenia, które powinien był wydać niezwłocznie, zaś łatwowierny Mendez w dziwny sposób, Bóg wie jakimi sztuczkami, daje się bałamucić przez siedem długich miesięcy, dopóki gubernator nie rozgromił ostatecznie Indjosów. Zwycięstwo święci się wedle ustalonej już w hiszpańskich kolonjach tradycji: wiesza się, ścina, pali, ćwiartuje osiemdziesięciu czterech wodzów, między nimi królową Anacaona, Pentesilae Zachodu. Ale kiedy gubernator nie kwapi się i po tym triumfie, przebiera się cierpliwość Mendeza. Sumienie go gryzie — zapowiada, że sam wynajmie okręt w San Domingo na rachunek admirała, i zaopatrzywszy w niezbędne zapasy, wyśle na Jamajkę. Ovando nie chciałby do tego dopuścić, nie ze wstydu, ale z obawy przed gniewem

królowej, bo co do króla, to i tak nigdy nie było wiadomo, jaki wiatr wieje na dworze królewskim. Poleca więc Diego de Escobarowi wsiąść na małą, gotową do odjazdu galeazę, i wyruszyć z poselstwem do admirała. I nic więcej? Tylko poselstwo? Ano, zaraz usłyszymy. Przedmiotem poselstwa jest list pisany w esach floresach, pełen słodkavo-kwaskowatych pocieszeń, wyrażający głębokie ubolewanie gubernatora, że w obecnej chwili nie dysponuje w Espanoli okrętem o odpowiednim tonażu do przewiezienia rozbitków. Sam wybór Escobarra jest dosyć znamienity. Brał on udział w spisku Roldana, był przez admirała skazany na śmierć, i zwolniony przez Bobadillę. Oczywiście Kolumb nie mógł się po nim spodziewać nic dobrego. Posel wywiązał się z misji w zgodzie z intencjami swego mocodawcy. Wylądował w miejscu, gdzie, wdrażone w piasek, leżały szczątki okrętów. Porywająca radość, z jaką admirał i jego towarzysze witają zbliżający się okręt, nie rozbraja jego chłodu. Przywiózł ze sobą (rzecz niewiarogodna, a jednak stwierdzona) beczułkę wina i poleć spleśniałej słoniny dla admirała — i to wszystko. Doręcza list i domaga się natychmiastowej odpowiedzi, albowiem tejże nocy musi udać się w drogę powrotną.

To możliwe, że Ovando kazał Escobarowi zabrać ze sobą admirała, zaś reszcie rozbitków zapowiedzieć, że się ich później przewiezie; być może, że Escobar oznajmił to Kolumbowi, lecz

ów nie chciał porzucić towarzyszków niedoli. Większość kronikarzy skłania się ku temu pogładowi, który pozwala im bądź co bądź pochwalić wielkoduszną bezinteresowność i samozaparcie ich bohatera. Jednakże z listu, napisanego do gubernatora Espanoli, wynikałoby, że Kolumb nie wiedział nic o takim zamiarze Ovanda; jeżeli więc komu drogi jest honor gubernatora, niechże sobie przypuszcza, że mściwy i złośliwy Escobar poprostu zataił wydane mu polecenie. List admirała ułożony był w najbardziej błagalnych wyrażeniach. Do takiego ponizania się zdolny jest tylko łotr albo święty. «Wiem, wielce szlachetny senorze — pisze Kolumb — gotowiście narazić własne życie dla mego ocalenia, jestem tego tak pewny jak samego siebie. Mieszkam jeszcze na szczątkach rozbitego okrętu, i nie potrafiłbym na tysiącach arkuszy spisać wszystkich przykrości, kłopotów i nieszczęść, które przypadło mi znościć, ale obecnie jestem już pewny Waszej — obok Boskiej — pomocy, za którą wszyscy moi potomkowie wiecznie wam będą zobowiązani».

Ovando mógł odwlekać akcję ratowniczą, ale nie mógł jej całkowicie zaniechać. Poza tem, we własnym jego dystrykcie, zwolennicy Kolumba wywierali nań presję, której musiał w końcu ulec. Ale dopiero w czerwcu zawięła do Jamajki większa karawella; zjawiała się niemal jednocześnie z okrętem wyekwipowanym przez Mendeza. Kolumb później święcił

ten dzień jako najszcześniejszy w swem życiu. Osobliwy los, przeznaczony mu od bogów, kazał mu kosztować wszystkich swych goryczy do dna. Ale i wówczas wyższe moce są szczególnie wynalazcze, jak się o tem Kolumb niejednokrotnie mógł przekonać.

Trzeba mu było, chcąc nie chcąc, zezwolić na dłuższy pobyt odpoczynkowy w Espanoli. Kiedy z okrętu ujrzał tę wyspę, piękne wzgórze, kwitnące trawniki, mieniące się potoki, kolorowe kamienie, potężne pralasy, przezroczyste powietrze, ten krajobraz jakgdyby wy czarowany z błogiego snu — w ciągu długich godzin nie mógł podobno przemówić ze wzruszenia. Trzy miesiące bawił na ulubionej wyspie. To wszystko zaś, co ujrzał w tym czasie i przeżył, kazało mu pewnie z całego serca — o ile jeszcze było w nim serce — życzyć sobie śmierci, której tyle lat był tak straszliwie bliski.

W jednej z dawnych relacyj znajdujemy zdanie: «Chociaż już za rządów Bobadilli dopuszczano się względem Indjosów ostatecznych okrucieństw, przecież Mikołajowi de Ovando udało się prześcignąć poprzednika we wszystkich szkaradnościach, jakimi kiedykolwiek splamił się człowiek względem swych bliźnich». Święta prawda, bez najmniejszej przesady.

Flota nowego gubernatora, licząca przeszło trzydzieści okrętów, sprowadziła znów na wyspę ogromny napływ przybyszów. Byli między nimi spekulanci bez sumienia, którzy sami nie

mieli nic do stracenia, zato umieli wyludzić cudze majątki. Byli łatwowierni fantaści, którzy wyposażyli własnym sumptem okręty, aby ulokować swoje nazwiska wśród conquistadorów Nowego Świata. Byli i tacy, którzy chcieli spłacić swoich dłużników w Starym Świecie grabieżą, którą spodziewali się uprawiać w Nowym.

«Nietylko ludzie niskiego pochodzenia ciągnęli do kopalni złota—opowiada Las Casas—również szlachetnie urodzeni, każdy, kto miał na sobie płaszcz i całe podeszwy, szedł tą drogą, ciągnąc za sobą sługę, niosącego narzędzia; niektórzy hidalgowie jechali konno, zaś giermkowie za nimi na osłach, albowiem uważali sobie za ujmę obciążać własne barki ciężarem worków ze złotem. Jeden wyprzedzał drugiego, każdy chciał pierwszy odkryć teren złotodajny, wyobrażali sobie bowiem, że złoto zdobywa się równie łatwo i prędko jak jabłka z drzewa». Rychło następowało otrzeźwienie. Jak można się spodziewać, ciężko rozczarowani emigranci zagrażali bezpieczeństwu dróg i ulic, włóczyli się o kiju zebraczym po osadach i nowozałożonych miastach, chorzy na febrę leżeli po szpitalach, stanowili plagę urzędów; ci zaś, którzy mieli jeszcze przy duszy kilka talarów, domagali się za jaknajmniejszą kwotę jaknajwiększych obszarów, gdzie mogli odgrywać rolę wielkich panów, właścicieli dóbr i niewolników.

Udzielone gubernatorowi Ovando, dekretem z dnia 20 grudnia 1503, pełnomocnictwa, które z jezuicką kazuistyką ustanawiały, że nie można traktować Indjosów jako niewolników, ale że obowiązuje ich przymus pracy — dawały mu w każdym zakresie wolną rękę. Każdemu Hiszpanowi przydzielił trzydziestu do sześćdziesięciu Indjosów do uprawy ziemi i eksploatacji złotodajnych terenów. Ustalona zapłata dzienna wynosiła bagatelę, czas pańszczyzny był określony zrazu na sześć, później na osiem miesięcy do roku. Odrywało się mężczyzn od rodzin, gnało na odległość setek kilometrów i biczem napędzało, niby bydło, do najcięższych robót. W dodatku wikt musieli zabierać ze sobą z wiosek. Gdy Hiszpanie zasiadali do stołu, wygłodzeni Indjosi włączili pod stół i czekali, aż spadnie jaka kosteczka — wyssawszy ją i przeżuwszy, miażdżyli następnie między kamieniami i w ten sposób zmieloną miazgę dosypywali do swego niepożywnego chleba z owoców kassave.

A gdy który salwował się ucieczką przed nieludzkim traktowaniem, urządzano polowanie z wielokrotnie wspomnianymi, ostro tresowanymi psami. Schwytych zbiegów karano z całem okrucieństwem i zapędzano do pracy w żelaznych okowach nożnych. Większość umierała przed wygaśnięciem terminu pańszczyzny. Zresztą w bardzo rzadkich wypadkach odpuszczano ich do domu po tym, prawnie zastrzeżonym terminie, nietrudno było znaleźć oszukań-

czy pretekst do nowych posług. A gdy ich wkońcu zwalniano, byli już przeważnie zbyt wyczerpani, aby dotrzeć do swych wiosek. «Widziałem mnóstwo trupów na traktach — opowiada Las Casas — żywi zaś, dowłóklszy się do drzewa, kładli się w jego cieniu i w torcjach krzyczeli o chleb». Najbardziej wytrzymali Indjosi, którzy wbrew przeszkodom docierali do stron ojczystych, zastawali już tylko puste chaty, stratowaną roślinność — wszystko bowiem co żywe w upiornem rozprzężeniu uciekało przed «białym strachem».

Nadomiar ekspedycje wojenne. Po śmierci Behechia, kacyka Xaragui, siostra jego Anacaona została władczynią kraju. W swej uporczywej, zapewne erotyzmem zabarwionej sympatii do białych, posunęła się aż tak dalece, że zezwoliła na małżeństwo swej pięknej córki Higuenamoty z młodym hiszpańskim szlachcicem Guevarą. Podstępna zdrada, którą ów młodzian odwzajemnił się młodej żonie, doszczętnie zburzyła jej wysokie o przybyszach mniemanie. W okresie, gdy Roldan i jego banda tępili Indjosów, zerwała z białymi wszelkie stosunki; później nieustanny ucisk ze strony Bobadilli i Ovanda, zamienił jej dawną przyjaźń w niewystygłą nienawiść.

Indjosi z prowincji Xaragui uchodzili za najszlachetniejszy szczep na wyspie. Las Casas stwierdza, że znacznie przewyższali inne ple-

miona pod względem subtelności swego języka, wdzięku, obyczajów i zewnętrznej urody. Ale do służby i przymusowej pracy ludzie ci nie byli stworzeni, ani wychowani. Rozmiałowani w próżniactwie i kontemplacji, urodzeni i wypiastowani w pięknym kraju, który łatwo zaspokajał ich naturalne potrzeby, przywykli zadowalać się darami natury i nie mieli najmniejszego zrozumienia dla europejskich praw i metod pracy. Według interesującego twierdzenia Humboldta odrazu w pierwszych latach kolonizacji miało się okazać, że rasa amerykańska, pod względem umiejętności przystosowywania się do warunków i fizycznej zdolności do wysiłków, stoi znacznie niżej od kaukaskiej, nie mówiąc już o afrykańskiej.

Ovando postanowił przedewszystkiem unieszkodliwić niebezpieczną Anacaonę i jej najbliższych, zaś uczynił to w sposób, który w Nowym Świecie na wieki shałbił imię chrześcijańskich Hiszpanów — albo przynajmniej powinien był shałbić. (Co pozostaje wkońcu z ludzkiej winy? Zapomnienie.) Zapowiedział jej swoją wizytę, oznajmił, że przybywa po przyjacielsku, aby omówić i ustalić kwestje daniny, wobec czego poleca jej zaprosić wszystkich podległych jej kacyków. Tak się też stało. Anacaona wyszła mu naprzeciw z liczną świtą i przyjęła go z pełną wdzięku godnością, z której słynęła. Wciągu kilku dni, trzystu pieszych Hiszpanów i sześćdziesięciu konnych — zbioro-

wisko, które musiało zastanowić indjańską władczynię — korzystało z szerokiej i wielce urozmaiconej gościnności. Dla rozweselenia gości urządzano pląsy i zabawy — mogło się здаwać, że Anacaona spodziewa się po takim przyjęciu dobroczynnych skutków dla ludu. Wszelako hiszpańskiemu gubernatorowi spodobало się posądzić ją o to, że wszystkie ceremonje i zarządzenia mają tylko na celu maskować zdradę. Powiadam: spodobало się, ponieważ nie miał ku temu najmniejszej podstawy, i ponieważ potrzebny mu był ten pretekst. Rzecz nieprawdopodobna, aby kilka tysięcy nagich, uzbrojonych zaledwie w łuki Indjosów odważyło się napaść na zakutych w stal Hiszpanów, uzbrojonych od stóp do głów — nie mówiąc już o tem, że naruszyliby święte prawo gościnności. Mimo to, jak można przeczytać w kilku kronikach, gubernator dał posłuch ludziom, którzy twierdzili, że mają dokładną wiadomość o sprzysiężeniu. Postanowił zatem uprzedzić zamach. Aby na grzeczność odpowiedzieć grzecznością, zaprosił Indjosów na uroczystości, których główną atrakcją miał być rycerski turniej, tylko że zamiast lanc rycerze mieli się kłuć trzciami bambusowymi, łamiącemi się o zbroje i tarcze. Jednocześnie polecił wszystkim rycerzom i giermkom ukryć pod płaszczami miecze i na umówiony znak wpaść na zebrany tłum i rąbać na prawo i na lewo. Takie same rozkazy wydał piechurom, którzy mieli stać wśród widzów na tarasach, okalających plac. Dla Anacaony i naj-

czcigodniejszych kacyków urządzono wygodne miejsca w domu gubernatora, krytym palmowemi liśćmi. Sam gubernator wraz z oficerami zeszedł na arenę i rzucił dyskiem. Następnie zajął miejsce obok królowej na balkonie swego domu, który został niepostrzeżenie otoczony przez uzbrojonych Hiszpan. Ledwo rozpoczął się turniej, ku najwyższej radości naiwnych widzów — Ovando podszedł do balustrady i chwycił w ręce zwisający mu na piersi krzyż orderu Alcantary. Był to umówiony sygnał do krwawych wysieków, z których się nikt nie uratował, ani kobiety, ani dzieci, ani starcy. Kacyków wylapano w otoczonym domu, ze związanemi na plecach rękoma wieszano u pułapów i dopóty torturowano, aż wydobyto z nich potrzebne zeznania, że uknuli spisek przeciwko życiu i władzy gubernatora. Można pominąć szczegóły tych tortur; pocóż opisywać okropności, przypalanie na rozżarzonych węglach, szczypanie rozpalonemi obcęgami, wlewanie do ust roztopionego ołowiu, znamy to wszystko z tysiąca relacyj, z tysiąca opisów — to A B C inkwizycji, wyobraźnia nasza jest już zahartowana, zresztą tyle już czasu minęło, i metody owe są zbyt prymitywne wobec dzisiejszej wysubtelnionej sztuki mordowania. Można więc traktować to zdarzenie wyłącznie jako historyczne curiosum.

Podobnie jak i ten szczegół: ledwo tylko Ovando z galanterją wyprowadził Anacaonę, dom został z czterech rogów podpalony, i w płomieniach zginęło czterdziestu, a wedle innych sprawozdań,

osiemdziesięciu kacyków i przedniejszych Indjosów. Władczyni indjańskiej dla pozoru wytoczono sprawę sądową, oskarżono ją o zdradę stanu, poddano torturom i przez wzgląd na jej godność (por hazelle honora — jak brzmiała formuła) skazano na śmierć nie przez spalenie na stosie, lecz powieszenie na specjalnie dla niej sporządzonej szubienicy.

Teraz dopiero zaczęło się systematyczne tępienie Indjosów, pozbawionych swoich wodzów. Cytuję naoczego i koronnego świadka, Las Casasa: «Gdy ci lub inni chrześcijanie z liłości czy dla zysku porywali dzieci indjańskie i brali ze sobą na koń, to odrazu doganiał ich kto inny i przebijał maleństwo oszczepem. A gdy już leżało w agonji na ziemi, nadjeżdżał trzeci i odrąbywał mu rączki i nóżki. Nieliczni Indjosi, którzy uratowali się z krwawej łaźni w Xaragui, zbiegli na czółnach do odległej o osiem leguas wyspy Guanabo. Ci zostali przez gubernatora skazani na wieczną niewolę, i każdy Hiszpan miał prawo ścigać ich i schwytować. Sam widziałem, jak palono ich żywcem, ćwiartowano, dręczono nowemi, wymyślnemi torturami. Poszczególnych zbrodni było tyle, że nie jestem w stanie ich opisać. Tylko to jedno pragnę powiedzieć i przed Bogiem i własnem swem sumieniem świadczyć, że Indjosi nie dali najmniejszego powodu do tych prześladowań, że byli zupełnie bez winy i, że nigdy nie dopuścili się względem chrześcijan żadnego śmier-

cią karalnego przestępstwa. Co więcej, bardzo nieliczni brali odwet i zemstę na tak krwawych djablach, jakimi okazali się chrześcijanie, lecz i ci, znałem ich przeważnie, nie byli bardziej dzicy i nieposkromieni od dwunastoletnich chłopców. Wojna przeciwko nim nie miała nawet pozoru prawnego, tutejsi chrześcijanie zaś byli tak piekielnie okrutni i niesprawiedliwi (*tueron todes diabolicos ed injustissimas*), jak tego o żadnym oprawcy i tyranie na ziemi nie można powiedzieć. Wszystko to widziałem na własne oczy, a powtarzam to z lękiem, bo ledwo sobie sam dowierzam i wciąż powątpiewam, czy aby nie jest to tylko zły sen».

W górach żyło wojownicze plemię Higuey, którego podbić czy zmusić do daniny nie udało się kapitanom Kolumba, ani Adelantado, ani Bobadilli. Ovando wysłał przeciwko nim kapitana Juana de Esquibel. Jakkolwiek ci Indjosi dawali dowody takiego męstwa i pogardy dla śmierci, że wprawiali w zdumienie nawet Hiszpanów, pamiętających jeszcze walki z Maurami, jednak rębajło Esquibel poskromił ich tak gruntownie, że w przeciągu kilku miesięcy wyciął całe plemię aż do ostatniego osyska. Przedewszystkiem kazał wytropić kobiety i dzieci, poukrywane przez mężczyzn po lasach i szczelinach skalnych. Tresowane psy ułatwiły wykonanie tego rozkazu. Wyrzynano schwytych, wbijano na pal, kaleczono, palono setkami, że aż swąd unosił się w powietrzu. Mężczyźni po bohaterskich,

desperackich walkach, gnani bez końca od kryjówki do kryjówki, uciekali coraz dalej na pustkowia, i wreszcie ostatnia grupa w liczbie sześciu czy siedmiuset na rozkaz Esquibela została zapędzona nad brzeg głębokiej przepaści i strącona pojedynczo i gromadnie.

Po tem zwycięstwie Ovando założył na wybrzeżu Xaragui miasto, któremu nadał nazwę Santa Maria de la Verdeza pax. Święta Marja prawdziwego pokoju. Zapewne miał na myśli pokój cmentarzyska. Jeżeli zaś myślał o innym pokoju, to był bodaj straszliwszym potworem, niż o tem świadczą jego czyny.

Istnieje głęboko zakorzenione europejskie podanie, wedle którego syfilis został zawleczony z Ameryki przez pierwszych zdobywców i osadników. Fakt ów nie jest bynajmniej bezspornie stwierdzony, ale jeśli nawet opiera się na prawdzie, to można się w nim dopatrywać immanentnego odwetu za pohańbioną, krwawo maltretowaną, nieludzko zdeptaną rasę — niejako tajemniczego aktu wyrównawczej sprawiedliwości. Wprawdzie w żadnem z niezliczonych źródeł (przynajmniej o ile ja wiem) niema najmniejszego napomknienia, że tego rodzaju choroba panowała wśród Indjosów; można jednak przypuścić, że pierwsi zarażeni Hiszpanie milczeli ze wstydu, medyczna zaś ignorancja była wówczas tak wielka, że przeważnie szło się z chorobą raczej do spowiednika niż do lekarza,

a przytem warunki higieniczne tak były straszne, że to im zawdzięczała zaraza swoje tak niszczycielskie rozpowszechnienie. Rzecz mogła się zresztą inaczej przedstawiać: choroba, od wieków zlokalizowana, w okresie odkrycia Ameryki była już bliska wygaśnięcia, gdy oto wycieńczone zarazki, przeniesione do krwi innej rasy, znowu nabrały wścieklej siły.

Jakkolwiek się rzecz miała, Europa wyrównała rachunek—o ile to był jeszcze otwarty rachunek—z odsetkami i odsetkami z odsetków. Płaciła epidemjami ospy, na którą miliony i miliony autochtonów wyginęły, i w Południowej Ameryce od Amazonki do Patagonji jeszcze dotychczas giną; płaciła przymusowym katolicyzmem, płonącemi stosami, anatemami i tłumieniem wszelkiego swobodnego rozwoju; przymusową cywilizacją, która tworzyła degenerujące potrzeby i, obok kilku barbarzyńskich, wytępiła wiele czcigodnych i godnych zachowania zwyczajów; płaciła przede wszystkim, i to w sposób najbardziej hojny i zabójczy alkoholem, co w przeciągu niecałych dwustu lat wtrąciło wszystkie indyjskie narody Północy w ową duchową i psychiczną niemoc, skutkiem której można je było tak łatwo wyzuć z ich kultury (tajemniczej, bo uwarstwionej w najciemniejszych epokach ludzkości), z wolności, ziemi i istnienia.

Dlatego nie wypada mówić, że nie powinniśmy się zajmować dawnemi historjami. Bo ni by niepotrzebnie i lekkomyślnie jest odgrzewać,

wywolywać je z grobowców, skoro nie mają już dla nas żadnego znaczenia i żadnego podobieństwa z którymkolwiek z naszych stanów rzeczy, socjalnym, politycznym, religijnym czy jakimbądź innym. Mylny wniosek, błąd dufnego w siebie człowieka. Albowiem wszystko co było, było tylko napozór. Nic nie *było*, wszystko *jest* i trwa dalej. Teraźniejszość, pierwsza chwila przyszłości, jest też ostatnią chwilą przeszłości. A skoro tak, to wszelka ludzka odpowiedzialność jest niewygasła i nieusuwalna, ani przez czas ani przez następstwo pokoleń.

A gdy już dziewięć dziesiątych indyjskiej praludności Espanoli wytępiono w najbardziej radykalny z dających się pomyśleć sposobów, pozbyto się tem samym kłopotu nieustannych powstań, ale zato wyłoniły się nowe trudności: zwolna zaczęło brakować sił roboczych. Aby zaradzić tej nowej niedogodności, projektowano sprowadzić na wyspę murzynów z Senegambji. Rzecz najciekawsza, że autorem projektu był ów Las Casas, który z takim szlachetnem oddaniem walczył o ludzkie prawa Indjosów. Propozycja, którą uczynił hiszpańskiemu dworowi i urzędowi kolonjalnemu, polegała na tem: aby ulżyć doli zdziesiątkowanych tubylców, ma się uprawnnić każdego kolonistę do sprowadzenia dwóch murzynów i dwu murzynek. Projekt Las Casasa był poważnie badany przez wyższe instancje, i założył podwaliny pod owe osławione

assientos—kontrakty na wwóz czarnych niewolników, które korona hiszpańska w czasach późniejszych zawarła z domami handlowymi Peralta, Reyneza i Elvasa.

Taka to już jest fatalność ludzi humanitarnych, gdy nawet powoduje nimi tak silne uczucie braterstwa, jak księdzem Las Casasem: pragnąc ratować miedzianoskórą rasę, bez skrupułu unieszczęśliwił czarnoskórą. Las Casas był najpłomienniejszym zwolennikiem Kolumba. Czy była to może tajemnicza zaraźliwość dzieła, kontaminacja treści ideowej? Może Indjos i jego męczeństwo stał się i dla adepta, jak poprzednio dla mistrza, wyłącznie «ideą», treścią myślową, a nie postrzeganą? Idee są mordercze we wszelkich okolicznościach, nawet wówczas gdy pragną służyć ludzkości.

A jednak Kolumb pisał z ostatniej podróży do Hiszpanji: «O Espanoli nie mogę myśleć bez łez».

NAJPOSEŃNIEJSZY ZE WSZYSTKICH

Na najbardziej zdefektowanym okręcie, jaki można było znaleźć, wraca Kolumb do Hiszpanji. Tak mu już było sądzone, przestał się na to skarżyć. Ovando potraktował go bez poszanowania, bez najmniejszego względu na jego lata i zasługi. Bieżące renty i udziały albo wcale nie wpływały, albo w najlepszym razie zwlekano z obrachunkiem. Kolumb miał słuszne podstawy do oskarżania Ovanda, że ów nie tylko nie dba o jego interesy, ale czyni wszelkie możliwe przeszkody jego pełnomocnikom. To samo działo się z zarekwirowaniem złotem, — nie można było żadną miarą uzyskać zwrotu.

Przejazd był burzliwy, już drugiego dnia podróży wicher złamał główny maszt karaweli. Bartolomé musiał przejąć komendę, Kolumba przykuły do łóżka niehumanitarne bóle. Gdy wreszcie w październiku 1504 w San Lucar de Barrameda przenoszą go z pokładu na ląd, ciało jego jest ostatecznie złamane, a duch prawie wygasły.

O uroczystym przyjęciu i temu podobnych ceremonjach niema oczywiście mowy. Nikt go nie wita, Bartolomé jest przy nim, (wierny

towarzysz), jest i Hernando,—to wszyscy, i oni również oglądają się daremnie za przyjaciółmi. Widocznie admirał oceanu nie ma już przyjaciół w Hiszpanji. Nieszczęsny rozbitek, którego imię zdążyło już wywietrzeć z pamięci wielu współczesnych, którego plany, nadzieje, przeżycia i okoliczności życiowe stały się obojętne narodowi. Udaje się do Sewilli i staje w gospodzie dla marynarzy. Zaczyna się pisanina listów, pisuje całemi godzinami, dniami i nocami, nieustrudzenie. Mnożą się oskarżenia, rekapitulacje, wyliczanie doznanych krzywd, popełnionych niesprawiedliwości, nieskończone skargi, gadatliwe zażalenia. Większość listów jest adresowana do syna Diega, który przebywa na dworze królewskim w Medina del Campo. Dokumenty te dochowały się w oryginale.

Diego jest lubiany na dworze, mógłby się wstawić za ojcem, wiadoma rzecz, tylko przez protekcję i zręczne intrygi można tam co uzyskać. Kolumb poucza go, jak ma postępować, najpokorniej poleca się dawnemu protektorowi, dominikaninowi de Deza, który obecnie jest biskupem Palencji. Rachuje, oblicza, kalkuluje, dodaje i rozpacza z powodu wstrzymanych pieniędzy, które już dawno byłyby w jego posiadaniu, gdyby postępowano prawnie. «Proszę nie sądzić, że idzie tylko o czterdzieści tysięcy pesos w złocie, przysięgam ci i tylko tobie to powiadam, że straty, które rok rocznie ponoszę, sięgają dziesięciu milionów». Niepoprawny fantasta!

Oszukano go, zaś przedmiotem oszustwa było królestwo Ofiru, Aurea Chersonnesus, bogactwa Krezusa. Proponuje, aby król wypłacił mu odszkodowanie za straty. «Jeżeli uważają, że kłamię, to niech księgi Paralapomenonu, Księga Królów, Josephus de antiquitatis i inni poświadczą. Kłaniaj się ode mnie Diego Mendezowi, mam nadzieję, że jego umiłowanie prawdy i gorliwość znajdą niemniejszy posłuch niż kłamstwa braci Porras. Jeśli zechcesz mi odpisać, adresuj listy do Luisa de Soria, który mi je prześle, albowiem gdy wyruszę palankinem, będę musiał obrać drogę Plata przez Salamankę. Oby Nasz Pan miał cię w swej opiece. Twój stryj Bartolomé cierpi okrutnie na ból zębów». Co tydzień wysyła posłańca, udziela zleceń i wskazówek, usprawiedliwia się, że z powodu choroby nie mógł się dotychczas stawić na dworze, jakgdyby go tam wypatrywano z utęsknieniem. Niecierpliwość i nieufność czynią go gadatliwym i zaaferowanym. «Trzeba się energicznie zająć naszymi sprawami, mądrość zaleca pośpiech, ci ludzie gubią Indje, w tysiącu miejsc wybucha pożoga, nikt nie śmie wstawić się za mną, żyję na kredyt, te grosze, które jeszcze posiadam, musiałem wydać na ludzi, którzy ze mną przybyli, była to rzecz sumienia, nie mogłem porzucić nieboraków bez pomocy. Zawiadomisz o tem wszystkiem biskupa Palencji, powiesz mu, jak wielką ufność pokładam w jego dobroci, tak samo zachowasz się wobec jaśnie wielmożnego

szambelana». Następnie poucza syna o potrzebie zgody i współdziałania w rodzinie: «Staram się, aby twój stryj i brat mogli jak najprędzej ucałować ręce Ich Królewskich Mości, na brata swego możesz liczyć, wykazuje dobrą naturę i cechy dojrzałego człowieka. Mieć dziesięciu braci—i to nie jest zawiele, w szczęściu i nieszczęściu nigdy nie znalazłem lepszych przyjaciół nad moich braci». Troska o dochody góruje jednak nad wszystkim: «Pozostawiam ci pismo, z którego się dowiesz, ile mi się należy. Umowy nie są dotrzymywane. Każdy wywozi towary, ile mu się żywnie podoba, a skutek jest taki, że należna mi ósma część wartości przepada bezpowrotnie. A przecież należy mi się to prawnie, podobnie jak jedna trzecia z tamtejszych dochodów, dziesiąta część ze wszystkiego, co otrzymują Ich Królewskie Mości, i wreszcie dziesięcina z całego dobywanego złota i innych dóbr. Uważaj, bo oko pańskie konia tuczy». Gdy przez kilka dni nie dostaje od syna wiadomości, niecierpliwi się i wpada w gniew: «Codziennie przybywają tu gońcy ze dworu, wszyscy dostają listy, tylko ja nie, to mnie bardzo niepokoi». Interesuje się, jakie okręty stoją w porcie i jakie wyruszają; we wszystkich przystaniach powinno się doglądać, aby nikt bez pozwolenia i uprawnienia nie jechał do Indyj, ponieważ Kolumb obawia się stracić część swoich dochodów,—jakgdyby można było gwoli niemu utrzymać całą Amerykę pod kontrolą podatkową. Dowiedział

się, że złoto, które sprowadził dla korony, przechowywane jest w słomianych szopach «śródmiejskiej ludności» — jak się wyraża. To go gniewa; trzeba zastosować najdalej idące środki ostrożności.

26 listopada umiera królowa Izabella w Medina del Campo. 13 grudnia Kolumb pisze do syna: «Krążą tu pogłoski, że królowa na śmiertelnym łożu wyraziła życzenie, żeby zwrócono mi Indje». Wszak to jego najtajniejsze pragnienie, to też z całą powagą wierzy, że Izabella na śmiertelnym łożu o niczem innem nie myślała. A jednak trzeba królowi stale przypominać o jego obowiązkach względem admirała, któremu nieboszczka tak sprzyjała. «Postaram się skłonić tych panów z urzędu indyjskiego, — niech zlecą gubernatorowi Oviedo, aby wraz ze złotem dla króla przesłał tu i moją własność. Nie powinno mu się pozwolić tym razem na żadne wybiegi. Kwoty, które wpłynęły po moim wyjeździe, wynoszą conajmniej siedem do ośmiu tysięcy pesos, nie licząc tych sum, których mi poprzednio nie wypłacono». Lęka się oszczerców, to znaczy wszystkich, którzy wracają z Espanoli, i zabiega, aby mu nie szkodzili w opinii króla. «Camacho i Bernal, dwaj szubrawcy, postanowili udać się na dwór, prawdopodobnie w złych zamiarach. Ów Bernal był pierwszym sprawcą zrad, uknutych przeciwko mnie, z powodu wielu występków został uwięziony, za każde z tych przestępstw należało mu

odrąbać głowę. Na prośbę twego stryja przebaczyłem mu, pod warunkiem, że nigdy już nie będzie się pode mną i pod moimi rządami podkopywał. Sprzeniewierzył się warunkom ulaskawienia, a przeto winien być uważany za straconego. Przesyłam ci odpis wyroku. Diego Mendez zna go dobrze, zapytaj go. Powiadają, że z powodu jakiejś błahostki, otrul dla zemsty dwóch ludzi».

I dalej w tym samym tonie, aż do samego maja, kiedy wreszcie ma możność wyjechać do Segowji, gdzie bawi dwór. Jest to styl cholerycznego kłótliwego starca, którego prześladują rzeczywiści i urojeni wrogowie, krzywdy, zwady i spiski, a nie dają wytchnienia nawet w niepokojnych snach nocy.

Każdy list jest podpisany w sposób następujący:

·S·

·S· A ·S·

X M Y

X^{po} FERENS

Znaczenia tych liter nigdy nie wyjaśnia, aczkolwiek w testamencie zobowiązał syna do zachowania owego podpisu. Polega on widocznie na mistycznej grze (Sanctus Christus, Sancta Maria, Sanctus Josephus), w której chodziło o tajemniczą liczbę siedem; przyczem greckie

imię Christoforus przerobił na łacińskie Christofereus.

Nigdy nie wiadomo z pewnością, czy jego wzruszające jeremiady na temat nędzy były istotnie uzasadnione. Niektórzy historycy twierdzą, że nie trzeba tego brać poważnie: w żadnym razie nie wyzuto go z uprawnionych dochodów, tylko że król obłożył je aresztem, aby spłacić długi, które admirał wszędzie pozaciągał. Owszem, prawdą jest, że w Sewilli mieszkał w wiejskiej gospodzie, ale tylko z początku, bo później przeprowadził się do wygodnego mieszkania w najlepszej dzielnicy miasta. Faktem jest dowiedzonym, że miał dosyć wysoki kredyt we włoskich bankach w Hiszpanji. W liście do syna z 13 grudnia wspomina, że dał na drogę młodemu Hernandowi sto pięćdziesiąt dukatów, i że z bieżących wpływów wypłacono mu cztery tysiące castellanów (według dzisiejszej waluty koło dwudziestu pięciu tysięcy marek).

Wobec tego trudno mówić o nędzy i niedostatku. Nie wierzę jednak, aby w Sewilli mieszkał luksusowo, a nawet wygodnie. I nie z powodu braku środków, lecz poprostu dlatego, że tak skąpy i zahartowany człowiek umie żyć tylko w skąpstwie i w twardych warunkach. Nie można w ciągu dziesiątek lat mieszkać na nędznych barkach w najgorszych warunkach, dzielić najstraszliwsze prywacie z najnędzniejszymi z towarzyszów, i naraz pewnego pięknego poranku rozpocząć życie beztroskie, w radości posiadania,

narówni z najmajętniejszymi obywatelami wielkiego miasta. Nie był odpowiednio wychowany, i nie licowało to z jego temperamentem.

Czemu jednak to zaaferowanie, te narzekania i skargi, nieustanne apele, trwożne zabiegi koło zabezpieczenia sobie należnych dochodów? Nie tylko temperament kupiecki pobudza go do tych poczynań, aczkolwiek z pewnością tkwią w nim śmieszne, karykaturalne fragmenty takiego temperamentu; ani chciwość, którą mu z tyłu stron wmawiają, a która przecie przykrywa bardziej tajemne pokłady; ani chorobliwa hypochondrja, która w końcu zatrula całą jego istotę; ani też zrezygnowana świadomość niepewności zawartych z koroną hiszpańską układów, świadomość wiarołomnej kapryśności tych osób, od których poczucia obowiązku zależy ich dotrzymywanie. Przyczyna tkwi głębiej. Jest to żalosne załamanie się jego bezgranicznych nadziei i to dopiero popycha go do ostatecznej utraty godności osobistej. Gdyby nawet czterdzieści, gdyby sto tysięcy, gdyby milion pesos wpływało rocznie do jego kieszeni, cóżby to znaczyło wobec czarodziejskiego snu o niespożytych bogactwach, wobec wizji złotych gór wyspy Parii i Zipangu? Wobec świątyń ze szmaragdów i pałaców ze złota w królestwie wielkiego chana? Wobec kopalni złota w krainie Ofir? Męką i rozczarowaniem jest już sama potrzeba obliczania. Jakto, odkrył cały świat, i ten nie może mu więcej ofiarować nad te środki, które pozwalają

się za ledwie zagospodarować i zaopatrzyć synów, On, odkrywca nieznanej od początku stworzenia połowy świata, on, co rzucił ludzkości dar, którego mogła się spodziewać tylko od Boga, on miałby się targować z urzędami i dworakami, użerać z oszukańczymi namiestnikami, wkładać w łaski zuchwałych arywistów i truchleć, czy aby mu wypłacać przynajmniej te nędzne okrucy, które mu się należą? Łaska króla? Ale i ta łaska jest niesprawiedliwą ujmą, nie potrzebuje jej, w utajonem samopoczuciu stoi na równi z królem, on — książę i pan nowych Indyj. Namaszczony czy nie — przy tak wyraźnem zrządzeniu Boga wychodzi to na jedno. Jego zdobywcze względem przyszłości myśli ukazały mu rzeczy z innej strony: biedna, zubożała Europa zalana złotem, którego potok otworzył i skierował Cristobal Colón; szczęśliwa Hiszpanja, wdzięczna Genua, epoka peryklesowa, rozbrzmiewająca chwałą Colóna, wyzwolona Jerozolima, kościół triumfujący, i on — zbawiciel, święty, Mesjasz.

Z tej śmiertelnej niezgody fantazji z rzeczywistością wyrasta jego obraz, i bliższy rozumieniu stał się jego koniec.

5 lutego 1505 donosi synowi, że odwiedził go Amerigo Vespucci, i że długo ze sobą rozmawiali. Ani słowem nie wspomina, o czem to mówili. Zagubienie się treści tej rozmowy wydaje mi się równie wielką stratą jak zatonięcie

armady czy zniszczenie jakiegoś arcydzieła Odrodzenia. Jeżeli słowa, które padły w tej rozmowie, istnieją jeszcze we wszechświecie — jak zresztą należy przypuszczać — w postaci fal eteru, zabłąkanych może w jakimś odległym systemie planetarnym, należałoby się starać, aby wszelkimi środkami je przechwycić. Jakaż to szkoda, że dotychczas nie wynaleziono odpowiednich aparatów.

Wypadnie tu przywołać na pamięć pewną niesprawiedliwość dziejową. Vespucci odbył dwie podróże na kontynent amerykański: pierwszy raz z polecenia Wawrzyńca Medyceusza w roku 1499, i drugi, w służbie króla portugalskiego Emanuela, w roku 1503. Sprawozdanie, po łacinie napisane, z drugiej wyprawy, które się ukazało w Strassburgu w roku 1505, zdobyło mu sensacyjny rozgłos i sprawiło, że Nowy Świat został nazwany Ameryką. Trzeciorzędny uczony niemiecki, Waldseemüller, raczej bakalarz niż badacz, po raz pierwszy umieścił to imię na sporządzonej przez siebie mapie. Otóż Kolumb odkrył środkowoamerykański kontynent, ściślej mówiąc wybrzeże Parii już w roku 1498. Aby zakwestjonować to odkrycie, zwolennicy i propagandyści Vespucciego datowali tegoż wyprawę o rok wcześniej, to znaczy na rok 1497 — czy to z zazdrości, jaką wzbudzał Kolumb, czy też chcąc się przypochlebić Florentyńczykowi, czy przysłużyć królowi portugalskiemu, czy może z innych mętnych powodów. Oszukańcze antydatowanie wyszło wyraźnie na jaw w toku

sprawy, którą Diego Colón wytoczył hiszpańskiej koronie. Jako świadek zeznawał między innymi Alonzo de Ojeda, który brał udział w pierwszej podróży Vespucciego; zadokumentował wobec sądu pierwszeństwo Kolumba i oświadczył, że na własne oczy widział mapę morską, którą Kolumb przesłał wówczas Ich Królewskim Mościom; dopiero potem Vespucci, wraz z nim i Juanem de la Cosa, odważył się na tę podróż. Amerigo Vespucci jest z pewnością niewinny w tej całej intrydze, był to bowiem skromny, szlachetny człowiek, obcy uczuciu rywalizacji, i chyba mu ani w myśli nie postało zaćmiewać sławę swego wielkiego poprzednika. Była to raczej sprawka bezkrytycznych pisarzy i gadatliwych kronikarzy, amatorów wiadomości lub ofiar własnej łatwowierności — to oni wprowadzili do historii fałszerstwo, odtąd prawie że niewykorzenione; znajdujemy je przecież jeszcze np. w Encyklopedji Brockhousa z roku 1819. Istniała wtedy zapewne cała partja zaprzysiężonych wrogów i anonimowych przeciwników Kolumba; wszędzie maczali ręce, gdzie tylko jego pamięć mogła być przyćmiona, i nieśmiertelny czyn pomniejszony. Ale w tym wypadku nie da się już nic odrobić. Nie możemy wszak przechrzcić Ameryki na Kolumbję, pozostanie już nazawsze Ameryką — i jest w tem jakiś osobliwy ponury żart, będący najzupełniej w duchu i po linii życiowej jej odkrywcy, że cała ta część świata, wskutek nieporozumienia i małych kłótni małych ludzi, żegluguje pod fałszywą jakgdyby banderą.

Wyobrażam sobie, że admirał w owej rozmowie domagał się wyjaśnień od Vespucciego, że zarzucał mu tchórzostwo, nieuczciwość, że pytał, czemu Vespucci przynajmniej nie powściągnął nadmiaru gorliwości swoich przyjaciół. — Czyż nie wiedzieliście, że na długo przed wami byłem w krainie Parii, że na długo przed wami stanąłem na brzegu tej Brazylii? — takie mógł zadawać pytania. A może go tylko cicho wysłuchał, sam tchórząc z przyrodzonego strachu przed ludźmi, ograniczając się tylko do utajonych westchnień — z właściwej sobie pogardy dla ludzi? Zapewne była też mowa o nowym kontynencie, i tu admirał chyba wybuchnął, tu oko jego musiało zapłonąć fanatycznie. Nowy kontynent? Dla Kolumba niema żadnego nowego kontynentu. Nie uznaje takiego. Dla niego istnieje tylko Zipangu, istnieją krainy Mangi i Cathaja, istnieje stały ląd azjatycki. Tam on był, tam bezwątpienia lądował, i tylko jeszcze bagatelka, trochę czasu, odrobina cierpliwości, szczypta szczęścia, i w dodatku odrobinka zdrowia, a znalazłby przejazd do krain nad Gangesem. Zali towarzysze jego nie poświadczyli na Kubie uroczystą przysięgą, że stoją na wybrzeżu azjatyckiem? Protokoły istnieją, leżą w królewskiej kancelarji, można je każdej chwili przejrzeć. Widzę, jak szczupła, tysiącem burz garbowana twarz Kolumba — to oblicze z portretów El Greca — ta twarz sędziwego żeglarza drży z namiętności, jak sina szarość jego przygasłych oczu znowu zapala się

dawnym płomieniem proroków, gdy oto temu szczęściarzowi i odkrywcy z przypadku wyklada wielką myśl przewodnią swego życia, i drżącymi palcami dowodzi na mapie, że wszystkie wyspy indjańskie od Guanahani do Trinidadu, od Janahica do kraju Veragua stanowią tylko przed-sionek ogromnego państwa Wielkiego Chana, którego najbardziej wysuniętym cyplem jest Kuba. Niema żadnej Ameryki, tę Amerykę samiście sobie uroili, to tylko djabelne przywidzenie.

Amerigo Vespucci cicho zwiesza głowę. Jest pełen zdziwienia. Żyjemy w roku 1505, a nie 1492. Wiedza ludzka zbogaciła się o nieprzeczuwane fakty. Gdzie był admirał w tym czasie? Gdzie przebywał, gdzie żył, oczywiście duchem? Wiedza postępuje naprzód. Obliczenia Toscanelliego oddawna są przestarzałe. Kosmografowie z poprzedniego stulecia byli w błędzie. Ilość stopni długości geograficznej, przez nich podawana, nie zgadza się z obwodem ziemi. Znaleziono błąd i poprawiono. Już pięć lat temu wielki Lionardo da Vinci poznał się na fałszywości hipotezy indyjskiej. To znaczy, że Ameryka istnieje. Musi istnieć, albowiem Azja odległa jest od tamtego lądu o tysiące mil morskich. Stwierdzają to wyliczenia matematyczne, na ten temat nie może być sporów.

Wszakże Vespucci przemilcza swoje argumenty. Jest człowiekiem światowym, wie, jak należy się zachować wobec nestora sztuki żeglarskiej, chyli się przed nieustraszonym pogromcą

oceanu, dumny jest, że jest jego rodakiem, odczuwa cześć dla jego osoby i podziw dla ogromnego czynu, boli go ta zgryziona twarz, zgrzybiała postać, i, wreszcie, szanuje jego pomyłkę, która ma w sobie coś wielkiego i wzruszającego. Być może człowiek musi umierać z taką pomyłką, jeśli żył prawdziwie. Błąd był czynnikiem zapładniającym. Don Kichot jest silniejszy od Sancha Pansa. Może «państwo Wielkiego Chana» jest w końcu bardziej rzeczywiste od Ameryki.

Jeszcze rok. Ugasanie zanik, gra cieni. W końcu lutego król pozwala mu przybyć do dworu, nie na koniu lecz na mule — przywilej, nader rzadko udzielany. Ale dopiero w trzy miesiące później Kolumb może wyruszyć w drogę. Gdy przybywa do Segowji, króla już niema, wyjechał do Leonu. Kolumb przez Salamankę udaje się do Valladolidu, gdzie wreszcie zastaje monarchę. Z tułaczką jest oddawna spoufalony. Wszystko w jego życiu było tułaczką, tak się ono zaczęło, tak się musi skończyć. Bez rozgłosu, okryty brązowym płaszczem, przygarbiony ze starości i choroby, w asyście brata swego Bartolomégo (którego niezmienna wierność ma tu tragiczny posmak) i jedyne go służącego, wjeżdża do miasta. Król każe mu czekać całymi dniami, zanim go przyjmuje. «Jestem rzeczywiście tak niešťczęśliwy, jak powiadam; dotychczas opłakiwałem innych ludzi, obecnie błagam niebiosą, aby ludzie mnie opłakiwali». To miejsce z tak zwa-

nego lettera rarissima jest znamienne dla jego ówczesnego usposobienia.

Król rezerwuje sobie na później rozstrzygnięcie wszystkich skarg i żądań. Uśmiecha się do admirała, zasypuje go pochwałami, zapewnia, że całkowicie uznaje wielkość jego zasług, przyrzeka wdrożyć śledztwo, sprawiedliwy sąd: i na tem poprzestaje. Propozycja Kolumba, aby go ponownie zatwierdzono w urzędach i godnościach, natrafia na lodowate zdziwienie. Zaczyna się proces, zwołuje się trybunał, który ma dziwną nazwę Junta de descargos — rada dla odciążenia sumienia króla i nieboszczki królowej. Niespodziany wykręt Ferdynanda: Colón dostał wszystkie przywileje od nieboszczki Izabelli, a co się tyczy króla, to aczkolwiek podpisał się pod układami, jednakże nie jest odpowiedzialny za ich wykonanie.

Nędzny szachraj. Z pod pajęczyny poniżających paktów, pozornych zezwoleń, zwłok i kazuistyki sądowej występuje plastycznie charakter Ferdynanda w całym jego niezglębionym fałszu. Jeśli zobowiązania względem Kolumba wydawały mu się zbyt wygórowane—co zresztą było słuszne—nierozsądne i niewykonalne—tak było istotnie—to przecież mógł znaleźć sposób na zewnętrzne zadośćuczynienie, na uspokojenie bodaj tego bezdennie urażonego starca—i nie upokarzać go w przedpokojach jak żebraka, i po kancelaryjach, jak wyśmianego natręta. Niewieleby go to kosztowało, może nawet mniej, niż później był zmu-

szony płacić. A przecież ostatnie piętnastolecie, dzięki temu właśnie człowiekowi, odznaczało się dynastycznym, politycznym i gospodarczym rozkwitem w takim tempie i takiej intensywności że wątpię czy znajdzie się drugi taki okres w historii narodów.

Admirał fizycznie nie ma już sił, aby walczyć z dworskimi i prawniczymi intrygami. Żył jeszcze słabą nadzieję w związku z przybyciem Filipa Austriackiego i jego małżonki, córki Izabelli. Opowiadano mu wprawdzie o donnie Juanie, że jej zadawniona głęboka melancholja wykazuje wszelkie cechy obłędu; czegoż się mógł od niej spodziewać? Albo od lekkomyślnego i hulaszczego Habsburga? Mimo to wyjeżdża na spotkanie młodej królewskiej pary. Niestety atak podagry rzuca go w drodze na jakieś przypadkowe łożo. Zleca więc bratu swemu Bartolomému «ucałować ręce» Filipa i jego młodej żony. Pismo, które mu wręcza, kończy się słowami: «Wasze Królewskie Mości niech będą przekonane, że jakkolwiek obecnie przykuwa mnie do łoża niebezpieczna choroba, jednak będę jeszcze w stanie wyświadczyć Waszym Królewskim Mościom takie usługi, jakich świat jeszcze dotąd nie widział».

Czy to bliska śmierć podnieca go do czczych przyrzeczeń i znieczula jego zmysły na rzeczywistość zgonu? Gdy poczuł zbliżanie się ostatniej godziny, kazał przywołać notariusza i świadków, aby unieważnić testament z roku 1498

i sporządzić nowy. Zaczyna się ów akt donkichotowskim powiedzeniem: «Gdy królowi i królowej uczyniłem dobrowolny dar z Indyj...» Nie sprzeniewierza się swemu stylowi, ta sama fanfara, ta sama namaszczona grandezza, ta sama wyniosłość, którą swego czasu zdumiał przeora z La Rabidy. Teraz zwraca się w ten sposób do potomności. I potomność postąpiła najlepiej, jak mogła w takich okolicznościach: pogrzebała słowa w milczeniu i zachowała w pamięci jedynie imię i czyn.

19 maja wydał ostatnie zarządzenia, zmarł 20 maja, w dniu Wniebowstąpienia. Nigdy może nie było bardziej znudzonych oczu, niż oczy Kolumba, gdy zamykały się na wieki.

Niepokój, który trawił żywego Kolumba, był również losem i stygmatem martwego. Z początku pogrzebano go w podziemiach klasztoru franciszkanów w Valladolidzie. Cztery lata później syn jego Diego przeniósł zwłoki do klasztoru kartuzów Santa Maria de las Culvas pod Sewillą. Po jego śmierci, wdowa po nim, za pozwoleniem cesarza Karola V, przenosi szczątki pierwszego admirała na wyspę Espanolę, bo takie było życzenie nieboszczyka. W roku 1673 trzęsienie ziemi zburzyło katedrę w San Domingo, koście odkrywczy zmieszały się z piszczelami innych trupów, wkońcu z wielkim trudem zdołano je odzyskać i znowu pogrzebano. Gdy w roku 1745 wyspa stała się kolonią francuską, hiszpański

admiral d'Artibazel kazal otworzyć grobowiec, ekshumować szkielet, mimo jego wątpliwej tożsamości, i przenieść do katedry w Habanie.

Mogło się zdawać, że spór Krzysztofa Kolumba z losem nie może się skończyć; jakgdyby Kolumb z grobu nawet rwał się do swoich Indyj, do ulubionej Espanoli, żeby jako próchno i bodaj szkielet wciąż uporczywie przeczyć oczywistemu istnieniu Ameryki, która jest zaprzeczeniem jego górnych snów o raju, o bajecznym królestwie Wielkiego Chana.

Sława jego jest tworem z czerepków: składasz je mozolnie, gdy naraz duch zeń ulatuje, który cię pozdrawia jak brata.

K O N I E C

BIBLIOTEKA

Wyższej Szkoły Politt. - Wych.

l. inv. 2624



BIBLIOGRAFJA

- S. Günther: *Columbus und die Erweiterung des geographisch - kosmischen Horizonts*. (Hamburg, 1892).
- Anonym: *Geschichte des Christoph Columbus*. (Frankfurt n/M., 1779).
- Fr. Forster: *Christoph Columbus*. (3 t. Lipsk, 1892).
- Washington Irving: *Geschichte des Lebens und der Reisen Christoph Columbus*. (Frankfurt, 1831).
- Cabeça de Vaca: *Die Fahrt der Narvaez-Expedition 1528/36*. (Przełożył na język niemiecki Franz Termer. Stuttgart, 1925).
- Prof. Eugen Gelcich: *Columbus als Nautiger und Seemann. Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde*, (20, 4. i 5 zesz. Berlin, 1885).
- Allgemeine Encyclopädie d. W. u. K.-T.* 20.
- Th. Schott: *Columbus und seine Weltanschauung*. (Berlin, 1878).
- M. F. von Navarette: *Die Reisen des Christoph Columbus 1492—1504*. (Według listów i sprawozdań biskupa Las Casas i Fernanda Colona).
- Johannes Rein: *Zur Entdeckungsgeschichte Amerikas*. (Geograficzne i przyrodnicze rozprawy. Lipsk, 1892).
- J. Elton: *The Career of Columbus by Charles*. (Londyn, 1892).
- F. A. de Varnhagen: *Das wahre Guanahani des Columbus*. (Wiedeń, 1869).
- Henry Vignaud: *Etudes critiques sur la vie de Colombe avant ses découvertes*. (Paryż, 1905).

Roselly de Lorgues: *Satan contre Christophe Colombe ou la pretendue châte du serviteur de Dieu.* (Paryż, 1876).

Marquis de Bléloy: *Christophe Colombe et la découverte du nouveau monde.* (Paryż).

Marius André: *Das wahre Abenteuer des Christoph Columbus.* (Wiedeń, 1927).

Die Ortsbestimmung des Columbus auf der ersten Rückreise. Zeitschrift der Gesellschaft für Erdkunde, T. 27, Nr. 5.

Henry Harisse: *Christophe Colombe devant l'histoire.* (Paryż, 1892).

Dr. Hans Plischke: *Christoph Columbus.* (Lipsk, 1926).

Ettore Janni: *Das Leben des Columbus.* (Berlin, 1925).

Johannes Fasteurath: *Christoph Columbus. Studien.* (Drezno i Lipsk, 1895).

Sophus Ruge: *Columbus.* Verlag Ziemsens. (Wittenberg i Halle).

Po upływie dłuższego czasu, od napisania książki doniósł mi literat wiedeński Emil Lucka, którego uwagę zwróciło na siebie ogłoszenie tytułu mego dzieła w pismach, że w swej książce hiszpańskiej p. t. «Żarliwość i posępność» scharakteryzował odkrywcę Ameryki — podobnie jak i ja — przez analogję z postacią Don Kichota. Przysłał mi następnie swoją książkę, i oto miałem możność stwierdzić ze zdumieniem i satysfakcją, że istotnie wypowiedział tę myśl w rozdziale «Zdobycy i odkrywcy». Ta jednoczesność, nierzadka w dziedzinie ducha, dowodzi tylko, że nasze ujęcie nie jest bynajmniej wymyślone, sformułowane, lecz samo przez się narzuca się nieuchronnie każdemu, kto głębiej patrzy.

ROZDZIAŁY:

	<i>str.</i>
1 <i>Przewidywanie rzeczy nieznanych . . .</i>	5
2 <i>Wczesne drogi</i>	17
3 <i>Rozpaczliwe zabiegi</i>	27
4 <i>Badanie, supliki, włości i szalone wymagania</i>	44
5 <i>Ostatnie przeszkody i nareszcie — wyjazd</i>	58
6 <i>Wyprawa w nieznaną</i>	73
7 <i>Indjosi i złoto</i>	85
8 <i>Powrót i triumf</i>	103
9 <i>Zabójcza rzeczywistość</i>	119
10 <i>Zapieranie się rzeczywistości</i>	153
11 <i>W kajdanach</i>	173
12 <i>Indyjskie inferno</i>	204
13 <i>Najposępniejszy ze wszystkich</i>	255
<i>Bibliografia</i>	273

I L U S T R A C J E :

KRZYSZTOF KOLUMB

Str.

Malowidło nieznanego Mistrza z XVI wieku
w Uffiziach we Florencji Okładka

PIĘĆ DRZEWORYTÓW

Ilustracje do sprawozdania, złożonego królew-
skiej parze, a sporządzonego przez Kolumba
w 1493 roku w drodze powrotnej z pierw-
szej wyprawy. 17, 49, 81, 113, 145

FAKSIMILE LISTU

List Krzysztofa Kolumba do Kapituły
św. Jerzego 177

P O W I E Ś C I

WYCIĄG Z KATALOGU TOWARZYSTWA WYDAWNICZEGO
(J. MORTKOWICZA) w WARSZAWIE, MAZOWIECKA 12.

<i>Byrne Donn.</i> MESSER MARCO POLO. Przekład St. Ku-	
szelewskiej	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
<i>Dąbrowska M.</i> LUDZIE STAMTAD. Cykl opowieści . .	4.50
	opr. 10.50
	oprawne w skórę do 33.—
<i>France A.</i> ZBRODNIA SYLWESTRA BONNARD	6.—
— THAIS	5.50
— GOSPODA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ . .	6.50
— BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI.	6.50
— WYSPA PINGWINÓW	(w druku)
— W CIENIU WIĄZÓW	"
— MANEKIN TRZCINOWY	"
— PIERŚCIEŃ Z AMETYSTEM.	"
— CZERWONA LILJA	"
— KSIĄŻKA MOJEGO PRZYJACIELA	"
<i>Gogol M.</i> MARTWE DUSZE. Przekład Wł. Broniew-	
skiego	2 tomy po 2.—
	kart. „ 2.50
	razem opr. 7.—
<i>Istrati Panait.</i> KYRA KYRALINA. Przekł. H. Jel. . . .	2.90
<i>Jacobsen J. P.</i> NIELS LYHNE. Przekład i wstęp M. Dąbrow-	
skiej	2 tomy po 2.—
	kart. „ 2.50
	razem opr. 7.—

<i>Korczak J.</i> DZIECKO SALONU	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
— KIEDY ZNÓW BĘDĘ MAŁY	4.50
	opr. 7.50
<i>Kuncewiczowa M.</i> PRZYMIERZE Z DZIECKIEM	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
— TWARZ MEŹCZYZNY	5.—
	opr. 8.—
<i>Lagerlöf S.</i> WSPOMNIENIA. Wybór i przekł. J. Mortkowiczowej	2.—
	kart. 3.50
<i>Martin du Gard R.</i> LES THIBAUD. Dzieje jednego rodu.	
Przekł. H. Jel	
cz. I. Szary zeszyt	2.90
cz. II. Pokuta	4.—
<i>Mortkowiczówna H.</i> GORYCZ WIOŚNIANA	5.50
	opr. 8.50
<i>Naglerowa H.</i> MOTYW KSIĘŻYCA	3.—
— ZAWALIDROGA	7.—
<i>Nalepiński T.</i> KAZIA	2.—
	kart. 2.50 opr. 4.—
<i>Nałkowska Z.</i> HRABIA EMIL	1.50
	kart. 3.—
— LODOWE POLA	2.—
	kart. 2.50
	opr. 4.—
<i>Novalis.</i> HENRYK OFFTERDINGEN. Przekł. Fr. Mirandoli	1.50
<i>Rolland R.</i> PIOTR I ŁUCJA. Idylla tragiczna. Przekł. M. Zabojeckiej i H. Bezmaskiego	1.50
	kart. 3.—
<i>Rymkiewicz W.</i> PRAWO DO MIŁOŚCI	6.50
<i>Siedlecki M.</i> prof. OPOWIEŚCI MALAJSKIE. (Z cyklu „Exotica“). Inicjały i okładka rysunku autora	5.—
	opr. 10.—
	opr. w skórę 25.—

<i>Strug A.</i> CHIMERA. Wydanie drugie	10.—
	opr. 13.—
— DZIEJE JEDNEGO POCISKU. Wydanie trzecie.	6.—
	opr. 9.—
— FORTUNA KASJERA ŚPIEWANKIEWICZA	7.—
	opr. 10.—
— JUTRO. Wydanie trzecie.	3.—
	opr. 6.—
— KLUCZ OTCHŁANI. Wydanie drugie. 7.—; opr.	10.—
— KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA. Wyd. drugie. 6.—; opr.	9.—
— LUDZIE PODZIEMNI. Wydanie trzecie.	6.—
	opr. 9.—
— MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA.	
	Wydanie nowe (w druku)
— ODZNAKA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ. Wyd. drugie.	
— OJCOWIE NASI. Wydanie trzecie.	8.—
	opr. 11.—
— PIENIĄDZ. Wydanie drugie.	10.—
	opr. 13.—
— POKOLENIE MARKA ŚWIDY. Wyd. drugie	7.50
	opr. 10.50
— PORTRET. Wydanie trzecie.	8.—
	opr. 11.—
— W TWARDEJ SŁUŻBIE. Wydanie drugie	5.—
	opr. 8.—
— ZE WSPOMNIEŃ STAREGO SYMPATYKA.	
	Wydanie drugie.
	opr. 9.—
<i>Szelburg E.</i> DOKĄD?	2.—
	kart. 2.50; opr. 4.—
— DZIEWCZYNA Z ZIMORODKIEM.	5.—
	opr. 8.—
<i>Wassermann J.</i> KRZYSZTOF KOLUMB. Don Kichot Oceanu	
<i>Wołoszynowski J.</i> O TWARDOWSKIM, synu ziemianki, oby-	
watelu piekiel, dziś księżycowym lokatorze. 2 tomy po	2.—
kart. po 2.50; razem opr.	7.—

Żeromski St. CHARITAS. Powieść. (Walka z szatanem, część trzecia)	6.—
	opr. 9.—
— DZIEJE GRZECU. Powieść. 2 tomy	12.—
	opr. 18.—
— LUDZIE BEZDOMNI. Powieść 2 tomy	10.—
	opr. 16.—
— NAWRACANIE JUDASZA. Powieść. (Walka z szatanem, część pierwsza)	6.—
	opr. 9.—
— OPOWIADANIA.	4.20
	opr. 7.20
— POMYŁKI	3.—
	opr. 6.—
— POPIOŁY. Powieść historyczna 3 tomy	18.—
	opr. 27.—
— PROMIEŃ. Powieść	3.20
	opr. 6.20
— PRZEDWIOŚNIE. Powieść	7.50
	opr. 10.50
— ROZDZIOBIAJ NAS KRUKI, WRONY....	5.—
	opr. 8.—
— SYZYFOWE PRACE. Powieść	5.50
	opr. 8.50
— URODA ŻYCIA. Powieść. 2 tomy	10.—
	opr. 16.—
— UTWORY POWIEŚCIOWE	5.—
	opr. 8.—
— WIATR OD MORZA. Powieść.	5.—
	opr. 8.—
— WIERNA RZKA. Klechda domowa	4.—
	opr. 7.—
— ZAMIEĆ. Powieść. (Walka z szatanem, część druga)	5.—
	opr. 8.—

ŻEROMSKI DLA CAŁEJ POLSKI

ZBIOROWE WYDANIE DZIEŁ W DWÓCH SERJACH

I Powieści:

*Wierna rzeka * Uroda życia * Promień
Nawracanie Judasza * Zamieć * Charitas*

*Szyzyfowe prace * Ludzie bezdomni*

*Wiatr od morza * Popioły (3 tomy)*

*Dzieje grzechu (2 tomy) * Przedwiośnie*

w 15 tomach oprawnych za zł. 110.— (Rata miesięczna zł. 15.—)

w 32 zeszytach broszur. za zł. 80.— (Rata miesięczna zł. 10.—)

II Utwory dramatyczne, publicystyczne, epickie, opowiadania i nowele:

*Róża. Uciekła mi przepióreczka... Sułkowski.
Ponad śnieg bielszym się stanę... Biała rękawiczka. Turoń. Snobizm i postęp. Bicz
z piasku. Projekt Akademii Literatury Polskiej.
Inter Arma. Duma o hetmanie. Powieść
o Udałym Walgierzu. Aryman mści się.
Godzina. Wisła. Międzymorze. Sen o szpadzie i sen o chlebie. Słowo o bandosie. Echa
leśne. Wszystko i nic. Puszcza jodłowa.
Rozdziobią nas kruki, wrony. Opowiadania.*

Utwory powieściowe. Pomyłki.

w 17 tomach oprawnych za zł. 75.— (Rata miesięczna zł. 10.—)

w 20 zeszytach broszur. za zł. 40.— (Rata miesięczna zł. 8.—)

Dla nabywców obu seryj cena znizowana:

32 tomy — zł. 165.— (Rata miesięczna zł. 11.—)

52 zeszyty — zł. 104.— (Rata miesięczna zł. 8.—)

KOMPLETY STAŁE NA SKŁADZIE

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

ANDRZEJ STRUG

ZBIOROWE WYDANIE POWIEŚCI:

PIENIĄDZ * OJCOWIE NASI
LUDZIE PODZIEMNI
ZE WSPOMNIENI STAREGO SYMPATYKA
W TWARDEJ SŁUŻBIE
JUTRO * PORTRET * CHIMERA
KRONIKA ŚWIECIECHOWSKA
ODZNAKA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ
MOGIŁA NIEZNANEGO ŻOŁNIERZA
POKOLENIE MARKA ŚWIDY
DZIEJE JEDNEGO POCISKU
FORTUNA KASJERA ŚPIEWANKIEWICZA
KLUCZ OTCHŁANI

w 20-tu tomach oprawnych
lub w 40-tu zeszytach broszurowanych
objętości ogólnej około 300 arkuszy (4.800 stron).

CENA SUBSKRYPCYJNA:

zł. 110.— za komplet oprawny (rata miesięczna zł. 11.—)
zł. 70.— za komplet zeszytowy (rata miesięczna zł. 7.—)

Do 1. XI. 1930 ukazało się jedenaście tomów
(dwadzieścia zeszytów)

Prenumeratę należy wpłacać na konto czekowe P. K. O. 17.817.

Zamówienia przyjmują

Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie

Mazowiecka 12

Telefon 244-14

i większe księgarnie.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA

KSIĄŻNICA WIELKICH PISARZY CUDZOZIEMSKICH

WYDAWNICTWO PERJODYCZNE

SERJA PIERWSZA POWIEŚCI
ANATOLA FRANCE'A

w 10-ciu tomach oprawnych,
lub 30-tu zeszytach broszurowanych.

ZBRODNIA SYLWESTRA BONNARD
THAIS
GOSOPDA POD KRÓLOWĄ GĘSIĄ NÓŻKĄ
BOGOWIE ŁAKNĄ KRWI
WYSPA PINGWINÓW
W CIENIU WIĄZÓW
MANEKN TRZCINOWY
PIERŚCIEŃ Z AMETYSTEM
CZERWONA LILJA
KSIĄŻKA MOJEGO PRZYJACIELA

CENA W PRENUMERACIE:

za 10 tomów w oprawie płóciennej zł 65.—

za 30 zeszytów broszurowanych zł. 45.—

Tomy I—IV już się ukazały.

Zamówienia przyjmują

Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie

Mazowiecka 12

Telefon 244-14

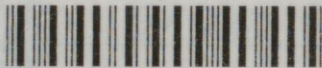
oraz wszystkie większe księgarnie.

WYDAWNICTWO J. MORTKOWICZA



Biblioteka Główna
Akademii Sztuki Wojennej

2593/1



11-002593-000-0

Nr — 1639